

CZARNA SERIA

# HÅKAN NESSER

POWRÓT

Śledztwa komisarza Van Veeterena





**Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.**

**Szanujmy cudzą własność i prawo.  
Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)  
*Polska Izba Książki***

# **HÅKAN NESSER**

**POWRÓT**

przełożyła Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2013

Tytuł oryginału  
ÅTERKOMSTEN

Redakcja  
Małgorzata Denys

Projekt okładki  
Magda Kuc

Zdjęcia na okładce  
Neil Lang / [Shutterstock](#)  
Magda Kuc

Korekta  
Ewa Jastrun

DTP  
Marcin Labus

Copyright © Håkan Nesser, 1995  
First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden  
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.  
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-559-3

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

---

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51  
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

Jeśli mnie spytacie, jak długie jest życie,  
Powiem wam prawdę.  
Jest dokładnie tak długie jak odległość  
Między dwiema datami na nagrobku.

W.F. Mahler, poeta

I

24 sierpnia 1993

# 1

To był dzień pierwszy i zarazem ostatni.

Stalowe drzwi zatrzasnęły się za jego plecami z metalicznym kliknięciem, które zawisło na chwilę w chłodnym powietrzu poranka. Zrobił cztery kroki, przystanął i postawił walizkę na ziemi. Przymknął oczy, ale zaraz otworzył je z powrotem.

Lekka poranna mgiełka zalegała nad pustym parkingiem, nad miastem właśnie wschodziło słońce, a jedynym dostrzegalnym śladem życia były ptaki krążące ponad polami wkoło zabudowań. Stał tak chwilę i czuł, jak otwierają mu się zmysły. Zapach świeżo skoszonego zboża wpłynął mu niepostrzeżenie do nosa. Światło oślepiało i drżało ponad asfaltem. Z daleka dało się słyszeć uporczywy szum samochodów mknących autostradą, która przecinała krajobraz jakiś kilometr na zachód stąd. Nagłe uświadomienie sobie faktycznych wymiarów świata przyprawiło go na ułamek sekundy o zawrót głowy. Nie dotknął stopą ziemi poza tymi murami przez dwanaście lat; jego cela tam, w środku, mierzyła dwa i pół metra na trzy i dlatego teraz zdał sobie sprawę, że droga do miasta i dworca kolejowego będzie długa. Niesłychanie długa, może nie do przebycia w taki dzień jak ten.

Zaproponowano mu taksówkę, bo mu się należała, ale odmówił. Nie chciał, żeby pierwszą rzeczą, jaką dzisiaj zrobi, było ruszenie w świat na skróty. Chciał w każdym swoim kroku tego ranka poczuć ciężar, ból i wolność. Wiedział, że jeśli w ogóle ma zamiar zrealizować to, co sobie zaplanował, musi się przełamywać. Przełamywać się i pokonywać samego siebie.

Chwytał walizkę i zaczął iść. Nie była ciężka. Trochę bielizny na



zmianę. Para butów, jedna koszula, spodnie i przybory toaletowe. Cztery książki albo pięć i jeden list. Ubranie, które miał na sobie, przymierzył i pokwitował w magazynie więziennym jeszcze poprzedniego dnia. Charakterystyczny strój zakładu karnego. Czarne buty ze sztucznej skóry. Niebieskie spodnie. Jasnoszara bawełniana koszula i cienka wiatrówka. Dla mieszkańców miasteczka będzie kimś równie łatwym do zidentyfikowania jak ksiądz czy kominiarz. Jednym z tych, co to przychodzą na stację z brązową tekturową walizką, żeby ruszyć stąd dalej. Co spędzili trochę czasu w Wielkiej Szarości między lasem pod miastem a autostradą. Znajdowali się tak blisko, a jednak tak nieskończenie daleko. Jeden z tych innych. Z tych łatwo rozpoznawalnych.

Wielka Szarość. Tak nazywali to ludzie; dla niego więzienie nie miało nazwy, mógłby co najwyżej powiedzieć: spory kawał czasu, tylko i wyłącznie, niemal bez odniesienia w przestrzeni. To było bardzo dawno temu, kiedy oczy innych wpatrywały się w niego. Dawno temu został zmuszony opuścić ową próżną i powierzchowną wspólnotę. Opuścił ją bez wahania, nie pozostało mu nic innego, ale nie zateśnił za nią ani razu. Nigdy.

Można by dyskutować, czy on w ogóle kiedykolwiek do niej należał.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Po kilkuset metrach musiał znowu przystanąć. Zdjął kurtkę i zarzucił ją sobie na ramię. Minęły go dwa samochody. Pewnie strażnicy albo ktoś inny ze służby więziennej. Ludzie z zakładu, na pewno. W tej okolicy nie ma nic innego. Tylko ta Wielka Szarość.

Ruszył przed siebie. Próbował gwizdać, ale nie przychodziła mu do głowy żadna melodia. Światło poranka było zbyt natarczywe. Pomyślał, że przydałyby mu się okulary przeciwsłoneczne. Może mógłby sobie sprawić takie w miasteczku. Przyłożył dłoń do czoła, zmrużył oczy i przyjrzał się zarysom zabudowań w ostrej poświacie. W tej samej chwili w kościele zaczęły bić dzwony.

Spojrzał na zegarek. Na pierwszy pociąg raczej nie zdąży. Ale wcale mu na tym nie zależało, wolał posiedzieć sobie z godzinkę w dworco-

wej kawiarni przy porządnym śniadaniu nad poranną gazetą. Nic go nie goni. Przynajmniej tego pierwszego dnia. Musi zrobić to, co sobie postanowił, ale sam termin zależy od czynników, o których na razie nie miał pojęcia.

Może jutro. Albo pojutrze. Jeśli te wszystkie lata w ogóle nauczyły go czegokolwiek, to chyba właśnie tego. Bycia cierpliwym.

Cierpliwości.

Świadomy celu wszedł między zabudowania. Przemierzał wyludnione, oblane słońcem chodniki. Zacienione uliczki prowadzące do rynku. Wyjeżdżone kocie łby jezdni. Kroczył powoli wzdłuż brunatnej, bagnistej rzeczki, gdzie leniwe kaczki kręciły się w kółko w odwiecznym próżniactwie. Już samo to, że mógł iść i iść, i nie trafiał na żadną ścianę albo ogrodzenie, było czymś osobliwym. Przystanął na jednym z mostków i zaczął obserwować łabędzie przycupnięte gromadką na wysepce w cieniu kasztanów rosnących na brzegu. Przyglądał się też tym potężnym drzewom, których gałęzie wyciągały się daleko i w górę, i w dół. Ku wodzie, ale także ku światłu.

Świat, pomyślał sobie. Życie.

Pryszczaty młody człowiek przybił mu stempel na bilecie z wyraźną niechęcią. W jedną stronę, jasne, nie inaczej. Obrzucił młokosa spojrzeniem, po czym poszedł do kiosku. Kupił dwie gazety i jakiś magazyn z dużymi gołymi biustami, nie krępując się ani odrobinę. A potem w kawiarni zamówił cały dzbanek kawy, chrupiące bułeczki z żółtym serem i dżemem. Jeden papieros albo i dwa. Do pociągu została godzina i rano jeszcze się nie skończył.

Pierwszy poranek jego drugiego powrotu; cały świat był pełen czasu. Czasu i niewinności.

Parę godzin później dojeżdżał już na miejsce. Przez ostatnie kilometry siedział sam w przedziale. Wyglądał przez porysowaną i zakurzoną szybę; widział pola, lasy, miasta i przesuających się ludzi. I nagle wszystko nabrało wyrazistości. Przybrało swoje własne, odrębne znaczenia. Budynki, drogi, wewnętrzna harmonia krajobrazu. Stara wieża ciśnień. Boisko do piłki nożnej. Fabryczne kominy i przydomowe

ogródki. Zakłady meblowe Gahna. Rynek. Liceum. Wiadukt i sylwetki domów wzdłuż handlowej ulicy. Pociąg powoli hamował.

Wysiadając, zauważył, że peron doczekał się nowego dachu z jasno-żółtego plastiku. Budynek dworca miał odnowioną fasadę. Pojawiły się nowe tablice informacyjne.

Poza tym wszystko było po staremu.

Wziął taksówkę. Zamówił kurs za miasto. Po piętnastu minutach po nurej jazdy brzegiem jeziora, które raz znikało, raz pobłyskiwało między łąkami zbóż i drzewami, był już na miejscu.

– Może się pan zatrzymać za kościołem. Dalej pójdę na piechotę.

Zapłacił i wysiadł. Kierowca machnął mu na pożegnanie, w jego geście było jakby coś znajomego. Poczekał, aż samochód zawróci na drodze i zniknie za budynkiem mleczarni. Schylił się po walizkę i plastikową reklamówkę z drobnym prowiantem. Miał przed sobą ostatni etap podróży.

Słońce stało już wysoko. Po paru minutach poczuł, jak pot cieknie mu po twarzy i między łopatkami. Droga była dłuższa, niż pamiętał, poza tym prowadziła bardziej pod górę.

Ale od ostatniego razu minęło dwanaście lat.

Dom też był dwanaście lat starszy, lecz stał nadal. Oczyszczyła z chwastów ścieżkę prowadzącą do schodów, tak jak obiecała, ale poza tym nie zrobiła nic więcej. Granica między ogrodem a lasem zatarła się i prawie nie istniała, brzezina wgryzła się głęboko w obejście, a trawa, pnącza i krzewy rosły na wysokość metra pod ścianami. Dach na stodole się zapadł, cegły wyglądały na zmurszałe, jedna szyba na pięterku była rozbita, ale jakoś niewiele go to obchodziło. O ile w ogóle coś sobie wyobrażał, wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak się spodziewał.

Klucz wisiał pod rynną, w ustalonym miejscu. Przekreślił go w zamku. Musiał pchnąć drzwi ramieniem, żeby ustąpiły. Najwyraźniej trochę się zastały.

Czuć było stęchlizną, ale do wytrzymania. Nic zepsutego, raczej żadnych szcurów. Na kuchennym stole leżała kartka.

Przeczytał. Życzyła mu powodzenia. To wszystko.

Położył walizkę i reklamówkę na kanapie pod zegarem i rozejrzał się wkoło. Obszedł całe mieszkanie i pootwierał okna. W sypialni stanął przed lustrem i przyjrzał się własnemu odbiciu.

Zauważył, że się postarzał. Twarz miał poszarzałą i zapadniętą. Szczęki bardziej zaciśnięte. Skóra na szyi zwisała w workach i fałdach. Ramiona były opuszczone, jakby dźwigały jakiś ciężar.

Pięćdziesiąt siedem lat, pomyślał. Dwadzieścia cztery za murami. Nie ma się co dziwić.

Odwrócił się do siebie plecami i zaczął się rozglądać za jakąś bronią. Przecież tak czy inaczej będzie jej potrzebował, więc lepiej załatwić to od razu. Na wypadek gdyby wątpliwości zaczęły wbijać w niego swe szpony.

Pod wieczór usiadł przy stole nakrytym ceratą w kwiaty. Z listem w ręce. Popijając kawę, przeczytał go jeszcze raz.

List nie był długi. Miał półtorej strony, nie więcej. Przymknął powieki i usiłował zobaczyć ją oczami wyobraźni.

Jej czarne, naznaczone śmiercią oczy po drugiej stronie kraty. Jej niespokojne dłonie.

I jej opowiadanie.

Nie, nie miał żadnych wątpliwości.

**II**

**20 kwietnia – 5 maja 1994**

## 2

To była jedna z tych wycieczek.

Oczywiście dorosłych powinna być czwórka. Albo co najmniej trójka. I tak miało być, tylko pół godziny przed odjazdem zadzwoniła Henriette i poinformowała o jakiejś dosyć mglistej przeszkodzie. Zrazem potem okazało się, że Hertl też będzie musiała zostać i asystować pielęgniarce. Tej, która miała przyjść po południu, żeby zaszcześcić dwulatki.

Tak więc były tylko one dwie – Elisabeth i Moira. Tego, że Moira wcześniej czy później dostanie migreny, Elisabeth też mogła być pewna. Czyli na dobrą sprawę została sama z całą tą czeredą. Zresztą nie pierwszy raz.

Czternaścioro dzieci. W wieku od trzech do sześciu lat. Zaczęło się od Eunice, lat sześć, która zwymiotowała w autobusie już po przejechaniu czterystu metrów. Paul, lat trzy, mniej więcej w tym samym czasie nasikał sobie do butów. Ellen i Judith, lat cztery i pięć, dosłownie kilka minut później rzuciły się sobie do oczu z powodu zielonej chusteczki w różowe króliczki. Emile, lat trzy i pół, zanosił się od płaczu za mamą, aż huczało w całym autobusie, a Christophe'a, lat sześć, rozboleł ząb.

Mimo to wciąż jeszcze żywi wysiedli na przystanku przy leśnej polanie. Elisabeth policzyła ich szybko – byli wszyscy, czternaścioro, piętnaścioro z Moirą. Zaczerpnęła głęboko powietrza. Przed nimi trzy godziny spacerów po lesie, pieczenia kiełbasek, szukania skarbów i rozmaitych botanicznych odkryć. Gdy między koronami drzew dojrziała ciemniejące niebo, zastanowiła się, za ile czasu może na dobre



rozpadać się nad nimi.

Okazało się, że za dwadzieścia pięć minut. Tymczasem oni już zdążyli się zapuścić całkiem głęboko w las. Moira zaczynała odczuwać ucisk w okolicy czoła i trzymała się pięćdziesiąt metrów przed grupą, żeby nie pogarszać sprawy. Erich i Wally bez przerwy drażnili Eunice, czego skutek był taki, że gruba dziewczynka nie chciała iść z resztą dzieci, tylko zamiast ścieżką podążała sama między drzewami i zaroślami, a Elisabeth co rusz ją nawoływała, żeby nie stracić z nią kontaktu. Jeden z Jümperów przewrócił się jak długi i uderzył głową o korzeń, więc musiała go nieść. Drugi truchtał z tyłu i trzymał się jej paska oblepionymi gliną paluchami.

- Zaczyna padać! – krzyknął Bartje, lat cztery.
- Ja chcę do domu! – ryczał Heinrich, lat pięć.
- Szczyle – podsumowali Erich i Wally. – Wracajcie do domu pieprzyć się z waszą mamuszką.
- Pieprzyć się – zakwilił któryś anonimowy trzylatek.
- Wally i Erich, zamknijcie się – syknęła Elisabeth. – Bo poobrywam wam uszy.

Moira zatrzymała się przed leśnym domkiem, gdzie mieli zjeść obiad.

- Co za szczęście – powiedziała szeptem, kiedy grupa ją dogoniła. Musiała jak zwykle szeptać, aby migrena nie rozhuściła się na dobre.
- Pospieszcie się, zaraz wejdziemy do środka!

Zanim Wally zdążył dopaść drzwi, Elisabeth już wiedziała, że są zamknięte i że klucz został w torebce Hertl w pokoju personelu.

- A niech to szlag, zamknięte! – wrzasnął Wally. – No, gdzie ten klucz!

Moira spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc. Elisabeth ciężko westchnęła. Przymknęła powieki i policzyła do trzech. Lało jak z cebra i już czuła, jak jej obcasy coraz bardziej zapadają się w trawę nasiąkniętą wodą.

- Zimno mi – dygotał w jej objęciach jeden z Jümperów.
- Jestem głodny – powiedział drugi.
- Ta pieprzona dziwka zapomniała kluczy! – krzyknął Erich, ciska-

jąc grudą ziemi w ścianę.

Elisabeth odczekała kolejne trzy sekundy, następnie wcisnęła swego rannego w głowę pacjenta Moirze w objęcia, poszła na tyły domku i stłukła szybę w oknie.

Niedługo potem przestało padać. Cały prowiant został zjedzony, Elisabeth przeczytała na głos osiemnaście bajek, które dzieci słyszały już z tysiąc osiemset razy, kilkoro pięcio- i sześciolatek zrobiło na własną rękę rekonesans po okolicy i uświadomiło się do tego stopnia, że miała obawy, czy kierowca w ogóle pozwoli im wejść do autobusu. Moira przespała się chwilę na piętorku i poczuła się odrobinę lepiej, ale tylko odrobinę. Gerardowi, cierpiącemu na alergię trzylatkowi, wyskoczyły na twarzy i na łokciach wielkie czerwone plamy, ponieważ któryś, na razie niezidentyfikowany kolega przemycił i podrzucił mu ciastko orzechowe. Jeden czterolatek i jeden trzylatek zsikali się w majtki.

Ale poza tym wszystko było pod kontrolą. Elisabeth postanowiła zebrać grupę na zewnątrz na schodach i ogłosić odwrót.

Trzynaścioro. Było ich tylko trzynaścioro. Czternaścioro z Moirą.

– Kogo brakuje? – spytała.

Okazało się, że nie ma Eunice.

Jak wynikało ze wstępnego rozeznania, ostatni raz widziano ją jakieś dwadzieścia do trzydziestu pięciu minut temu; jednak poczucie czasu nie było mocną stroną żadnego z dzieci, a przyczyna zniknięcia też nie wydawała się całkiem jasna – prawdopodobnie Wally lub Erich, lub obaj, uderzyli Eunice deską w plecy albo może Marissa nazywała ją „małpią dziwką”. Bądź też rozboleł ją brzuch.

Prawdopodobnie wszystkiego po trochu.

Po kilku minutach wspólnego nawoływania i wrzasków Elisabeth postanowiła przeczesać okolicę.

Moira została z trzy- i czterolatekami w domku, podczas gdy ona ruszyła z tymi trochę starszymi do lasu.

Starszymi? – pomyślała. Mieli po pięć i sześć lat. Siódemka dzieci.

– Pójdziemy w odstępach co dziesięć metrów – wyjaśniła. – Cały

czas będziemy wołać i cały czas będziemy się widzieć. Rozumiecie?  
– *Yes, boss!* – wrzasnął Wally i zasalutował.

I to właśnie Wally znalazł zgubę.

– Ona siedzi w rowie i ryczy – opowiadał. – Tam, kawałek dalej. Mówi, że znalazła jakiegoś umarlaka bez głowy.

I Elisabeth od razu wiedziała, że to prawda. Bo przecież taki dzień jak ten nie mógł się skończyć inaczej.

W rzeczywistości brakowało nie tylko głowy. Ciało – a właściwie to, co z niego zostało – leżało zawinięte w ciężki dywan. Potem nigdy nie było czasu, żeby ustalić, co kazało Eunice tak gruntownie dociekać, co jest w środku. Możliwe, że wystawał kikut nogi. Tak czy inaczej, ta krzepka i rosła dziewczynka zdołała wyciągnąć dywan z rowu na tyle, że mogła go rozwinąć. Na pewno był mocno nasiąknięty wodą... i nadjedzony przez pleśń, grzyby, i w ogóle zmurszały, pomyślała Elisabeth. Tu i ówdzie rozpadał się na kawałki, a zwłoki, które kryły się w jego wnętrzu, znajdowały się w równie opłakanym stanie.

Tak więc brakowało głowy. Poza tym nie było dłoni i nie było stóp.

– Wracamy do domku! – ryknęła Elisabeth, mocno przytulając do siebie szlochającą Eunice.

Nagle poczuła, jak wzbierają w niej mdłości. Wiedziała, że widok, który przed chwilą ukazał się jej oczom, będzie ją prześladował we wszystkie ciemne noce przez resztę życia.

### 3

– Poproszę o raport – powiedział Hiller i splótł dłonie.

Reinhart wzniosł oczy ku górze. Münster odchrząknął służbiście, a Van Veeteren ziewnął.

– No? – naciskał Hiller.

– No więc... – odezwał się Münster, przewracając kartki w swoim notesie.

– To nie potrwa długo, obiecuję wam – rzekł szef policji, spoglądając na swój pozłacany zegarek. – Za dwadzieścia pięć minut mam tutaj spotkanie, więc wystarczy, jak opowiecie mi wszystko w dużym skrócie.

Münster ponownie odchrząknął.

– No więc chodzi o zwłoki mężczyzny – zaczął. – Znalezione wczoraj około pierwszej, w lesie w okolicy Behren, mniej więcej trzydzieści kilometrów stąd, przez sześćioletnią dziewczynkę... była na wycieczce z przedszkolem, do którego chodzi. Ciało leżało w rowie zawinięte w dywan, jakieś pięćdziesiąt metrów od najbliższej uczęszczanej drogi. Musiało leżeć tam długo.

– Jak długo?

– Dobre pytanie – wtrącił Reinhart. – Może rok. A może więcej albo mniej.

– Nie da się tego uściślić? – dopytał Hiller.

– Na razie nie – odparł van Veeteren. – Ale Meusse pracuje już nad tym pełną parą. Tak czy inaczej, pół roku murowane.

– Rozumiem – powiedział Hiller. – I co dalej?

– Poza tym – kontynuował Münster – jeszcze nie dało się ustalić

tożsamości, bo sprawca odrąbał głowę, stopy i dłonie...

– A czy możemy mieć stuprocentową pewność, że tu chodzi o morderstwo? – spytał szef policji.

Reinhart westchnął.

– No nie – odparł. – Równie dobrze może chodzić o przypadek śmierci najzupełniej naturalnej. O kogoś, kto nie mógł sobie pozwolić na normalny pochówek. W dzisiejszych czasach to całkiem sporo kosztuje... prawdopodobnie zgodnie z ostatnią wolą zmarłego wdowa przekazała głowę i brakującą resztę na cele badawcze.

Van Veeteren odchrząknął.

– Ustalenie przyczyny śmierci pewnie jeszcze trochę potrwa – wyjaśnił, po czym wetknął sobie między dolne zęby wykałaczkę. – Na tym, co zostało, na pierwszy rzut oka nie widać śladów żadnych śmiertelnych obrażeń... ale zazwyczaj odcięcie głowy już wystarczy, żeby człowiek umarł.

– Meusse nie jest specjalnie zachwycony tymi zwłokami – podjął znowu Reinhart. – I trudno mu się dziwić. Leżały w rowie w tym rozkładającym się dywanie co najmniej całą zimę. Na zmianę zamarzały i rozmarzały. Trochę podjadały je zwierzęta, choć wyraźnie nie przypadły im specjalnie do smaku... co prawda nie było też łatwo się do nich dostać. Częściowo leżały pod wodą... więc trochę się zakonserwowały, inaczej zostałyby sam szkielet. Mówiąc krótko, wyglądają upiornie.

Hiller zawahał się.

– Dlaczego tamte... części ciała zostały odcięte, co sądzimy na ten temat?

My? – Münster zdziwił się w duchu. My sądzimy? Jak się dzisiaj czujemy? Czy to komenda policji, do cholery, czy szpital? A może dom wariatów, jak zwykł twierdzić Reinhart? Czasami trudno było to powiedzieć.

– Trudno powiedzieć – Van Veeteren powtórzył jego myśl. – Od czasu do czasu miewamy do czynienia z mordercami, którzy ćwiartują swoje ofiary, ale w tym przypadku chodziło raczej o utrudnienie identyfikacji.

– W ogóle się nie domyślacie, kto to mógł być?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Oczywiście gruntownie przeczესujemy okolice – rzekł Münster. – Przecież sam pan polecił, żeby... już od wczorajszego popołudnia dwadzieścia osób przeszukuje las... naturalnie oprócz nocy.

– Zupełnie niepotrzebnie – stwierdził Reinhart, wyjmując fajkę z kieszeni marynarki.

– Będiesz mógł zapalić, jak skończymy – oznajmił mu szef i spojrział na zegarek. – Dlaczego niepotrzebnie?

Reinhart schował fajkę z powrotem do kieszeni i założył ręce na kark.

– Dlatego że niczego tam nie znajdą – wyjaśnił. – No bo jeśli już kogoś zabijam i zadaję sobie trud, żeby odrąbać nieboszczykowi głowę, stopy i dłonie, to raczej nie jestem tak bezdennie głupi, żeby ukryć je w tym samym miejscu co ciało. W gruncie rzeczy na całym świecie jest tylko jedno jedyne miejsce, gdzie na pewno nie uda się nam ich znaleźć – dokładnie tam, gdzie akurat ich szukamy. Sprytne posunięcie, muszę przyznać.

– *All right* – przerwał mu Hiller. – Pana komisarza wczoraj nie było, więc myślałem...

– No tak – odparł Van Veeteren. – Nigdy nie zaszkodzi przeszukać miejsca, gdzie odkryto ciało, ale myślę, że skończymy z tym dziś wieczorem. Tak czy inaczej, przez zimę zachowało się niewiele śladów, poza tym możemy być raczej pewni, że ten facet nie znalazł się tam żywy.

Szef policji znowu nie wydawał się przekonany.

– To jak zorganizujemy śledztwo? – spytał. – Trochę się spieszę...

Van Veeteren miał czas.

– No cóż – odparł. – Trzeba się zastanowić. Ilu ludzi chcesz włączyć do sprawy?

– Jest jeszcze ten przekłety napad – rzekł Hiller, powoli wstając z miejsca. – I tamten szantażysta...

– I rasiści – uzupełnił Reinhart.

– Ten szantażysta... – powtórzył Hiller.

– Pieprzeni rasiści – dodał Reinhart.

– Niech to wszyscy diabli – rzucił Hiller. – Przyjdź jutro do mnie



z samego rana, zobaczymy, jak wygląda sytuacja. A Heinemann jeszcze wciąż na zwolnieniu?

– Wraca w poniedziałek – poinformował Münster.

Przemilczał, że w związku z powrotem Heinemanna miał zamiar poprosić o kilka dni wolnego. Czuł, że prośba o urlop nie byłaby w tym momencie mile widziana.

– Czyli nie pozostaje nam nic innego, jak pracować dalej – oświadczył Hiller i zaczął wypychać wszystkich obecnych za drzwi. – Im szybciej wyjaśnimy tę sprawę, tym lepiej. Chyba nie jest, u diabła, niemożliwe ustalenie, kim był ten facet. Tak czy nie?

– Nic nie jest niemożliwe – odparł Reinhart.

– No i jakie wnioski pan inspektor wyciągnął? – odezwał się Van Venteren, podając fotografie.

Münster przyjrzał się zdjęciom okaleczonego, pokrytego brązowymi plamami ciała oraz miejsca, w którym je znaleziono: okazało się całkiem nieźle wybrane – bujne poszycie, mnóstwo gałęzi, zarośnięty dół... nic dziwnego, że przez tak długi czas nikt nie odkrył zwłok. Wręcz przeciwnie; to, że ta biedna sześciolatka dziewczynka akurat potknęła się o nie, można przypisać zupełnemu przypadkowi.

– Nie wiem – odpowiedział. – Wszystko wygląda na bardzo przemyślane.

Komisarz burknął:

– Przemyślane? No pewnie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. A co sądzisz o tym okaleczeniu?

Münster zastanowił się chwilę.

– Moim zdaniem chodzi o identyfikację...

– A czy ty rozpoznajesz ludzi po stopach?

Münster pokręcił głową.

– No nie. Chyba że są na nich jakieś znaki szczególne. Tatuaze albo coś w tym rodzaju... Ile on miał lat?

– Meusse uważa, że mógł być między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, ale musimy poczekać z tym do wieczora. Jak powiedziałem, to nie są fajne zwłoki. Zdaje się, że przypadną w udziale tobie i Roothowi.

Münster spojrzał na niego.

– Dlaczego? A komisarz...?

Van Veeteren uniósł palec w napominającym geście.

– Ma pełne ręce roboty z tym przeklętym napadem. A Reinhart pewnie zaraz będzie piłował tych swoich terrorystów. Jeśli o mnie chodzi, to chcą mnie wziąć do szpitala i zajrzeć mi do brzucha... w pierwszym tygodniu maja. Czyli lepiej, żebyś przejął sprawę od razu na początku.

Münster poczuł, że się zaczerwienił.

– Oczywiście będę do dyspozycji, jeśli na czymś utkniesz – zadeklarował Van Veeteren.

Kiedy utknę, pomyślał Münster.

– Najpierw muszę do czegoś dojść, żeby móc na czymś utknąć – powiedział. – Czy Rooth sprawdził już listę zaginionych?

Komisarz wybrał jeden z numerów wewnętrznych i po pięciu minutach w pokoju stawiał się inspektor kryminalny Rooth z plikiem wydruków komputerowych w dłoni. Opadł ciężko na krzesło i podrapał się po brodzie. Jego zarost był jeszcze rzadki i według Münstera nadał mu wygląd obdartego włóczęgi. Ale właściwie to dobrze, że nie każdy z nich już z odległości stu metrów jest rozpoznawalny jako gлина.

– Trzydzieści dwa zgłoszenia zaginięć w całym regionie w ciągu ostatnich dwóch lat – poinformował. – Mam na myśli osoby, które się nie odnalazły. Szesnaście w samym mieście. Przejrzałem z grubsza tę listę... jeśli przyjmiemy, że leżał w tamtym lesie co najmniej sześć miesięcy, a maksymalnie rok, to ktoś powinien był zgłosić jego zniknięcie między kwietniem a grudniem zeszłego roku. Ale zobaczymy, czy to się zgadza, kiedy Meusse będzie już gotowy...

– Jak to możliwe, żeby przepadało tylu ludzi? – spytał Münster. – Te liczby na pewno są prawdziwe?

Rooth wzruszył ramionami.

– Większość zwiewa za granicę. Najczęściej młodociani. Moim zdaniem, co najwyżej w piętnastu–dwudziestu procentach przypadków chodzi o jakieś przestępstwo... tak przynajmniej uważa Stauff, a on dobrze się w tym orientuje. W końcu znikają głównie ćpuny. Wynoszą się do Tajlandii czy Indii, mniej więcej w tamte rejony.

Van Veeteren pokiwał głową.

– To ilu delikwentów ci zostało?

Rooth zaczął przerzucać swoje kartki. Münster zauważył, że niektóre nazwiska są obwiedzione kółkiem, przy innych stoi znak zapytania, a kilka jest przekreślonych, ale wyraźnie brakowało tego jednego strzału w dziesiątkę.

– Niewielu – odparł Rooth. – Jeśli to był mężczyzna między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką... mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, licząc z głową i stopami... to właściwie mamy co najwyżej dwóch, ewentualnie trzech do wyboru.

Komisarz wpatrywał się w swoją wykałaczkę.

– Wystarczy nam jeden. Byleby ten właściwy.

– Ale przecież on wcale nie musiał być stąd – zauważył Münster. – Tak naprawdę nic nie wskazuje na to, że został zamordowany w pobliżu Behren... do zabójstwa mogło równie dobrze dojść gdziekolwiek indziej.

Rooth znowu pokiwał głową.

– Jeśli weźmiemy pod uwagę cały kraj, to mamy do wyboru siedmiu, ośmiu. Ale zanim zaczniemy szukać potencjalnych wdów, powinniśmy poczekać na wyniki sekcji.

– Niewątpliwie – potwierdził Van Veeteren. – Im mniej osób będzie musiało go oglądać, tym lepiej.

– W porządku – odezwał się Münster po chwili milczenia. – A co mamy robić do tej pory?

Van Veeteren odchylił się na krześle tak mocno do tyłu, że aż głośno zaskrzypiało.

– Proponuję, żebyście sobie we dwóch gdzieś przysiedli i wymyślili sensowną taktykę działania. Powiem Hillerowi, że to wy zajmujecie się sprawą... ale, jak już wspomniałem, w razie czego jestem do dyspozycji.

– No dobrze – zaczął Rooth, kiedy usiedli w kantynie przy kawie. – To co, uwiniemy się w tydzień?

– Czemu nie – zgodził się Münster. – Kiedy Meusse miał być gotów? Rooth spojrzał na zegarek.

– Chyba za godzinę. Może pojedziemy do niego razem? Co ty na to? Münster potaknął.

– A co z naszym niezastąpionym detektywem – opinią publiczną? – spytał. – W gazetach już sporo o tym pisali.

Rooth pokręcił głową, połykając jednocześnie pół słodkiej bułki.

– Na razie nie wpłynęło nic sensownego. Krause rejestruje wszystkie informacje i wskazówki. W dzisiejszych wieczornych wiadomościach, i w radiu, i w telewizji, pojawi się nasze ogłoszenie, ale to musi być chyba jeden z tych.

Wskazał łyżeczką na kartki z listą. Münster przysunął je do siebie i zaczął przyglądać się notatkom Rootha. Trzy nazwiska były otoczone podwójną linią, to prawdopodobnie najpewniejsze kandydatury.

Potencjalni zamordowani, okaleczeni i byle jak pogrzebani w zarośniętym rowie niedaleko Behren. Przeczytał szybko:

Claus Menhevern  
Drouhtens vej 4, Blochberg  
ur. 1937  
zgłoszenie zaginięcia: 1.06.1993

Pierre Kohler  
Armastenstraat 42, Maardam  
ur. 1936  
zgłoszenie zaginięcia: 27.08.1993

Piit Choulenz  
Hagmerlaan 11, Maardam  
ur. 1945  
zgłoszenie zaginięcia: 16.10.1993

– Tak – odezwał się, z powrotem przesuając kartki po stole. – To chyba musiał być któryś z nich.

– Na pewno – potwierdził Rooth. – Uporamy się z tym w ciągu tygodnia. Tak coś czuję.

## 4

Wyszedł z komendy godzinę wcześniej niż zwykle i pojechał prosto do domu. List leżał tam, gdzie go zostawił, na regale w przedpokoju. Otworzył go i przeczytał na nowo. Jego treść się nie zmieniła.

Niniejszym mamy przyjemność poinformować, że termin operacji Pańskiego Cancer Coli Adenocarcinom przewidzieliśmy na wtorek, 5 maja.

Prosimy Pana o potwierdzenie terminu listownie lub telefonicznie do 25 kwietnia oraz o stawienie się na oddziale 46B najpóźniej w środę, 4 maja, o godzinie 21.00.

Po operacji będzie konieczny 2–3-tygodniowy pobyt w szpitalu, o czym wspominamy, aby mógł Pan odpowiednio dostosować swoje plany zawodowe i prywatne.

Serdecznie pozdrawiam

Marieke Fischer, sekretarz administracji szpitalnej  
Gemejnte Hospitaal, Maardam

Niech to szlag, zaklął w duchu. Następnie spojrzął na dane adresowe szpitala na samym dole kartki, wybrał numer i czekał.

Odebrała młoda kobieta. Oceniał, że mogła mieć co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Jak jego córka.

– Wobec tego się stawię – oznajmił.

– Przepraszam, a z kim rozmawiam? – spytała.

– Komisarz Van Veeteren, oczywiście. Mam raka jelita grubego, a doktor Moewenroedhe zamierza go wyciąć, więc...

– Momencik.

Czekał. Po chwili kobieta odezwała się znowu.

– Piątego maja, tak. Zanotowałam. Zapraszamy dzień wcześniej, rezerwuję dla pana miejsce na oddziale 46B. Czy ma pan jeszcze jakieś

pytania?

Czy to boli? – przemknęło mu przez głowę. Czy przeżyję? Ile procent pacjentów nie budzi się z narkozy?

– Nie – odpowiedział. – Poinformuję, jeśli zmienię zdanie.

Miał wrażenie, że w ciszy, jaka zapadła, słyszy jej zdziwienie.

– Dlaczego miałby pan zmienić zdanie?

– Bo być może będę zajęty czymś innym. Nigdy nie wiadomo.

Kobieta zawahała się chwilę.

– Czy pan obawia się operacji, panie Van Veeteren?

– Obawiam się? Ja?

Próbował się rozeźmiać, ale sam doskonale słyszał, że zabrzmiało to raczej jak głos zdychającego psa. Miał nieco doświadczenia w tym względzie.

– Tak więc – kobieta zaczęła przyjaźnie – aby pana uspokoić, mogę zapewnić, że doktor Moewenroedhe jest jednym z naszych najlepszych chirurgów, a poza tym pański przypadek nie należy do szczególnie skomplikowanych.

Może nie, ale to mój brzuch, pomyślał Van Veeteren. I moje jelito. Mam je już dosyć długo i jestem do niego trochę przywiązany.

– W każdej chwili, kiedy pan zechce, może pan do nas zadzwonić i zadać pytanie. Jesteśmy tu po to, żeby pomagać.

– Dziękuję, dziękuję – westchnął. – Tak czy inaczej, odezwę się jeszcze przed terminem. Do usłyszenia.

– Do zobaczenia, panie Van Veeteren.

Jeszcze przez kilka sekund stał nieruchomo z listem w ręku. W końcu przedarł go na cztery kawałki i wyrzucił do kosza.

Niecałą godzinę później, siedząc na balkonie, pochłaniał swoje dwie pieczone kiełbaski z sałatką ziemniaczaną. Popijał to ciemnym piwem i właśnie zaczął się zastanawiać, czy mimo wszystko nie zejść na dół do kiosku po paczkę papierosów. Wykałaczki się skończyły, a wieczór był całkiem ładny.

Przecież i tak trzeba umrzeć, pomyślał.

Usłyszał, jak zegar na wieży kościoła w Keymer wybija szóstą. Na szafce nocnej w pokoju leżały dwie do połowy przeczytane powieści,



ale w tym momencie dotarło do niego, że jeszcze przez jakiś czas pozostaną niedoczytane do końca. Brakowało mu wewnętrznego spokoju. Lęk ostrzył już sobie szpony i nie było żadną tajemnicą, co jest tego przyczyną.

Powietrze było łagodne. Kojący, delikatny wiaterek wpełzał między bariereki balkonowej balustrady, a słońce jak czerwona kula wisiało nad dachem browaru po drugiej stronie Kloisterlaan. W krzewach bzu za stojakiem na rowery szczebiały niewielkie ptaszki.

To ja, pomyślał. Słynny komisarz Van Veeteren. Pięćdziesiąt siedem lat, osiemdziesiąt osiem kilo wagi, gliniarz z rakiem jelita grubego. Za dwa tygodnie mam całkiem dobrowolnie położyć się na stole operacyjnym i pozwolić, żeby jakiś kompletnie niesprawdzony czeladnik rzeźnicki wyciął mi jedenaście centymetrów mojego ciała. Niech to szlag.

Nieznacznym dyskomfort zaczął dawać o sobie znać w dolnej części brzucha, ale teraz bywało tak zawsze, kiedy coś zjadł. Nie był to jednak ból. Tylko takie drobne podrażnienie. Powinien właściwie się cieszyć, bo pieczone kiełbaski z całą pewnością nie znajdują się na liście dietetycznych produktów, którą mu wręczono po pierwszych badaniach w lutym. No i co z tego, do cholery? Do czasu operacji nie zamierzał dać się zwariować. Jeśli potem wszystko będzie dobrze, to może wtedy pomyśli o nowych nawykach. O zdrowiu i całej reszcie, która się z tym wiąże.

Wszystko ma swój czas.

Sprzątnął ze stołu. Poszedł do kuchni i wstawił brudne naczynia do zlewu. Następnie w salonie zaczął bez celu przeglądać płyty CD i kasety.

Jedenaście centymetrów mojego ciała, pomyślał i nagle przypomniały mu się zdjęcia z dzisiejszego przedpołudnia.

Bez głowy mężczyzna spod Behren.

Bez głowy, bez dłoni i bez stóp.

Mogłoby być gorzej, uznał.

Między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, twierdzi Meusse.

Zgadza się. Może nawet byli równolatkami? Pięćdziesiąt siedem. Dlaczego nie?

Mogłoby być znacznie gorzej.

Dziesięć minut później siedział w samochodzie, a z głośników grzmiał chór Monteverdiego. Ciemno zrobi się dopiero za jakieś półtorej godziny. Czyli czasu jest dosyć.

Chciał się tylko rozejrzeć, rzucić okiem. Nic więcej. Nie miał nic szczególnego na myśli.

Wszystko ma swój czas, to jasne.

## 5

– No i jak tam sprawy sercowe? – spytał Münster, kiedy już usiadł obok Rootha w jego starym Citroënie. Musieli mieć jakiś temat do rozmów niezwiązany z pracą.

– Nic się nie dzieje – odpowiedział Rooth. – Czasami sobie myślę, że przydałby się taki zastrzyk, który pozwoliłby raz na zawsze pozbyć się pożądania.

– No co ty – odparł Münster, żałując, że poruszył ten wątek.

– Bo kobiety są jakieś dziwne – ciągnął Rooth. – Przynajmniej te, na które ja trafiam. W zeszłym tygodniu zaprosiłem jedną taką – rudowłosą donnę z Oosterbrügge, która robiła u nas w mieście jakiś kurs pielęgniarstwa. Wybraliśmy się do kina, a potem do Krausa, a kiedy później ją spytałem, czy nie wpadłaby do mnie na kieliszek wina, to wiesz, co mi odpowiedziała?

– Nie mam pojęcia.

– Że spieszy się do swojego chłopaka. Bo przyjechał do miasta i czeka na nią w hotelu dla pielęgniarek.

– Niesamowite – odparł Münster.

– Po prostu masakra – dodał Rooth. – Nie, nie, chyba powoli robię się za stary, żeby uganiać się za kobietami. Może lepiej dać ogłoszenie w gazecie. Kurmannowi z dochodzeniówki udało się w ten sposób trafić prawdziwy los na loterii... ale do czegoś takiego trzeba mieć piekielne szczęście.

Zamilkł i skoncentrował się na wyprzedzaniu niebieskiego wozu meblowego, żeby nie wjechać prosto na tramwaj linii 12. Münster zamknął oczy, a kiedy z powrotem uniósł powieki, stwierdził z ulgą, że

się im udało.

– A co u ciebie? – spytał Rooth. – Wciąż żadnych zgrzytów z najpiękniejszą policjantką świata?

– Istny raj – rzekł Münster i po krótkim zastanowieniu musiał przyznać, że wcale nie przesadza. Synn to po prostu Synn. Od czasu do czasu niepokoiło go tylko pytanie, co taka kobieta jak ona może w nim widzieć – w kiepsko zarabiającym gliniarzu, o dziesięć lat od niej starszym i zapracowanym tak bardzo, że prawie w ogóle nie starcza mu czasu ani dla niej, ani dla dzieci. Dlatego nierzadko dochodził do wniosku, że dostał od losu coś, na co nie zasłużył, i że pewnie wcześniej czy później będzie musiał za to zapłacić.

Ale po co się martwić na zapas? Ma przecież udane małżeństwo, dwójkę dzieci; może lepiej po prostu być wdzięcznym i się cieszyć. Tak czy siak, nie zamierzał omawiać swoich rozterek z inspektorem kryminalnym Roothem.

– Powinieneś zgolić tę brodę – powiedział. – Gdybym był kobietą, nigdy bym...

Rooth przeciągnął dłonią po swojej szczęce i zerknął w lusterko wsteczne.

– Cholera – rzekł. – Moim zdaniem wcale nie wygląda źle. Nie jestem przekonany, czy ty faktycznie znasz się na kobietach.

– W porządku – odparł Münster. – Rób, jak chcesz. To co z Meusem?

– Chyba musimy jak zwykle zaprosić go na szklaneczkę – odpowiedział Rooth, zajeżdżając właśnie przed zakład medycyny sądowej. – Co ty na to?

– Tak chyba będzie najprościej.

Lekarz medycyny sądowej Meusse nie uporał się jeszcze ze zwłokami dostarczonymi tego dnia, toteż Münster i Rooth woleli nie przeszkadzać mu w pracy i postanowili poczekać w jego biurze.

Przyszedł jakieś dwadzieścia pięć minut później, niż się umówili, i Münster od razu poznał, że Meusse ma za sobą ciężki dzień. Jego kruche ptasie ciało bardziej niż zwykle przypominało szkielet, twarz przybrała barwę popiołu, a oczy za grubymi szklami okularów jakby

jeszcze głębiej zapadły się w oczodołach – jak gdyby napatrzyły się do przesytu na zło i zepsucie tego świata. Münster miał już dość, kiedy zaledwie przez pięć sekund rzucił okiem na okaleczone ciało i przez dziesięć sekund na zdjęcia, a domyślał się, że lekarz sądowy babrał się w tych gąbczastych zwłokach co najmniej dziesięć albo dwanaście godzin.

Meusse przywitał ich bez słów, po czym zdjął z siebie poplamiony biały kitel i powiesił go na wieszaku koło drzwi. Umył ręce pod kranem, a potem założył leżącą na biurku marynarkę. Kilkakrotnie pogładził dłonią swoją kompletnie łysą czaszkę i westchnął.

– To co, moi panowie?

– Może lepiej będzie się nam rozmawiało przy szklaneczce naprzeciwko? – zaproponował Rooth.

Bar Fix leżał zaraz po drugiej stronie ulicy, wystarczyło wyjść z zakładu medycyny sądowej tylnym wyjściem.

Meusse szedł przodem z rękami w kieszeniach i uniesionymi do góry ramionami. Dopiero po sporym geneverze i połowie kufła piwa był gotów włączyć się do rozmowy. I Münster, i Rooth spotykali się z nim niejeden raz, dlatego dobrze wiedzieli, że nie ma sensu go pognąć – ani próbować mu przerywać, kiedy już zacznie mówić. Odpowiedzi na ewentualne pytania padały zawsze dopiero wtedy, gdy skończył swoje sprawozdanie.

– No cóż, moi panowie – zaczął Meusse. – Widzę, że pan komisarz tym razem się nie pojawił. Co mnie nie dziwi. Trafiliście na faktycznie paskudne zwłoki. Jeśli wolno skromnemu patologowi wyrazić jakieś życzenie, to prosiłbym, abyście w przyszłości wykopywali je trochę wcześniej. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do ciał, które leżą i gniją Bóg wie jak długo... trzy, maksymalnie cztery miesiące, mniej więcej taka jest granica. Dziś po południu jeden z moich asystentów nie dał rady i zostawił mnie samego. To fakt.

– No a ile lat miała ofiara? – rzucił Rooth, gdy Meusse pochylił się nad kuflem.

– Jak powiedziałem: te zwłoki były nieprzyzwoicie nieapetyczne.

Nieapetyczne, powtórzył w myślach Münster. W tym momencie przypomniało mu się, że Meusse opowiedział mu kiedyś, jak bardzo

jego życie się zmieniło i stało się ponure w następstwie wykonywania tej niewdzięcznej profesji. Jak w wieku trzydziestu lat został impotentem, jak pięć lat później opuściła go żona, jak mając czterdziestkę, przeszedł na wegetarianizm, i jak po dojściu do pięćdziesiątki przestał niemal całkowicie przyjmować stałe pokarmy... bo własne ciało i jego życiowe funkcje w miarę upływu lat robiły się dla niego coraz bardziej odpychające. Wzbudzają we mnie jedynie wstręt i odrazę – zwierzył się pewnego popołudnia Münsterowi i Van Veeterenowi, gdy przy jakiejś okazji wypili zdecydowanie więcej niż zwykle.

Chyba nie ma się co dziwić, pomyślał Münster. To pewnie naturalne zjawisko.

– Określenie, kiedy w przybliżeniu nastąpiła śmierć, jest trudne – kontynuował Meusse, zapalając cienkiego papierosa. – Powiedziałbym, że osiem miesięcy temu, ale mogę się mylić o dwa miesiące w jedną albo w drugą stronę. Wyniki z laboratorium będziemy mieli za jakieś parę tygodni. Obawiam się, że jeśli chodzi o przyczynę śmierci, sprawa wygląda równie kiepsko. Pewne jest jedynie to, że delikwent umarł dużo wcześniej, zanim znalazł się w tym dole. Co najmniej dwanaście godzin. A może całą dobę. Na dywanie prawie nie ma krwi, w zwłokach też jest jej mało. Obcięcie głowy i okaleczenie rąk i nóg nastąpiło wcześniej. Mówiąc wprost: krew zdążyła już wyciec.

– A jak dokonano okaleczenia? – spytał Münster.

– Nieprofesjonalnie – odparł Meusse. – Prawdopodobnie siekierą. I to chyba niezbyt dobrze naostrzoną, czyli musiało to trochę potrwać.

Wypił piwo do ostatniego łyka. Rooth wstał, aby przynieść następną szklanekę.

– O przyczynie śmierci można powiedzieć jedynie tyle, że musiała się kryć w głowie.

– W głowie? – powtórzył Rooth.

– Tak, w głowie – potwierdził Meusse i jakby dla jasności wskazał palcem na swoją łysą czaszkę. – Mógł dostać kulkę w łeb albo zginął od ciosu siekierą, ale tak czy inaczej, zmarł wskutek urazu głowy. Po-

minąwszy okaleczenie i rozkład, tułów jest nienaruszony... oczywiście nie biorę pod uwagę uszkodzeń wtórnych spowodowanych przez wygłodniałe lisy i wrony, które dobrały się do zwłok w paru miejscach. Ale to są zmiany nieistotne. Dywan i woda w rowie miały działanie niejako konserwujące... albo przynajmniej spowolniły proces rozkładu.

Münster uniósł swoją szklanę z piwem, ale zaraz odstawił ją z powrotem na brudny stół.

– Jeżeli chodzi o wiek i cechy szczególne – kontynuował Meusse niestrudzenie – szacujemy, że mógł mieć pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu lat, sto osiemdziesiąt trzy do sześciu centymetrów wzrostu i był raczej delikatnej budowy, sądząc po lekkim szkielecie. Powiedziałbym, że był zbudowany dosyć proporcjonalnie. Żadnych złamań kości nóg czy rąk, żadnych blizn pooperacyjnych. Być może na ciele znajdowały się inne, bardziej powierzchowne blizny czy narośle, ale uległy rozkładowi albo przylepiły się do dywanu. Identyfikację dodatkowo utrudnia swego rodzaju symbioza, do której doszło między ciałem a tkaniną dywanu. Można by powiedzieć, że oba te obiekty stopiły się albo właściwie rozpuściły w sobie.

– A niech to szlag – odezwał się Rooth.

– No właśnie – odparł Meusse. – Jakież pytania?

– Czyli nie ma żadnych znaków szczególnych? – dopytał Münster.

Nagle Meusse się uśmiechnął. Jego wąskie wargi uniosły się do góry, odsłaniając dwa rzędy zaskakująco białych i zdrowych zębów.

– Jest jeden – powiedział, nie pozostawiając wątpliwości, że powstała sytuacja jest dla niego źródłem przyjemności. Bo oto wreszcie miał tę ponurą satysfakcję, że chociaż przez kilka nędznych sekund mógł wystawić na tortury swoich rozmówców. Triumf dumy zawodowej, pomyślał Münster.

– Zakładając, że sprawca starał się usunąć wszystko, co mogłoby ułatwić identyfikację, jedną rzecz przegapił – wyjaśnił Meusse.

– Co takiego? – spytał Rooth.

– Jądro – powiedział krótko Meusse.

– Co? – zdziwił się Münster.

– Ofiara ma tylko jedno jądro – doprecyzował Meusse.

– Trup z jednym jajem? – zapytał Rooth z ubawioną miną.

– No proszę – rzekł Münster. – To na pewno bardzo nam pomoże.

Choć nie była to zamierzona ironia z jego strony, zauważył od razu, że swoją uwagą uraził skromnego lekarza sądowego. Kaszlnąwszy, próbował odwrócić jego uwagę i wznosił szklanę do góry, jednak na próżno.

– Jeśli chodzi o dywan, porozmawiajcie jutro z Van Impem. Teraz muszę już iść. Z samego rana na waszych lśniących na wysoki połysk biurkach będzie leżał raport na piśmie.

Dopił swoje piwo do końca i podniósł się z krzesła.

– Dzięki – rzekł Rooth.

– Do zobaczenia, panowie – pożegnał się Meusse. – Będziemy wdzięczni, jeśli w najbliższych dniach nie przywleciecie nam znowu jakiegoś kolejnego zleżalego korpusu.

W drzwiach zatrzymał się na chwilę.

– Ale jeżeli przypadkiem natkniecie się na te brakujące części, to ma się rozumieć, chętnie poskładamy wszystko do kupy. Zawsze do usług.

Münster i Rooth siedzieli jeszcze kilka minut, popijając piwo.

– Z jakiego powodu można mieć tylko jedno jądro? – spytał Rooth.

– Nie wiem – odparł Münster. – Ale jedno w zasadzie wystarczy. Może to drugie sobie uszkodził. I musiał je usunąć albo coś w tym rodzaju.

– A nie mógł mu go zjeść jakiś zwierzak w tym rowie?

Münster wzruszył ramionami.

– Mnie nie pytaj. Ale skoro Meusse twierdzi, że nie było go już wcześniej, to na pewno wie, co mówi.

Rooth skinął głową.

– Cholernie przydatny trop – rzekł.

– Owszem – zgodził się z nim Münster. – Akurat taka informacja jest na pewno do znalezienia we wszystkich rejestrach osobowych. Uwaga: osobnik z jednym jajem! Nadal uważasz, że uporamy się z tą sprawą w ciągu tygodnia?

– Nie – przyznał Rooth. – Ale rok może nam wystarczyć. Idziemy?



Jadąc z powrotem na komendę, prawie się nie odzywali. Stwierdzili jedynie, że trzeci mężczyzna z listy potencjalnych kandydatów, Piit Choulenz z Hagmerlaan, prawdopodobnie jest za młody, by mógł być brany pod uwagę.

Jak wynikało z danych, nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat, a choć Meusse podkreślał, że dokonana przez niego ocena wieku ofiary jest dalece nieprecyzyjna, Rooth i Münster dobrze wiedzieli, że on rzadko się myli. Nawet w czystych spekulacjach.

Ale już Claus Menhevern i Pierre Kohler wchodzili w rachubę z całą pewnością. Toteż wiadomo było, że każdy z nich zajmie się swoim. Nie musieli się nad tym specjalnie rozwodzić.

– Którego chcesz? – spytał Rooth.

Münster zerknął na nazwiska.

– Może być ten Pierre Kohler – zdecydował. – Dobrze by było załatwić to jeszcze dziś wieczorem.

Rooth spojrzął na zegarek.

– Jasne – zgodził się. – Dopiero siódma. Porządny glina nie wraca do domu przed dziewiątą.

## 6

Kiedy dojechał na miejsce, właśnie ładowano wszystko do samochodów.

– Dobry wieczór, komisarzu – przywitał go inspektor le Houde. – Szuka pan czegoś konkretnego?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Chcę się tylko trochę rozejrzeć. Skończyliście już badanie terenu?

– Tak – odparł le Houde. – Takie dostaliśmy polecenie. Ale według mnie chyba już faktycznie wystarczy. Trudno się tu spodziewać jakichś wielkich rezultatów.

– A znaleźliście cokolwiek?

Le Houde roześmiał się głośno. Wyjął z kieszeni chustkę do nosa i wytarł nią sobie czoło.

– Całe mnóstwo – powiedział, wskazując na kilka czarnych plastikowych worków w policyjnej furgonetce, widocznych przez otwarte tylne drzwi. – Zebraliśmy każdą rzecz, każdy drobiazg, których teoretycznie nie powinno być w lesie... z obszaru mniej więcej dwudziestu boisk piłkarskich. Teraz przejrzeć to wszystko – to dopiero będzie niezła zabawa.

– Hm – bąknął Van Veeteren.

– A potem chyba wystawimy rachunek firmie oczyszczania miasta i okolic z Behren. Bo to właściwie ich robota.

– Dobry pomysł, popieram – powiedział Van Veeteren. – Zrobię sobie małą rundkę dla rozeznania.

– Powodzenia, komisarzu – odparł z uśmiechem le Houde i zatrzaskał drzwi furgonetki. – Będziemy w kontakcie.

Ruszył dróżką. Tą samą, którą, jeśli dobrze zrozumiał, szła wcześniej grupa przedszkolaków. Nie należała do zbyt wygodnych. Miejscami miała co najwyżej pół metra szerokości, była pełna wystających korzeni, ostrych kamieni i innych nierówności... nie, nie, lokalna policja chyba ma rację: morderca raczej musiał przyjść od innej strony. Prawdopodobnie zostawił swój samochód przy drodze dla konnych jeźdźców po drugiej stronie niewielkiego wzniesienia, które ciągnęło się przez cały obszar leśny, a potem niósł albo ciągnął ten swój pakunek pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów przez las... po gęsto zarośniętym i lekko wznoszącym się terenie. Las nie należał do zadbanych, więc zadanie nie było łatwe, to nie ulegało wątpliwości. Jeśli nie brało w tym udziału kilka osób, tylko jedna, to musiał to być ktoś rostry i silny. Raczej nie kobieta i nikt starszy... na taki wniosek chyba można było się odważyć.

Dotarł do miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Czerwono-biała taśma nadal otaczała część rowu, ale już nikt go nie pilnował. Van Veteren zatrzymał się w odległości trzech, czterech metrów. Przez jakieś pół minuty przyglądał się uważnie ponurej scenerii i nagle poczuł wielką ochotę na papierosa.

Przeszedł na drugą stronę rowu i zaczął przedzierać się w kierunku drogi do jazdy konnej. Prawdopodobnie drogi mordercy. Zajęło mu to siedem, osiem minut i kosztowało wiele zadrapań na rękach i twarzy.

Gdybyśmy znaleźli te zwłoki od razu, pomyślał, wtedy moglibyśmy prześledzić kroki sprawcy metr po metrze.

Teraz było to już niemożliwe.

Niemożliwe i chyba bez większego znaczenia. Jeśli kiedykolwiek uda się im wyjaśnić tę sprawę, to na pewno nie dzięki kilku połamanym gałęziom. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dziś sama zbrodnia oraz jej sprawca znajdują się daleko – i w czasie, i w przestrzeni.

Nie wspominając już o ofierze.

Ruszył z powrotem w stronę parkingu.

To dziwne, że nikomu nie brakuje zmarłego, przyszło mu nagle do głowy. Że nikt nie zwrócił uwagi, że zniknął.

Po prostu nikt.

Nie mógł przestać o tym myśleć. I gdyby ta gruba dziewczynka przypadkiem go nie odkryła – kontynuował swój tok rozumowania – mogłoby minąć jeszcze wiele lat i nadal nikomu nie byłoby go brak. Cała wieczność. A w tym czasie proces rozkładu i cała masa innych czynników doprowadziłyby do tego, że w końcu by kompletnie zniknął. Dlaczego nie?

Z wyjątkiem resztek kości, oczywiście. I wyszczerzonej trupiej czaszki. Yoryk, tu wisiały twoje wargi\*... nie, przecież tutaj nie ma czaszki.

I wtedy nikt nie musiałby nawet kiwnąć palcem.

Kompletnie niezauważalna śmierć.

Nie była to sympatyczna wizja. Próbował odepchnąć ją od siebie, ale jedyne, co pojawiała się zamiast niej w jego wyobraźni, to obraz jasno oświetlonego stołu operacyjnego, na którym leżało bezwładne, uśpione ciało – jego własne.

A jakiś nieznajomy w zielonym stroju pochylał się nad jego brzuchem z naostrzonymi nożami w ręku.

Zapadał już zmrok. Przyspieszył kroku, a kiedy dwadzieścia minut później zatrzymał się przy kiosku na stacji kolejowej, żeby kupić papierosy, poczuł na swojej ręce pierwsze krople deszczu.

## 7

Po krótkim namyśle Rooth zdecydował się zadzwonić, zamiast jechać na miejsce. Do Blochberg było jednak piętnaście kilometrów, a dochodziło już wpół do ósmej.

Kiedy później odłożył słuchawkę, cieszył się, że jego rozmówczyni przynajmniej nie wie, jak on wygląda. I jeśli miał szczęście, to pewnie nawet nie usłyszała jego nazwiska; w każdym razie miał taką nadzieję, kiedy szybko bąknął je pod nosem.

Nie była to bowiem przyjemna rozmowa.

– Halo?

– Pani Menhevern?

– Tak, Marie-Louise Menhevern.

Głos był ostry i odpychający.

– Nazywam się Rooth, jestem z policji kryminalnej. Dzwonię w związku z pewnym zaginięciem. Zgłosiła pani, że poszukuje pani swojego męża, Clausa Menheverna, od czerwca ubiegłego roku. Czy to się zgadza?

– Nie, nigdy nie twierdziłam, że go poszukuję i że mi go brak. Tylko że zniknął.

– W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego?

– Tak.

– Nie wrócił od tamtego czasu?

– Nie.

– Nie miała pani od niego żadnych znaków życia?

– Nie. Gdybym miała, to przecież bym o tym poinformowała.

- I nie ma pani pojęcia, co mogło się z nim stać?
- Owszem, przypuszczam, że zawinął się z jakąś inną kobietą. To do niego podobne.
- Rozumiem. A gdzie mógłby teraz być, pani zdaniem?
- Skąd mam to wiedzieć, panie posterunkowy? Czy pan na pewno jest z policji?
- Oczywiście.
- To czego pan chce? Znalazł go pan?
- To zależy – rzekł Rooth. – Ile jąder miał pani mąż?
- Co to, u diabła, ma znaczyć?
- Oczywiście zwykle każdy mężczyzna ma dwa... ale może pani mąż musiał jedno usunąć, czy coś w tym rodzaju?
- Zobacz pan, ja jeszcze ustalę, skąd pan dzwoni.
- Ależ droga pani Menhevern, to nie tak, jak pani myśli...
- Co za diabelskie nasienie, najgorszy typ, jaki można sobie wyobrazić! Nawet nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy. Świnie, nie ludzie! Gdybym tylko miała tu pana przed sobą, to ja już bym...

Przerażony Rooth odłożył słuchawkę. Przez pół minuty siedział nieruchomo... jakby najmniejsza nieostrożność miała go zdradzić. Wpatrywał się przez szybę w ciemniejące wieczorne niebo nad miastem.

Nie, pomyślał, ja nie potrafię porozumieć się z kobietami. Tak już po prostu jest.

Następnie postanowił skreślić Clausa Menheverna z listy potencjalnych ofiar. Co znaczyło, że została na niej już tylko jedna osoba.

Münster zaparkował przed wyraźnie zaniedbanym domem przy Arma-stenstraat. Odczekawszy chwilę w samochodzie, ruszył przez ulicę prosto do wejścia. Niedający się z niczym pomylić odór kocich sików unosił się na klatce schodowej, na ścianach zaś ziały duże dziury w miejscach, w których odpadł tynk. Na liście lokatorów nie było żadnego Pierre'a Kohlera, tyle że ów spis nie budził – podobnie jak cały dom – wielkiego zaufania, dlatego Münster postanowił sprawdzić wszystkie drzwi po kolei.

Na czwartym piętrze znalazł to, czego szukał.

Pierre Kohler

Margite Dellling

Jürg Eschenmaa  
Dolomite Kazaj

przeczytał na napisanej odręcznie kartce nad otworem na listy.

Nacisnął guzik dzwonka. Żadnej reakcji, prawdopodobnie dzwonek nie działał. Zapukał więc kilka razy. Po chwili usłyszał czyjeś kroki, po czym drzwi otworzyła kobieta koło pięćdziesiątki. Miała na sobie różowy płaszcz kąpielowy luźno zawiązany na otyłym ciele i z dezaprobatą zmierzyła przybysza od stóp do głów.

Wyraźnie nie zrobił na niej dobrego wrażenia.

Ona na nim też nie.

– Jestem z policji – wyjaśnił, mignawszy legitymacją służbową. – Chodzi o zaginięcie. Mogę wejść?

– Tylko z nakazem przeszukania – odparła kobieta.

– Dziękuję – powiedział Münster. – W lesie niedaleko stąd znaleźliśmy zwłoki i nie można wykluczyć, że chodzi o Pierre’a Kohlera, którego zaginięcie zgłoszono w sierpniu zeszłego roku.

– A niby dlaczego to miałyby być on? – zdziwiła się kobieta, bawiąc się paskiem swojego szlafroka.

– Oczywiście nie mamy pewności – rzekł Münster. – Po prostu sprawdzamy wszystkich, którzy zaginęli... to całkiem rutynowe pytanie. Co prawda wiek wydaje się zgadzać, wzrost też, ale poza tym nic nie wskazuje na to, że to on.

Dlaczego stoję tu jak ofiara i jestem taki cholernie grzeczny dla tego babska, pomyślał. Powinienem był od razu mocniej wziąć ją w obroty.

– No i? – odezwała się i zapaliła papierosa.

– Jest pewien szczegół – zaczął Münster.

– Szczegół?

– Tak, po którym jednoznacznie można by go zidentyfikować... ciało, które znaleźliśmy w lesie, nie ma głowy. I dlatego tak trudno jest ustalić kto to.

– Aha.

W przedpokoju za kobietą pojawił się jakiś mężczyzna. Skinął ponuro głową w stronę Münstera i położył rękę na jej ramieniu.

– Co to za szczegół? – spytał.

– No więc – odezwał się Münster – naszej ofierze brakuje jednego

jądra... prawdopodobnie zostało usunięte operacyjnie już wcześniej. Czy wiadomo państwu może...?

Mężczyzna zaczął gwałtownie kaszleć, na co Münster zamilkł. Kiedy atak minął, zdał sobie sprawę, że to był raczej napad śmiechu. Mężczyzna bowiem się teraz uśmiechał. I kobieta też.

– No więc tak, panie starszy szeregowy – odezwał się mężczyzna, pukając się w czoło. – To tutaj to moja głowa. A jeśli chce mi pan policzyć jaja, to musi pan wejść do środka. Nazywam się Pierre Kohler.

Dlaczego, do diabła, po prostu nie zadzwoniłem, pomyślał Münster.

Kiedy po powrocie do domu skończył czytanie na głos bajki na dobranoc, zatelefonował do niego Rooth.

– I jak poszło? – spytał.

– To nie on – odpowiedział Münster. – Kohler żyje i ma się całkiem dobrze. Po prostu zapomnieli zgłosić.

– Ajajaj – skwitował Rooth.

– A twój?

– Chyba podobnie – westchnął Rooth. – W każdym razie wygląda na to, że wszystko miał na miejscu. Zdaje się, że znudziła mu się żona i dał nogę.

– Rozumiem. To co teraz robimy?

– Zastanawia mnie jedno – powiedział Rooth. – Chodzi mi o to okaleczenie. Albo na dłoniach i stopach były jakieś znaki szczególne, albo sprawa jest jeszcze prostsza.

– Prostsza? – powtórzył Münster.

– Odciski palców – wyjaśnił Rooth.

Münster zastanowił się chwilę.

– Przecież żeby pozbyć się odcisków palców, nie trzeba odrąbywać stóp – powiedział w końcu.

– Zgadza się – potwierdził Rooth. – Ale może sprawca zrobił to tylko po to, żeby wprowadzić nas w błąd. Rozumiesz?

Münster zastanowił się znowu.

– Jasne – powiedział. – To znaczy, że mamy odciski palców zamordowanego. On jest w naszym rejestrze.

– Sprytny z ciebie glina – pochwalił go Rooth. – Tak, w naszym ar-



chiwum muszą być jego odciski palców, daję za to głowę. A wiesz może, ile mamy ich w sumie?

– Chyba ze trzysta tysięcy – odparł Münster.

– Niemało. Czyli w ten sposób nie uda się nam go namierzyć, ale to już coś. Widzimy się jutro.

– Do jutra – odpowiedział Münster i odłożył słuchawkę.

– Nad czym teraz pracujecie? – spytała Synn, kiedy wyłączyli światło, a on otoczył ją ramieniem.

– Nad niczym szczególnym – powiedział Münster. – Szukamy jednego kołosa, który skończył odsiadkę i zniknął w zeszłym roku. Był w wieku pięćdziesięciu pięciu, sześćdziesięciu lat i miał tylko jedno jądro.

– Interesujące – stwierdziła Synn. – Jak chcecie go znaleźć?

– Już to zrobiliśmy – odparł Münster. – Tyle że znaleźliśmy go martwego.

– Aha, rozumiem – skwitowała Synn. – Czy mógłbyś mnie objąć trochę mocniej?

## 8

Nie ulegało wątpliwości, że to Münster wygrał wszystkie trzy sety, ale był to najbardziej wyrównany pojedynek, jaki rozegrali w ostatnich latach. 15:10, 15:13, 15:12 – tak wyglądałyby ostateczne wyniki, gdyby ktoś zadał sobie trud i wywiesił je na tablicy, ale komisarz długo prowadził, zarówno w drugim, jak i w trzecim secie. W ostatnim miał nawet przewagę 12:8.

– Gdybym nie zawalił tego serwu, to dostałbyś niezłe lanie – stwierdził, kiedy wracali razem do szatni. – Powinieneś o tym pamiętać.

– Wyjątkowo dobra gra – skomentował Münster. – Pan komisarz jest wyraźnie w świetnej formie.

– W świetnej formie! – prychnął Van Veeteren. – To przedśmiertne podrygi. Pozwolę sobie przypomnieć, że właśnie idę pod nóż.

– Niemożliwe! – zakrzyknął Münster, jakby nie wiedział tego, co było wiadome wszystkim na komendzie. – A kiedy dokładnie?

– Do szpitala idę dziś wieczorem. Operacja odbędzie się jutro o jedenastej. Tak, tak, każdego to czeka.

– Mam wujka, który miał raka jelita grubego – powiedział Münster. – Był operowany dwa razy. I świetnie się czuje.

– Ile ma lat?

– Chyba siedemdziesiąt.

Komisarz bąknął coś pod nosem i opadł na ławkę.

– Może po prysznicu przysiadziemy jeszcze na szklaneczkę u Ade-naara – zaproponował Van Veeteren. – Chciałbym wiedzieć, jak wam idzie.

– Okej – odparł Münster. – Tylko zadzwonię do Synn.

– Jasne. Pozdrów ją ode mnie.

Najwyraźniej boi się, że nie przeżyje, pomyślał Münster, i nagle zrobiło mu się żal komisarza. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy i zupełnie zaskoczyło go to uczucie. Odwrócił się w głąb kabiny i ciepłą wodą spłukał z twarzy nieoczekiwany uśmiech.

U Adenaara komisarz powrócił do swojego starego ja. Nie kryjąc wściekłości, skarżył się na wodę w piwie i dwa razy kazał przynieść sobie nową szklankę. Posłał też Münstera, żeby kupił mu papierosy, a potem strząsał popiół do doniczek.

– Jak już mówiłem, w razie czego jestem do dyspozycji. Na razie nic nie ustaliliście?

Münster westchnął. Pociągnął duży łyk piwa, po czym zaczął zdawać relację.

Musiał oczywiście przyznać, że Van Veeteren ani trochę się nie pomylił w swoich przypuszczeniach. Niezidentyfikowane zwłoki znalezione pod Behren pozostawały nadal niezidentyfikowane. Minęły dwa tygodnie, a ani wciąż tkwili w tym samym miejscu.

Co nie znaczy, że ich wspólnym wysiłkom można było coś zarzucić; absolutnie nic, tyle tylko że na razie nie przyniosły żadnych rezultatów. Wielokrotnie ogłaszano w gazetach, radiu i telewizji apele o współpracę. O sprawie donosiły media w całym kraju, ale po upływie tygodnia ich zainteresowanie jak zwykle opadło. Zbadano każdy odnotowany w kraju przypadek zaginięcia (brano pod uwagę mężczyzn w wieku od czterdziestu do siedemdziesięciu lat, w razie gdyby, wbrew wszelkim przypuszczeniom, Meusse trochę się pomylił), lecz do tej pory ani jeden się nie zakwalifikował, choćby z powodu tej sprawy z jądrem. Rooth obdzwonił całkiem sporo szpitali i ustalił, że w kraju może być od 900 do 1000 mężczyzn w interesującej ich grupie wiekowej, którzy z różnych powodów pozbawieni są jednego jądra. Była to liczba znacznie większa, niż się spodziewano, a dotarcie do tych osób za pośrednictwem choćby raportów medycznych okazało się mniej lub bardziej niewykonalne, zwłaszcza ze względu na tajemnicę lekarską. Münster skontaktował się także z trzema czy czterema dyrektorami zakładów karnych, aby w konsekwencji dojść do wnio-

sku, że stan wiedzy o organach płciowych więźniów stanowił karygodnie zaniedbany rozdział opieki nad osadzonymi.

– W gruncie rzeczy przeszukiwanie więzień nie ma większego sensu – stwierdził Münster. – Te odciski palców to tylko hipoteza.

Van Veeteren pokiwał głową.

– A co z dywanem? – spytał.

– Akurat o nim wiemy całkiem sporo. Czy komisarz chce posłuchać?

– W dużym skrócie, proszę.

– Dywan z krowiego włosia. Kiepskiej jakości, pierwotnie koloru niebieskiego i szarego. Sto sześćdziesiąt na sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Mógł mieć trzydzieści do czterdziestu lat. Żadnych metek ani nic w tym rodzaju, całkiem wytarty, jeszcze zanim go użyto do... zawinięcia.

– Hm – mruknął Van Veeteren.

– Są na nim ślady psiej sierści i pięćdziesięciu innych rzeczy, które można znaleźć w każdym gospodarstwie domowym. Poza tym brązowy sznur do pakowania. Nim dywan był związany. Złożony podwójnie, żeby lepiej trzymał. Całkiem zwykły. Takiego sznurka sprzedaje się rocznie w całym kraju około dwustu tysięcy metrów.

Komisarz zapalił papierosa.

– A od Meussego są jakieś nowości?

– Trochę – odparł Münster. – Przeprowadzono analizę DNA i o ile dobrze zrozumiałem, ustalono cały kod genetyczny. Problem polega tylko na tym, że nie mamy go do czego odnieść.

– Chwała Bogu – powiedział Van Veeteren.

– Też tak uważam – rzekł Münster. – Z grubsza biorąc, wiemy o tym przeklętym trupie wszystko, co tylko można wiedzieć...

– Oprócz tego, kto to był – uzupełnił Van Veeteren.

– No tak, oprócz tego – westchnął Münster.

– Czy ta sprawa z jądrem wyciekła do mediów? Jakoś nigdzie nic nie zauważyłem.

– Nie – rzekł Münster. – Chcieliśmy to na razie zachować dla siebie. Żeby mieć pewność, kiedy pojawi się ten właściwy trop. Chociaż mam wrażenie, że trochę już przeciekło.

Van Veeteren zamyślił się przez chwilę.

– Musiał być piekielnie samotny – stwierdził wreszcie. – Nieprawdopodobnie samotny.

– Czytałem o przypadkach, kiedy ludzie leżeli martwi w swoich domach dwa albo trzy lata i nikt się nimi nie zainteresował – powiedział Münster.

Van Veeteren pokiwał ponuro głową. Po chwili przywołał kelnerkę i zamówił jeszcze dwa piwa.

– Nie wiem, czy powinienem... – odezwał się Münster z ociąganiem.

– Ja zapraszam – oświadczył komisarz i tym samym rozwiązał problem. – Myślisz, że on w ogóle został zgłoszony jako zaginiony? Gdziekolwiek?

Münster w zadumie popatrzył przez okno.

– Raczej nie – rzekł w końcu. – Zastanawiałem się nad tym i raczej nie sędzę.

– Oczywiście nie można też wykluczyć, że to cudzoziemiec – rzucił Van Veeteren. – W dzisiejszych czasach granice są tak otwarte, że każdy może przyjechać z trupem w bagażniku.

Münster potaknął.

– Co zamierzacie dalej?

Münster nie od razu odpowiedział.

– Hm, chyba trzeba będzie zawiesić sprawę na kołku. Rooth siedzi już nad czym innym. Przypuszczam, że Hiller pojutrze przydzieli mnie do grupy Reinharta. A nasz bezgłowy będzie musiał poleżeć w lodówce i poczekać na kolejny zbieg okoliczności.

Van Veeteren pokiwał głową z uznaniem.

– Tak jest – powiedział, unosząc szklanę. – Piekielnie dobrze to ująłeś! Poleżeć w lodówce i poczekać na zbieg okoliczności – może to niezupełnie zgodnie z planem, ale cóż! Tak czy inaczej, na zdrowie!

– Na zdrowie – odparł Münster.

– A pan komisarz nie da mi żadnej dobrej rady? – spytał, kiedy wychodzili już z lokalu.

Van Veeteren podrapał się po karku.

– Nie. Przecież sam już powiedziałaś: trzeba umieć być cierpliwym. Kury nie będą szybciej znosić jajek od tego, że będziemy stać nad nimi i się gapić.

– Skąd pan komisarz bierze te wszystkie powiedzonka?

– Nie mam pojęcia – rzucił ubawiony Van Veeteren. – My, poeci, tak już mamy. To po prostu na nas spływa.

## 9

Pierwszą informację zlekceważyła. Zaledwie kilka linijek w jednej z wieczornych gazet, którą przeglądała w drodze z lotniska. Łatwo było ją przeoczyć.

Później zaczęło ją to trochę niepokoić. Kiedy już się rozpakowała i połknęła swoje dwie tabletki, sięgnęła po gazety codzienne, które pani Pudecka jak zwykle poukładała porządnie na kuchennym stole. Następnie usiadła wygodnie w biedermeierowskim fotelu przed kominkiem i zaczęła przeglądać uważnie jedną po drugiej. Ogarnęły ją złe przeczucia. Na razie chodziło oczywiście tylko o czysty wytwór jej wyobraźni – jakieś chimeryczne fantazje mające przypuszczalnie swe źródło w jej niezbyt czystym sumieniu. W tym nieokreślonym poczuciu winy, właściwie niemającym żadnego uzasadnienia, które jednak cały czas ją prześladowało... Mniej lub bardziej dokuczliwe, ale zawsze obecne. Wolałaby, żeby było inaczej. Żeby poczucie winy zdecydowało się wreszcie zniknąć – na dobre. Raz na zawsze.

Jednak tak się oczywiście nie stało.

Poszła do kuchni. Zrobiła sobie świeżą herbatę, wzięła gazety do sypialni i zabrała się do przeglądania ich jeszcze raz, teraz bardziej systematycznie. Leżała wyciągnięta pod kołdrą i wpatrywała się w tekst, podczas gdy myślami cofnęła się w czasie, usiłując przypomnieć sobie daty i zdarzenia. Kiedy zaczęło zmierzchać, zdrzemnęła się chwilę, ale ocknęła się gwałtownie, gdy nieoczekiwanie tuż przed sobą zobaczyła całkiem wyraźnie jego twarz.

Jego zupełnie niemą i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz o niezgłębionych oczach.

Wyciągnęła rękę i zapaliła lampkę.

Czy to mógł być on?

Spojrzała na zegarek. Wpół do siódmej. Mimo wszystko za późno, by jeszcze wsiąść do samochodu. Po podróży samolotem jak zwykle czuła się zmęczona. Przecież nikt nie może od niej żądać, żeby zajęła się tym natychmiast, rozumiała jednak doskonale, że tej sprawy nie da się tak po prostu zamieść pod dywan i żywić nadzieję, że będzie się miało święty spokój. Są rzeczy, których nie da się uniknąć. To obowiązki.

Wzięła prysznic i ze dwie godziny przesiedziała przed telewizorem. Zadzwoiła do Liesen i zameldowała, że wróciła, nie wspomniała jednak ani słowem o swoich obawach. To oczywiste. Liesen o niczym nie wiedziała; nigdy nie było powodu, by ją wtajemniczać.

Żadnego powodu.

W wiadomościach nawet nie zająknęli się na ten temat. Trudno się dziwić: minęły ponad dwa tygodnie i działy się ważniejsze rzeczy, o których należało poinformować obywateli. Ta sprawa przypuszczalnie zniknęła już z pamięci i świadomości opinii publicznej i być może, jeśli ona się teraz nie włączy, cała historia wkrótce zostanie w ogóle zapomniana i pogrzebana.

Zapomniana i pogrzebana? To wcale nie to samo.

Zapomniana i pogrzebana.

Westchnęła nerwowo. Czy to nie byłoby mimo wszystko najlepsze rozwiązanie? Jaki jest sens w rozgrzebywaniu tej starej sprawy na nowo? Ile złego wyjdzie znowu na światło dzienne? Czy on nigdy nie przestanie jej prześladować jak... jak, no jak to się teraz mówi? Jak troll domowy? Albo tak jakoś podobnie.

Ale tu właśnie pojawiało się to nieokreślone doznanie. To delikatne, dławiące poczucie winy. To o nie chodziło. Czy zdoła się kiedykolwiek go pozbyć, jeżeli i tym razem schowa głowę w piasek? Bez wątplenia dobre pytanie. Nawet licząc optymistycznie, zostało jej nie więcej niż dziesięć, dwanaście lat, a potem także ona stanie przed ścianą.

Czyli przed stwórcą. A wtedy należałoby raczej mieć czyste ręce.

Na pewno. Westchnęła znowu, podniosła się z miejsca i wyłączyła



telewizor. Musi zająć się tą sprawą.

Ale swoją drogą przecież nic, kompletnie nic nie przemawiało za tym, że to faktycznie on. Żaden drobiazg.

To pewnie tylko nerwy płatają jej figla.

Obudziła się już o wpół do szóstej – kolejna nieunikniona zmora starzenia się. Wstała, zjadła śniadanie i przed siódmą wyprowadziła samochód z garażu.

Ruch na ulicach był niewielki. Kiedy zostawiła miasto za sobą i wjechała na wyżynę, była prawie sama na drodze. Poranek należał do tych ładniejszych – lekka mgła powoli już się rozplýwała, a słońce świeciło coraz mocniej. Zatrzymała się w malowniczym zajeździe między Gerlach a Würpatz na filiżankę kawy. Siedząc tam, próbowała wziąć się w garść i zapanować nad dręczącym niepokojem. Jednocześnie przeglądała świeże gazety. Ani słowa. W żadnej.

Nie zatrzymując się, przecięła Linzhuisen i tuż po wpół do dziesiątej zatrzymała się przy domu. Wysiadła z auta i ruszyła do drzwi. Otworzyła je nie bez wysiłku, a potem nie potrzebowała dużo czasu, aby zrozumieć, że mogło być tak, jak się obawiała.

Pewności oczywiście nadal nie miała, ale skoro już posunęła się tak daleko, nie widziała innego wyboru, jak tylko zawiadomić policję.

Zrobiła to prawie od razu: zadzwoniła z poczty w Linzhuisen, a mówiąc precyzyjnie, zgłoszenie zostało przyjęte na komisariacie policji w Maardam o godzinie 10.03 przez dyżurnego aspiranta Pietera Willocka.

Dziesięć minut później inspektor Rooth, nie pukając do drzwi, wszedł do pokoju swojego kolegi Münstera i oznajmił ze źle skrywanym podnieceniem:

– Chyba go mamy.

## 10

Spać, pomyślał. Tylko spać.

Godziny przed pójściem do szpitala nie były bynajmniej oczekiwaną orgią spokoju i samotności, do czego w dużej mierze przyczyniły się i telefony, i Wielka Niewiadoma, która nie pozwalała mu zasnąć niemal do rana.

Nie żeby się z nim wprost żegnali, nic takiego nie słyszał w ich głosach. Ale gdyby jednak zdarzyło się coś nieprzewidzianego, na pewno będą się czuć lepiej z tym, że jeszcze tego ostatniego wieczoru zadzwonili i z nim porozmawiali.

Pierwsza odezwała się Renate. Jak to zwykle ona, skradała się jak kot do miski z gorącą kaszą; najpierw wspomniała o letnim domku, który kiedyś należał do nich obojga, o książkach, których nie przeczytała, ale widziała gdzieś na wystawie, o swoim bracie i bratowej (znieawidzonym bracie; z jego żoną on z zupełnie niewiadomej przyczyny zawsze dobrze się dogadywał – dawniej, rzecz jasna) i dopiero po jakichś piętnastu, dwudziestu minutach przeszła, zupełnie przez niego niezachęcana, do tematu operacji.

Czy on się boi?

Nie, skąd. Tego też oczywiście się nie spodziewała. Ale wyraziła nadzieję, że się do niej odezwie, kiedy już będzie po wszystkim.

Obiecał jej to, lecz ostrożnie. Wszystko, byle mu tylko nie zaproponowała, żeby znowu zamieszkali razem. Żyli oddzielnie już prawie trzy lata i jeśli jest coś, czego nie żałował w swoim życiu, to właśnie rozstania z Renate.

Chyba tylko dlatego można by uznać, że ich małżeństwo nie było

zupełnie bez sensu, pomyślał. Okazało się środkiem do celu.

Ludzie o skłonnościach depresyjnych powinni wystrzegać się siebie nawzajem, stwierdził przy jakiejś okazji Reinhart. Bo suma jest w takich wypadkach większa niż składowe. I to znacznie większa.

Jako następny zadzwonił Mahler. Ledwie pierwsza rozmowa dobiegła końca, a już miał na linii tego starego poetę.

Widocznie musiał mu wspomnieć o tym, co go czeka, przy szachach w ostatnią sobotę albo jeszcze tydzień wcześniej. To była dla niego niespodzianka. Mahler nie należał przecież do ludzi mu bliskich – cokolwiek przez to rozumieć – ale być może w tym ich spokojnym przebywaniu we dwóch pod zadymionym sklepieniem kryło się coś więcej, niż potrafił sobie wyobrazić. Albo śmiał sobie wyobrazić. Nie zastanawiał się nad tym dłużej, lecz tak czy inaczej, telefon Mahlera szczerze go zaskoczył.

– Pewnie ominą cię ze dwie partie – stwierdził poeta.

– Niedługo wrócę – odparł Van Veeteren. – Nic lepiej nie potęguje potencjału jak dwutygodniowa wstrzemięźliwość.

Mahler wybuchnął swoim głębokim śmiechem i życzył mu powodzenia.

No i na koniec jeszcze oczywiście Jess.

Uściskała go gorąco na odległość, ale obiecała wpaść za kilka dni z winogronami, czekoladą i wnukami.

– Ani mi się waż! – zaprotestował. – Ciągnąć dzieciaki tysiąc kilometrów, żeby potem musiały się gapić na paskudnego siwego starca! Wystraszyłbym ich przecież śmiertelnie!

– Bzdury opowiadasz – rzekła Jess. – Później pójde z nimi na lody i wszystko będzie w porządku. Dobrze wiem, że nieprzytomnie się boisz tej operacji, ale ty oczywiście zaprzeczasz.

– Wszystkiemu zaprzeczam – powiedział Van Veeteren.

Jess roześmiała się na koniec jak Mahler. Potem zamienił jeszcze kilka słów w swoim szkolnym francuskim z dwoma trzylatkami, którzy równie energicznie jak ich mama odgrażali się, że przyjadą go odwiedzić. O ile rzecz jasna dobrze ich zrozumiał. Musiał jednak przy-

znać, że sprawiali wrażenie świetnie zorientowanych w temacie.

– Najpierw dostaje się zastrzyk i później się zasypia – powiedział jeden z nich.

– A zmarłych wkładają do piwnicy – dodał drugi.

Kiedy i ten telefon miał już za sobą, nadeszła pora, by ruszyć do szpitala. Klucz jak zwykle zostawił u pani Grambowskiej dwa piętra niżej. Również i ta siwowłosa wierna pomocnica wydała mu się tego wieczoru otoczona dziwnie pokojową aurą. Ujęła jego rękę w swoje dłonie i pogłaskała ją delikatnie. Nie zdobyła się na taki gest nigdy w czasie tych długich lat, kiedy się znali.

– Powodzenia – rzekła. – Niech pan uważa na siebie.

Chyba bardzo ich wszystkich zawiodę, kiedy się z tego wykaraskam, pomyślał, wsiadając do taksówki. W gruncie rzeczy to wcale niegłupia rada na drogę. Uważać na siebie! Kiedy już będzie tam leżał, otumaniony i rozplątany, musi uważać, żeby nie zrobić czegoś pochopnego. Zapamięta to sobie!

Jedynie Erich się nie odezwał. Niewykluczone, że próbował dozwonić się do niego wcześniej, przed południem. Mecz z Münsterem i piwo u Adenaara zajęły mu trochę czasu, a potem był w domu co najwyżej dwie godziny. Poza tym wiedział, że w więzieniu nawet telefonowanie poddane jest określonemu rygorowi.

W jasnożółtym pokoju, który wskazała mu pielęgniarka, stały dwa łóżka, ale to drugie było puste, czyli będzie mógł leżeć sam, pochłonięty wyłącznie własnymi myślami.

Których miał mnóstwo i na różne tematy. Wszystkie były poza tym tak natarczywe, że skutecznie odganiały sen. Rozmowy telefoniczne sprawiły, że cofnął się ostrożnie w przeszłość; nie było to celowe poszukiwanie drogi wstecz, po prostu myśli ciągnęły go za sobą i już po chwili zaczął przypominać sobie wszystkie bolesne punkty i ziarenka radości w swoim życiu, usiłował zrozumieć, co tak naprawdę sprawiło, że stał się tym, kim był i jest... jeśli tego rodzaju infantylnie uproszczone zadawanie pytań jest w ogóle dozwolone. W każdym razie moment wydawał się jak najbardziej odpowiedni, by zastanowić się nad sobą. Najwyższa pora. Przyszło mu do głowy, że to tak, jakby

sam sobie układał epitafium – własny nekrolog z odwrotnymi, zgodnymi z prawdą omenami. Albo znakami zapytania.

Ze wspomnień.

*Ex memoriam.*

Kim jestem? Kim byłem?

Na wiele pytań nie istniały oczywiście odpowiedzi; wszystko zdawało się mieć wiele przyczyn. Które w nielitościwy sposób zawsze prowadziły w tym samym mrocznym kierunku.

Jego ojciec: głęboko tragiczna postać (ale dzieci są przecież ślepe na wielkość tragizmu), która odcisnęła na nim tak silne piętno. Swoją pewną i silną ręką wpoił mu naukę, że nigdy nie wolno absolutnie niczego oczekiwać od życia. Nie ma nic trwałego; są jedynie krótkie chwile, czyste przypadki i ciemność.

Mniej więcej tak to brzmiało, jeśli go dobrze rozumiał.

Jego małżeństwo: dwadzieścia pięć lat z Renate. Mieli dwoje dzieci i to jest w tym wszystkim najważniejsze. Jedno siedzi w więzieniu i raczej nie zejdzie z tej drogi, ale Jess i wnuki są niespodziewaną zieloną gałązką na starym i chorym drzewie. Temu trudno zaprzeczyć.

Zmarłych wkładają do piwnicy!

Praca: jeśli nie przywiodło go tu nic innego, to można chyba uznać, że trzydzieści pięć lat syzyfowej pracy w służbie społeczeństwa i po mrocznej stronie życia wydało jednak swoje owoce.

Tak, te lata na pewno nie były bez wpływu.

Włożył rękę pod wykrochmaloną powłokę i przesunął nią po brzuchu. Tutaj... gdzieś tutaj on sobie siedzi, na prawo od pępka, o ile dobrze zrozumiał. W tym miejscu miało nastąpić cięcie.

Dotknął ostrożnie. Znowu poczuł głód, jakby nacisnął jakiś guzik; zabroniono mu brać cokolwiek do ust już od szóstej. Bardzo możliwe, że kosmki jego jelita w nieustępliwym, lecz daremnym wysiłku próbują jeszcze wyssać coś pożywnego z ostatnich kropli piwa wypitego u Adenaara... usiłował wyobrazić sobie ten niezwykle proces, ale obrazy, które z ociąganiem ukazywały mu się przed oczyma, były niewyraźne i swą abstrakcyjnością wykraczały daleko poza granicę rozumienia.

W którymś momencie, pochłonięty owym rozmytym iskrzeniem,

musiał chyba trochę przysnąć; zamglona projekcja z okolic jego jelita trwała jeszcze chwilę, lecz z każdą sekundą film stawał się coraz wyraźniejszy. Nagle powróciła ostrość obrazu, sceneria była jaskrawo oświetlona i jednoznaczna: sala operacyjna wypełniona tajemniczymi zielonymi postaciami, które w hipnotycznym milczeniu i skupieniu przesuwały się z miejsca na miejsce. Jedyne cienki i ostry dźwięk metalowych narzędzi, które ostrzono lub odkładano do metalowych naczyń, przecinał od czasu do czasu konspiracyjną ciszę.

A on leżał tam, nagi i bezbronny na zimnym marmurowym stole, i nagle zrozumiał, że już jest po wszystkim, że wcale nie chodziło o operację, że to wszystko dzieje się w dobrze mu znanej i chłodnej sali sekcyjnej zakładu medycyny sądowej, gdzie tyle razy widział przy pracy Meussego i jego kolegów.

A kiedy zbliżył się do stołu i grupki pilnie tnących i krojących postaci, zrozumiał od razu, że to nie on tam leży, lecz jakiś całkiem obcy, biedny nieszczęśnik. Nie, może wcale nie taki obcy... było coś znajomego w tym bezgłowym ciele. Wyglądało na to, że brakuje mu też stóp i dłoni, a kiedy w końcu udało mu się precyzyjnie przycisnąć obok Meussego i tego bladego, tłustego asystenta, którego nazwiska nigdy nie mógł zapamiętać, zobaczył także, że oni wszyscy nie pracują na stole, tylko na kawałku ziemi w lesie. To był rów: i tak naprawdę nie chodziło o żadną operację ani sekcję zwłok – ciało zawinięto w duży i brudny dywan i właśnie pospiesznie opuszczano je do zarośniętego rowu, gdzie jest jego miejsce. Gdzie jest miejsce wszystkiego. Teraz i zawsze.

A jednak w tym dywanie to był on sam, to on w nim leżał. Nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku, prawie nie mógł oddychać, ale słyszał nerwowe szepty innych: Tu mu będzie dobrze! Nikt go tu nie znajdzie. Nikomu niepotrzebny człowiek. Dlaczego mielibyśmy się przejmować kimś takim?

Krzyknął do nich, żeby... żeby się odwołali do swojej moralnej odpowiedzialności. Tak, właśnie tak im krzyknął, ale nic to nie dało, bo dywan był gruby, a oni zaczęli się już oddalać, poza tym strasznie trudno jest być słyszonym, kiedy się nie ma głowy.

Kobieta potrząsnęła go za ramię. Otworzył oczy i właśnie zamierzał jeszcze raz krzyknąć do niej, żeby przypomniawsza sobie o swojej moralnej powinności, gdy zrozumiał, że się obudził.

Coś do niego mówiła, a jej oczy wydawały się pełne współczucia. Albo czegoś podobnego.

Czy ja nie żyję? – pomyślał Van Veeteren. Ona wygląda jak anioł. Czyli nie jest to niemożliwe.

Ale trzyma w ręku słuchawkę telefoniczną. To z kolei wydało mu się jak najbardziej ziemskie i w tym momencie zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie jeszcze nie przeszedł operacji. Jest ranek i dopiero wszystko przed nim.

– Telefon – powtórzyła. – Telefon do komisarza.

Podawała mu słuchawkę i odsunęła się od łóżka, on zaś odchrząknął i na wpiół usiadł.

– Słucham.

– Pan komisarz?

To był Münster.

– Tak, przy aparacie.

– Przepraszam, że dzwonię, ale powiedział pan, że operacja będzie dopiero po jedenastej...

– A która jest teraz godzina? – Rozejrzył się po pokoju, szukając jakiegoś ściennego zegara, ale żadnego nie znalazł.

– Dwadzieścia po dziesiątej.

– Ach, tak?

– Chciałem tylko powiedzieć, że już wiemy, kto to jest... pan komisarz wydawał się zainteresowany.

– Masz na myśli te zwłoki w dywanie?

Przez ułamek sekundy znalazł się znowu w swoim śnie.

– Tak. Nie mamy wątpliwości, że to Leopold Verhaven.

– Co?

Na krótką chwilę w świadomości Van Veeterena zapanowała całkowita pustka. Można ją było porównać do starannie wypolerowanej metalowej powierzchni, która wszystko odpycha i przez którą nic nie ma szansy się przedostać.

– Co ty, u diabła, mówisz?

– Tak, Leopold Verhaven. To on. Pewnie pan komisarz go sobie przypomina?

Minęły trzy sekundy. Stalowa powierzchnia zmiękła i zaczęła przepuszczać informacje.

– Niczego nie róbcie! – powiedział Van Veeteren. – Zaraz tam będę.

Opuścił nogi z łóżka, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła niespodziewanie liczna grupa osób w zielonych strojach.

Słuchawka dyndała na sznurze.

– Halo? – Münster czekał na odpowiedź. – Jest tam pan, komisarzu?

Czarnoskóra pielęgniarka wzięła słuchawkę do ręki.

– Komisarza właśnie zabrano na operację – wyjaśniła uprzejmie i położyła słuchawkę z powrotem na widełkach.



**III**

**24 sierpnia 1993**

W grę wchodziły dwa dobre punkty obserwacyjne i dwa pociągi.

Pierwszy przyjeżdżał dopiero o 12.37, ale on zajął stanowisko już koło jedenastej. Odpowiednia pozycja była bardzo ważna; usiadł przy stoliku pod oknem na werandzie. Upatrzył go sobie już kilka dni wcześniej. Widok na plac przed dworcem był stąd znakomity, zwłaszcza na odcinek między postojem taksówek a kioskiem. Miał je tuż przed oczami, a tędy wcześniej czy później musiał przejść każdy przyjezdny.

O ile naturalnie ktoś nie zdecyduje się mimo zakazu pójść przez tory, ale dlaczego on miałby to robić? Mieszkał przecież od tej strony, więc nie ma powodu, aby poszedł w kierunku północnym, toteż jeżeli w ogóle się tutaj pojawi, to powinien iść właśnie tędy. Wcześniej czy później. Najprawdopodobniej mniej więcej za kwadrans pierwsza.

Albo półtorej godziny później.

Co zrobi potem, oczywiście nie wiadomo, ale przypuszczalnie po prostu weźmie taksówkę, żeby pokonać pozostałe piętnaście kilometrów. To i tak nie ma większego znaczenia. Najważniejsze, żeby przyjechał.

I wszystko się rozwiąże. W taki czy inny sposób.

Zamówił coś do jedzenia – zestaw zimnych przekąsek z sałatą, chleb, ser, masło. Ale przez dwie godziny, kiedy tam siedział, nie tknął ani kęsa. Wypalił natomiast z piętnaście papierosów i od czasu do czasu przewracał kartkę w książce, która leżała otwarta z prawej strony talerza – nie przeczytał więcej niż kilka linijek, bo i tak nie wiedział, co czyta. Jeśli to miał być kamuflaż, to okazał się kiepski.

Bo każdy, kto przyjrzałby mu się uważniej, od razu by poznał, że coś tu się nie zgadza. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale przecież nic nie ryzykował.

No bo kto na całym świecie miałby zawracać sobie nim głowę i mu się przyglądać?

Nikt, uznał, i była to bezsprzecznie słuszna ocena sytuacji. W porze obiadowej, między jedenastą a drugą, przez dworcową restaurację przewijało się od dwustu do dwustu pięćdziesięciu osób. Większość to stała klientela, ale przygodnych gości było i tak tylu, że trudno sobie wyobrazić, aby ktoś mógł zapamiętać niepozornego faceta w sztruksowych spodniach i szarozielonym swetrze, siedzącego przy oknie i wyglądającego na takiego, co to nie skrzywdzi nawet muchy.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę czynnik czasu. Na myśl o tym uśmiechnął się w duchu. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, minie sporo czasu. Miesiące. A może nawet lata. Mnóstwo czasu. A w najlepszym razie cała sprawa w ogóle nigdy nie ujrzy światła dziennego.

To byłoby oczywiście optymalne rozwiązanie – żeby w ogóle nic się nie wydało – zdawał sobie jednak sprawę, że głupotą byłoby na to liczyć. Rozsądniej jest przygotować się na wszelkie ewentualności. Dlatego lepiej siedzieć tu zupełnie spokojnie i nie rzucać się w oczy. Nieznajomy wśród wielu innych nieznajomych. Przez nikogo niezauważony, przez wszystkich zapomniany.

Około dwunastej, kiedy napływ gości osiągnął kulminację, ten i ów próbował zająć drugą połowę stolika i krzesło naprzeciwko, lecz on nie pozwalał. Wyjaśniał grzecznie, że na kogoś czeka i krzesło jest zajęte.

Potem, w tych krytycznych minutach około kwadransa przed pierwszą, ogarnęło go napięcie, co było nieuniknione. Kiedy ujrzał nadchodzących pierwszych podróżnych, przysunął krzesło bliżej okna i zapomniał o wszelkich innych względach. Musiał się skoncentrować; identyfikacja mogła się okazać najslabszym ogniwem łańcucha. Upłynęło przecież sporo czasu i nie wiadomo, do jakiego stopnia tamten się przez te wszystkie lata zmienił. A on w żadnym razie nie mógł go przegapić.

Nie mógł pozwolić, żeby przeszedł niezauważony.

Kiedy półtorej godziny później faktycznie go zobaczył, siedział już w kawiarni po drugiej stronie ulicy i od razu zrozumiał, że zupełnie niepotrzebnie się denerwował.

Bo nie ulegało wątpliwości, że to był on. Rozpoznał go z odległości trzydziestu metrów – ta sama energiczna, żyłasta sylwetka, może trochę mocniej pochylona, ale nie tak bardzo. Włosy poszarzałe i rzadsze. Głębokie zatoki powyżej skroni. Sztywniejsze ruchy.

Trochę siwy, starszy.

Ale bez dwóch zdań on.

Wstał od stolika i wyszedł na chodnik. Tamten zatrzymał się przy postoju taksówek. Zgodnie z przewidywaniami. Stał trzeci w kolejce i szukał czegoś po kieszeniach. Papierosów, pieniędzy albo jeszcze czegoś innego.

Czyli teraz trzeba tylko poczekać. Poczekać, a potem wsiąść w taksówkę i pojechać za nim. Nie ma pośpiechu. Przecież wiadomo, co będzie dalej.

Wiadomo, że wszystko pójdzie jak po maśle.

Przez krótką chwilę z powodu przyspieszonego pulsu poczuł lekki zawrót głowy, ale bardzo szybko wziął się w garść.

Taksówka ruszyła z miejsca. Zawróciła na placu przed dworcem, a kiedy przejeżdżała obok niego przed kawiarnią i gdy przez boczną szybę samochodu ujrzał dobrze mu znany profil nie dalej niż w odległości dwóch metrów, wiedział od razu, że nie będzie żadnych problemów.

Nawet najmniejszych.

**IV**

**5–10 maja 1994**

## 12

– Jak myślisz? – spytał Rooth.

Münster wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale to na pewno on. Musimy tylko poczekać na techników.

– Nie jest to sympatyczne miejsce.

– No nie. Ale pasuje do całej tej historii. Może przejdziemy się do wioski? Tu i tak nic po nas. A tak czy inaczej, trzeba trochę pogadać z sąsiadami.

Rooth skinął głową, po czym w milczeniu ruszyli przez las krętą drogą w dół. Po kilkuset metrach otworzył się przed nimi szeroki krajobraz, po obu stronach leżały gospodarstwa, a nieco dalej zaczynała się miejscowość Kaustin. Szli w stronę kościoła i głównej drogi.

– Ile tu jest dusz? – spytał Rooth.

Münster zerknął na cmentarz, domyślił się jednak, że koledze chodzi o tych, którzy jeszcze nie zaznali wiecznego spoczynku.

– Pewnie z kilkaset. W każdym razie jest i sklep, i szkoła.

Wskazał głową na drugą stronę drogi.

– To co? Rozejrzymy się trochę?

– Czemu nie – odparł Münster. – Jeśli właściciel sklepiku nic nie wie, to na pewno nikt nic nie wie.

W środku siedziały dwie babcie i nic nie wskazywało na to, by miały zamiar wyjść. Podczas gdy Rooth oddał się wnikliwemu studiowaniu oferty czekoladowych ciastek i torebek z cukierkami, Münster ostrożnie zwabił chudego sklepikarza na bok, do magazynu. Być może zu-

pełnie niepotrzebnie tak się starał o zachowanie dyskrecji, bo przecież ich wizyta tutaj w pięć czy sześć samochodów, które konwojem przejechały zwykle nieuczęszczaną drogą, raczej nie mogła pozostać niezauważona. Mimo to nie brakowało powodów, by zachować całą sprawę w tajemnicy najdłużej, jak się da. W końcu jeszcze nie wszystko zostało potwierdzone.

– Nazywam się Münster – przedstawił się i pokazał legitymację.

– Hoorne. Janis Hoorne – odpowiedział sklepikarz z nerwowym uśmiechem.

Münster postanowił przejść od razu do rzeczy.

– Czy wie pan, do kogo należy ten dom wysoko w lesie? Ten przy drodze, która skręca potem do kościoła.

Mężczyzna skinął głową, nic nie mówiąc.

– To do kogo?

– Do Verhavena.

Suche usta, rozbiegany wzrok, pomyślał Münster. Dlaczego on jest taki zdenerwowany?

– Długo ma pan ten sklep?

– Od trzydziestu lat. A wcześniej należał do mojego ojca.

– Zna pan tę historię?

Sklepikarz znowu skinął głową. Münster odczekał kilka sekund.

– Stało się coś?

– Jeszcze nie wiemy – odpowiedział Münster. – Być może. Zauważył pan coś?

– Nie... nie, niby co?

Jego zdenerwowanie tworzyło niemal aurę wokół niego, być może nie bez powodu. Münster przyjrzał mu się chwilę, po czym zadał kolejne pytanie:

– Leopold Verhaven został wypuszczony z więzienia w sierpniu ubiegłego roku... dokładnie dwudziestego czwartego. Przypuszczamy, że mniej więcej wtedy wrócił do swojego domu. Czy coś panu wiadomo na ten temat?

Sklepikarz ociągał się z odpowiedzią i nerwowo przyciskał kciuki do palców wskazujących.

– Pan pewnie wie prawie wszystko, co się dzieje w Kaustin, praw-

da?

– No tak...

– No więc? Czy orientuje się pan, czy on wtedy wrócił tutaj jesienią... czy jakoś później?

– Podobno...

– Tak?

– Podobno ktoś go widział mniej więcej w tym czasie.

Sklepikarz wyjął chustkę z kieszeni spodni i wytarł sobie górną wargę.

– To znaczy kiedy?

– No, jakoś tak w sierpniu zeszłego roku.

– I od tamtej pory więcej się nie pokazał?

– Tak mi się wydaje.

– Czyli pokazał się tylko raz, tak? Tak było? Był widziany tylko raz albo dwa razy?

– Nie wiem. Ale tak myślę.

– Przez kogo?

– Co proszę?

– Kto go widział?

– Maertens, o ile dobrze pamiętam... może też pani Wilkerson, nie przypominam sobie dokładnie.

Münster zanotował.

– A gdzie mogę znaleźć Maertensa i panią Wilkerson?

– Maertens mieszka u Niedermannów za szkołą, ale pracuje na cmentarzu. Pewnie tam go pan znajdzie, jeśli panu...

Głos odmówił mu posłuszeństwa.

– A pani Wilkerson?

Sklepikarz zakaszał, po czym włożył sobie kilka pastylek do ust.

– Ona mieszka w domu pod lasem. Po prawej ręce... to znaczy od drogi do Verhavena.

Münster skinął głową i zamknął notes. Kiedy obaj zmierzali do wyjścia, mężczyzna odważył się zadać im jedno pytanie:

– Czy on znowu to zrobił?

Właściwie powiedział to szeptem. Münster pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Raczej nie.



– Chcesz?

Rooth wyciągnął w jego stronę do połowy zjedzone czekoladowe ciastko.

– Nie, dzięki – rzekł Münster. – Wzięłeś w krzyżowy ogień pytań te babcie?

– Mmm – odpowiedział Rooth z pełnymi ustami. – Cwane gapy. Nie chciały bez adwokata otworzyć swoich sztucznych szczęk nawet na milimetr. Dokąd idziemy?

– Do kościoła. Grabarz podobno go widział.

– Okej – odparł Rooth.

Maertens właśnie kopał jakiś grób, kiedy Münster i Rooth zbliżali się do niego. Münsterowi przypomniało się nagle, jak kiedyś, za czasów szkolnych, grał nadzwyczaj męskiego Horacego. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Może to prawda, co twierdził jego pełen zapału instruktor teatralny – *Hamlet* jest sztuką, w której da się coś znaleźć na każdą sytuację w życiu.

Nie śmiał jednak rozwijać tej myśli dalej i dlatego nie spytał, dla kogo jest przeznaczona widoczna przed nimi mogiła.

– Możemy zadać panu kilka pytań? – jako pierwszy zaczął Rooth. – Pan Maertens, prawda?

Potężny mężczyzna zdjął czapkę i powoli wyprostował plecy.

– We własnej osobie – rzekł. – Zawsze do usług policji.

– Chodzi o Leopolda Verhavena – odezwał się Münster. – Jesteśmy ciekawi, czy pan go widział w ostatnim czasie?

– W ostatnim czasie? A co dokładnie ma pan na myśli?

– W ubiegłym roku albo jakoś tak – sprecyzował Rooth.

– Widziałem go, kiedy wrócił zeszłego lata... niech pomyślę... to było chyba w sierpniu, tak mi się wydaje. Ale od tamtej pory go tutaj nie było.

– Niech pan opowie – poprosił Münster.

Pan Maertens założył znowu swoje nakrycie głowy i wyszedł z dosyć płytkiego jeszcze grobu.

– No więc, widziałem go tak naprawdę tylko raz. Akurat wrywałem tutaj zielsko. Zajechał taksówką, wysiadł przed kościołem, a po-

tem poszedł w górę, w stronę lasu... znaczy się do domu.

– Kiedy to było? – spytał Rooth.

Maertens zastanowił się chwilę.

– W sierpniu, już mówiłem. Pod koniec miesiąca, jeśli się nie mylę.

– I widział go pan tylko wtedy?

– Tylko ten jeden raz, tak. Cholera wie, gdzie on się potem podziwiał. Akurat wyszedł z więzienia. Gadaliśmy o tym w wiosce, tak nam się zdawało, że to już pora i...

– A nie wie pan, czy jeszcze ktoś go widział?

Grabarz skinął głową.

– Pani Wilkerson. I może jej mąż. Oni mieszkają tam wyżej.

Wskazał na szarobiały dom w oddali na skraju lasu.

– Dziękuję – powiedział Rooth. – Pewnie jeszcze do pana wrócimy.

– A co on teraz zmalował? – chciał wiedzieć Maertens.

– Nic – odparł Münster. – Znał go pan?

Maertens podrapał się po karku.

– Kiedyś tak, ale potem nie było z nim żadnego kontaktu.

– Tak myślałem – rzekł Rooth.

Małżeństwo Wilkersonów zdawało się już czekać na nich, czemu trudno się było dziwić. Droga biegła co najwyżej dziesięć metrów od ich kuchennego stołu, przy którym pan Wilkerson siedział teraz nad kubkiem kawy i talerzykiem ciastek, starając się sprawiać wrażenie, że czyta gazetę. Żona przyniosła skwapliwie jeszcze dwa kubki i Münster razem z Roothem też usiedli przy stole.

– Dziękuję – powiedział Rooth. – Kawa dobrze nam robi.

– Ja już się wycofałem – oznajmił mężczyzna trochę bez związku. – Teraz syn zajmuje się gospodarstwem. Plecy odmawiają mi posłuszeństwa.

– Tak to bywa z plecami – rzekł Rooth.

– Ano właśnie – zgodził się mężczyzna.

– No cóż – odezwał się Münster – chcielibyśmy tylko zadać państwu kilka drobnych pytań. Dotyczących Leopolda Verhavena.

– Bardzo proszę – powiedziała pani Wilkerson, siadając obok męża. Miała na myśli chyba i kawę, i zadawanie pytań.

– Podobno wrócił w sierpniu zeszłego roku – zaczął Rooth i sięgnął po ciastko.

– Tak – potwierdziła pani Wilkerson. – Widziałam, jak przyjechał. Tam.

Wskazała na drogę.

– Czy mogłaby nam pani opowiedzieć, co dokładnie pani widziała? – poprosił Münster.

Kobieta ostrożnie napiła się kawy.

– Widziałam tylko, jak szedł pod górę. W pierwszej chwili się nie zorientowałam kto to, ale potem go poznałam...

– Jest pani pewna?

– No a kto inny miałby to być?

– Tu nie kręci się dużo ludzi? – spytał Münster.

– Nie ma żywego ducha – wtrącił mężczyzna. – Jedyne Czermakowie naprzeciwno, ale do lasu prawie nikt nigdy nie chodzi.

– Nie ma tu innych domów? – pytał dalej Münster.

– Nie – kontynuował gospodarz. – Pięćdziesiąt metrów za Verhavenem kończy się droga. Czasami się zdarza, że jakiś myśliwy wyskoczy z lasu za lisem czy bażantem, ale to bardzo rzadko.

– Pan też go widział, panie Wilkerson?

Kobieta skinęła głową.

– Zawołałam męża od razu. Tak, widzieliśmy go oboje... to było dwudziestego czwartego sierpnia. Około trzeciej albo trochę później. Miał walizkę i plastikową reklamówkę, i nic poza tym... i prawie wcale się nie zmienił. Nawet się zdziwiłam, muszę przyznać.

– I co dalej? – wtrącił Rooth.

– Co pan ma na myśli?

– No chyba musiał pokazać się tu więcej razy?

– Nie – oświadczył zdecydowanie Wilkerson. – W ogóle się już nie pokazał.

Rooth wziął jeszcze jedno ciastko i żuł je w zamyśleniu.

– Chce pan powiedzieć – próbował podsumować Münster – że widział pan Leopolda Verhavena, jak szedł tędy drogą, dwudziestego czwartego sierpnia ubiegłego roku... tego samego dnia, kiedy został wypuszczony z więzienia... i że od tamtej pory już się tu nie pojawił?

– Tak.

– Nie uważa pan, że to dziwne?

Pani Wilkerson wykrzywiła w złości usta.

– Ten Leopold Verhaven zawsze wydawał mi się jakiś dziwny – wyznała. – A wy tak nie uważacie? Co takiego właściwie się stało?

– Jeszcze nie wiemy – powiedział Rooth. – Czy ktoś ze wsi miał z nim bliższy kontakt?

– Nie – odparł Wilkerson. – Nikt.

– To chyba zrozumiałe – dopowiedziała jego żona.

Owszem, chyba zaczynam rozumieć, pomyślał Münster. W tej zagraconej przeróżnymi ozdobami niewielkiej kuchni nagle ogarnęło go poczucie zamknięcia. Uznał, że może lepiej pozostawić dalsze pytania na później.

Kiedy będą mieli więcej – by tak rzec – mięsa. A przynajmniej kiedy zostanie ustalone ponad wszelką wątpliwość, że ten ich zmarły to rzeczywiście Leopold Verhaven.

Bo byłoby piekielnie irytujące, gdyby Verhaven jednak nagle się objawił i niejako zdementował swoją własną śmierć.

Ale właściwie z każdą godziną Münster był coraz bardziej przekonany. To raczej nie mógł być nikt inny. Są znaki i znaki, jak zwykł mawiać Van Veeteren.

Rooth jakby czytał w jego myślach. Poza tym na talerzu nie było już ani jednego ciastka.

– Być może odezwiemy się później – powiedział. – I dziękujemy za kawę.

– Nie ma za co – odparła pani Wilkerson.

Zanim wyszli, Münster rzucił od niechcienia jeszcze jedno pytanie.

– Rozmawialiśmy z właścicielem sklepiku – powiedział. – Sprawiał wrażenie... przygnębionego, mówiąc delikatnie. Nie orientujecie się dlaczego?

– Jasne – odparła pani Wilkerson zdecydowanie. – Beatrice była przecież jego kuzynką.

– Beatrice – powtórzył Rooth, kiedy szli z powrotem drogą. – To była ta pierwsza. W sześćdziesiątym drugim. Zgadza się?

– Tak – potwierdził Münster. – Beatrice w sześćdziesiątym drugim i Marlene w osiemdziesiątym pierwszym. Prawie dwadzieścia lat różnicy. To naprawdę niesamowita historia, nie uważasz?

– Owszem – odparł Rooth. – Tylko miałem wrażenie, że już od dawna zamknięta. A teraz muszę przyznać, że wcale nie jestem tego pewien.

– Co pan inspektor chce przez to powiedzieć? – spytał Münster.

– Nic. Sprawdzimy zaraz, do jakich wniosków doszła nauka. Mam na myśli Kluistersa i Berben.

## 13

– Witamy w klubie – oznajmił Rooth.

DeBries opadł na krzesło i zapalił papierosa. Rooth, chociaż dym od razu zaczął szczypać go w oczy, postanowił robić dobrą minę do złej gry.

– Gdyby kolega zechciał wprowadzić mnie w temat – odezwał się deBries – tylko powoli i zrozumiale, jeśli mogę prosić. Całą noc przesiadziałem w samochodzie i miałem na oku pewien dom.

– Coś to dało? – spytał Rooth.

– Jasne – odparł deBries. – Dom wciąż stoi. A swoją drogą, jak długo to hodowałeś?

– Co?

– No to, co masz na twarzy... to mi coś przypomina, tylko nie wiem co. Ależ tak, już wiem! Pata Boone'a!

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– O mojej śwince morskiej, oczywiście. Miałem jedną w dzieciństwie. Złapała jakąś chorobę i zaczęła jej wypadać sierść. Zanim zdechła, pod sam koniec wyglądała właśnie mniej więcej tak.

Rooth westchnął.

– Super – powiedział. – Ile ty masz lat?

– Czterdzieści, ale czuję się, jakbym miał osiemdziesiątkę. Dlaczego pytasz?

Rooth podrapał się w zadumie pod pachami.

– Zastanawiam się, czy możesz pamiętać zabójstwo Beatrice... czy też już wtedy byłeś i za mały, i za głupi.

DeBries pokręcił głową.

– *Sorry* – odparł. – Może jednak przejdziemy do rzeczy. Nie, nie przypominam sobie zabójstwa Beatrice.

– Ja pamiętam je potwornie dokładnie – rzekł Rooth. – Miałem wtedy dziesięć czy jedenaście lat... to musiał być rok sześćdziesiąty drugi. Czytałem o tym w gazecie każdego dnia przez kilka miesięcy... albo może przez miesiąc. Rozmawialiśmy o tym w szkole, na lekcjach i na przerwach, to chyba jedno z najwyraźniejszych wspomnień z całego mojego dzieciństwa.

– Ja miałem dopiero osiem lat – rzekł deBries. – A osiem i dziesięć to duża różnica... poza tym nie mieszkałem tutaj. Ale potem oczywiście czytałem o całej tej historii.

– Mm... – mruknął Rooth, dmuchając na obłok dymu, żeby oddalić go od siebie. – Wokół całego tego wydarzenia panowała dziwna atmosfera... pamiętam, że mój ojciec mówił o Leopoldzie Verhavenie przy stole podczas obiadu. Raczej rzadko opowiadał o takich rzeczach, dlatego domyślaliśmy się, że to musi być jakiś szczególny przypadek... Wszyscy interesowali się tym zabójstwem. Naprawdę wszyscy o nim mówili. Możesz mi wierzyć!

– Wyobrażam sobie – potaknął deBries. – Małe polowanko na czarownice, tak?

– Wcale nie takie małe – odparł Rooth.

DeBries podszedł do umywalki i zgasił w niej papierosa.

– Opowiedz od początku, jak to było – poprosił.

– O wątku sportowym też? Wiesz, że w latach pięćdziesiątych Verhaven był doskonałym biegaczem?

– Tak, słyszałem. Ale zacznij od zabójstw.

Rooth przewrócił kilka kartek w notesie, który leżał przed nim na biurku.

– No dobrze. Czyli mamy szesnasty kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Tego dnia Leopold Verhaven zgłasza na policji zaginięcie swojej partnerki, Beatrice Holden. Nie było jej już z dziesięć dni, a ci dwoje żyli ze sobą mniej więcej od półtora roku... w tamtym domu w Kaustin. Można chyba założyć, że bez ślubu.

– No dalej – wtrącił deBries.

– Mniej więcej tydzień później znaleziono ją w lesie jakieś dwa ki-

lometry od domu, zamordowaną. Policja angażuje ogromne siły i powoli rodzi się podejrzenie, że to sam Verhaven może mieć z tym coś wspólnego. Wskazuje na to wiele poszlak. W końcu pod koniec miesiąca zostaje aresztowany i oskarżony o morderstwo. Niedługo potem rozpoczyna się proces.

– Jego nazwisko było chyba wymieniane wprost od samego początku?

– Zgadza się. Gazety podały je już w związku z zaginięciem – mimo wszystko był dosyć znany – a potem nie widziano powodu, by je ukrywać. Jeśli się nie mylę, właśnie wtedy po raz pierwszy w naszym kraju ujawniono nazwisko osoby, która była tylko podejrzana, i może właśnie to przyczyniło się do nadania całej sprawie takich rozmiarów. Gazety drukowały każde słowo wypowiedziane w sali sądowej podczas rozprawy... a dziennikarze – przyjechali ze wszystkich stron kraju, tak, cała ta banda mieszkała w Kongers Palatz i co wieczór się tam bawiła... jego adwokat też tam bywał. Nazywał się Quenterran, dziwne nazwisko. Można by powiedzieć, że to było pierwsze morderstwo popełnione przez mass media. To musiało być okropne dla każdego myślącego człowieka, ale ja wtedy tego nie rozumiałem. Przecież miałem zaledwie koło jedenastu lat...

– Hm – bąknął deBries. – No i został skazany.

– Tak. Mimo że wszystkiemu zaprzeczał. To było dwudziestego czerwca, pamiętam, bo w tym samym tygodniu zaczynały się wakacje, słuchaliśmy w szkole audycji radiowej.

– Niesłychane – powiedział deBries. – Ile dostał?

– Dwanaście – odparł Rooth.

DeBries skinął głową.

– Czyli wyszedł w siedemdziesiątym czwartym – obliczył. – A kiedy był następny raz?

– W osiemdziesiątym pierwszym. Wrócił do siebie i na nowo zajął się hodowlą kur...

– Hodowlą kur?

– Owszem. Albo fermą drobiarską, czy jak wolisz. W każdym razie pobyt w więzieniu go nie złamał. A za to drobiarstwo zabrał się jeszcze przed sprawą z Beatrice... można nawet powiedzieć, że odegrał



rolę prekursora – sztuczne światło w kurniku, żeby kury brały noc za dzień, i takie tam rzeczy. Skrócił dobę o dwie godziny, dzięki czemu szybciej znosiły jajka, czy coś w tym stylu...

– Popatrz, popatrz – zareagował deBries. – Pomysłowy gość.

– Pewnie – potwierdził Rooth. – Jeździł po okolicy i sprzedawał te jajka w Linzhuisen i tutaj, w Maardam... Chyba głównie w hali targowej. On zawsze stawał z powrotem na nogi. Zawsze.

– Silny był?

– Tak – potwierdził Rooth i zamyślił się chwilę. – Taki właśnie był... na swój sposób nieludzko silny.

Zamilkł, a deBries zapalił w tym czasie kolejnego papierosa.

– Zabójstwo Marlene? – rzucił, wydmuchując nad biurkiem cienką smużkę dymu. Rooth zakaszłał.

– Kopcisz jak z komina – powiedział. – No więc w tym samym lesie znowu znaleziono zwłoki kobiety. Nawiasem mówiąc, prawie dokładnie w tym samym miejscu. I po dwóch miesiącach znowu go zamknęli. Po dwudziestu latach.

– Teraz też się nie przyznał?

– Przyznał? Za żadne skarby. Nie ustąpił ani o milimetr. Był z tą małą parą razy w łóżku, ale to wszystko, tak twierdził. Także ten proces był koszmarny, ale o tym porozmawiamy innym razem. Tak czy inaczej, on jest naprawdę jedyny w swoim rodzaju... właściwie powinienem powiedzieć: był.

– Jak to?

– A czy znasz kogoś w tym kraju, kto by został skazany dwa razy za morderstwo mimo nieprzyznania się do winy? To rzecz zupełnie wyjątkowa, po prostu.

DeBries zastanowił się.

– Był badany przez psychiatrów? – spytał.

– W obu przypadkach – powiedział Rooth. – Całkiem zdrowy, orzekli. Nie mieli żadnych wątpliwości.

– Czy on je też zgwałcił?

Rooth wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – W każdym razie nie stwierdzono śladów spermy. Co prawda obie były nagie, kiedy je znaleziono. I uduszone.

Mniej więcej w ten sam sposób.

– Rozumiem – rzekł deBries i założył sobie ręce za głowę. – A teraz on sam też się znalazł po tamtej stronie. Mówię ci, że to wszystko jakoś brzydko pachnie. A tak na marginesie: gdzie się podziewa Münster?

Rooth westchnął.

– Jest w szpitalu – wyjaśnił. – Chyba nie myślisz, że komisarz daruje sobie taki smaczny kąsek.

– Smaczny kąsek? – powtórzył za nim deBries. – A niech to szlag!

Münster zdjął papier z bukietu żółtych róż i wcisnął go do kieszeni kurtki. Pielęgniarka czekała z ostrożnym uśmiechem na ustach, a kiedy otworzyła mu drzwi, szepnęła:

– Powodzenia.

Może się przydać, pomyślał Münster i wszedł do pokoju. Łóżko po lewej stronie było puste. Po prawej, pod oknem, leżał komisarz. Pierwsze, co w tym momencie przyszło Münsterowi do głowy, to stary kiepski kawał o tym, dlaczego mieszkańcy miasta Neubadenberg są tak bezdenni głupi.

Dlatego że w ich szpitalu położniczym wszystko robiono na opak.

Noworodki wyrzucano, a wychowywano łożyska.

Van Veeteren łożyskiem? Aż tak źle może z nim nie było, ale kiedy Münster podszedł do komisarza bliżej, zrozumiał, że trochę jeszcze potrwa, zanim znowu będzie musiał z nim grać w badmintona.

– Hmm – odchrząknął delikatnie i stanął w nogach łóżka.

Komisarz otworzył oczy, najpierw jedno, potem drugie. Zajęło mu to kilka sekund. Potem otworzył także usta.

– Niech to szlag.

– Jak komisarz się czuje? – spytał Münster.

– Podciągnij mnie trochę do góry – syknął Van Veeteren.

Münster położył kwiaty na kołdrze, po czym zdołał usadowić chorego w pozycji półsiedzącej – za pomocą dwóch poduszek i dzięki wskazówkom wycharczanym przez komisarza. Jego cera przypominała powierzchnię truskawki, która leżała całą noc zanurzona w alkoholu, i trudno się było oprzeć podejrzeniu, że Van Veeteren właśnie tak się

czuje. Powtórzył swoje powitanie.

– Niech to szlag.

Münster wziął znowu różę do ręki.

– To od wszystkich – oznajmił. – I pozdrowienia.

Znalazł jakiś wazon i nad umywalką w rogu napełnił go wodą. Van Veeteren przyglądał się podejrzliwie jego poczynaniom.

– Hej – odezwał się. – Daj mi też trochę.

Münster wlał mu wody z karafki stojącej na szafce przy łóżku. Kiedy komisarz wypił dwa kubki, wreszcie wydawał się gotowy do rozmowy.

– Chyba zasnąłem – stwierdził.

– Po operacji człowiek zawsze jest okropnie zmęczony – rzekł Münster. – To normalne.

– Co ty powiesz – skwitował Van Veeteren.

– Specjalne pozdrowienia od Reinharta. Prosił, żeby przekazać, że diabła trzeba przegnać Belzebubem.

– Dzięki. No i?

Już gotów kąsać? – pomyślał Münster, siadając na krześle dla odwiedzających. Otworzył teczkę. Wyjął z niej kopertę i oparł o wazon.

– To są kserokopie. Na razie tylko tekstów z gazet. Wydobycie protokołów sądowych trwa trochę dłużej, ale wpadnę z nimi jutro.

– Dobrze – odparł Van Veeteren. – Przejrzę je sobie, jak już pójdziesz.

– A czy komisarz nie powinien może porządnie odpocząć, teraz...

– Zamknij się – przerwał mu Van Veeteren. – Nie gadaj bzdur, Münster. Z każdą sekundą czuję się lepiej. A mojej głowie niczego nie brakuje. Mów, co zrobiliście!

Münster westchnął i zaczął opowiadać. Zdał relację z wizyty w Kaustin i przeszukania domu Verhavena.

– Technicy wprawdzie jeszcze nie skończyli, ale wszystko jednak wskazuje, że to on. Był w domu chyba tylko jeden dzień... w sierpniu ubiegłego roku. Znaleźliśmy gazetę, kilka artykułów spożywczych z podaną datą produkcji i parę innych drobiazgów. Zdaje się, że to mogło być dwudziestego czwartego sierpnia, czyli tego samego dnia, kiedy wyszedł. Paru świadków widziało, jak tam przyjechał... do wsi.

Niewykluczone, że został na noc, wskazują na to niektóre rzeczy. W każdym razie na pewno położył się do łóżka. Ubranie, które miał na sobie przy wyjściu z więzienia, wciąż tam jest.

– Hm? – zareagował Van Veeteren. – Poczekaj, poczekaj... zresztą nie, mów dalej!

– Nie natrafiliśmy na nic nadzwyczajnego. Na nic, co by mogło wskazywać na to, że poniósł śmierć w domu... żadnych śladów krwi, żadnej broni, żadnych oznak użycia siły. Ale trzeba oczywiście wziąć pod uwagę, że od tamtej pory minęło osiem miesięcy.

– Czas nie leczy wszystkich ran – rzekł Van Veeteren i pogładził się delikatnie po brzuchu.

– Możliwe – zgodził się Münster. – Całkiem możliwe. Zobaczymy. Mógł oczywiście zostać tam zamordowany tego samego dnia... albo w nocy, a do tego okaleczenia mogło dojść też tam... albo gdzie indziej. Wszędzie.

– Hm – zareagował znowu w ten sam sposób Van Veeteren. Münster natomiast oparł się o ścianę i czekał.

– Podciągnij mnie! – rozkazał mu komisarz po chwili, na co Münster powtórzył operację z poduszkami. Van Veeteren wykrzywił twarz w grymasie i usiadł trochę inaczej.

– Boli – wyjaśnił, wskazując głową na swój brzuch.

– A czego komisarz się spodziewał? – spytał Münster.

Van Veeteren wymamrotał coś pod nosem i wypił łyk wody.

– Heidelbluum – powiedział potem.

– Słucham?

– Sędzia – wyjaśnił. – Heidelbluum. W obu sprawach. Ma pewnie teraz ponad osiemdziesiątkę, ale musisz z nim porozmawiać.

Münster zanotował to sobie.

– Mam nadzieję, że jest w dobrej formie – dodał. – Szkoda, że Mort nie żyje.

Komisarz Mort był poprzednikiem Van Veeterena i jak Münster się domyślał, musiał być włączony przynajmniej w tę ostatnią sprawę. A może w obie. W każdym razie Van Veeteren nie odegrał w żadnej z nich głównej roli. Rooth zdążył już to sprawdzić.

– No i jeszcze motyw.

– Motyw? – powtórzył Münster.

Komisarz potaknął.

– Jestem zmęczony – oznajmił. – Jaki według ciebie był motyw, no, powiedz mi.

Münster zastanowił się chwilę. Znowu oparł głowę o ścianę i wbił wzrok w nic niemówiące kwadratowe wzory na lampach pod sufitem.

– No cóż – zaczął. – Moim zdaniem jest kilka możliwości.

– Na przykład?

– Jakaś wewnętrzna historia to pierwszy motyw. Coś związanego z więzieniem. Jakieś porachunki czy coś w tym rodzaju.

Van Veeteren skinął głową.

– Słusznie – przyznał. – Musisz sprawdzić, co się z nim działo za murami. A gdzie on w ogóle siedział?

– W Ulmentahl – odparł Münster. – Rooth właśnie tam jedzie.

– To dobrze. A dalej? Kolejny motyw?

Münster odchrząknął. Znowu się zamyślił.

– No więc jeśli to nie była żadna wewnętrzna historia, to może coś, co ma związek z przeszłością.

– Kto wie – powiedział Van Veeteren, a Münster nagle odniósł wrażenie, że twarz komisarza na chwilę straciła swoją szarą barwę.

– No co? – ciągnął komisarz. – Chyba mi nie powiesz, do cholery, że jeszcze w ogóle się nad tym nie zastanawiałeś! Przecież, do stu diabłów, sprawa jest nam znana już od dwudziestu czterech godzin.

– Dopiero od dwunastu mamy pewność – próbował usprawiedliwić się Münster.

Van Veeteren prychnął.

– Motyw! – powtórzył. – Słucham dalej!

– Ktoś uważał, że kara więzienia była niewystarczająca – powiedział Münster.

– Możliwe – uznał Van Veeteren.

– Ktoś, kto go nienawidził. Na przykład z kręgu znajomych tamtych kobiet. Czekał, żeby się zemścić... raczej trudno jest się zakraść do więzienia i tam zamordować.

– No, nie jest łatwo – potwierdził Van Veeteren. – Chyba że na przykład wynajmie się kogoś z wewnątrz. Pewnie znalazłoby się paru

takich, których dałoby się namówić. Masz jeszcze jakieś inne propozycje?

Münster zawahał się chwilę.

– To chyba nie jest dobry pomysł – powiedział wreszcie.

– No, ale wyduś z siebie – zachęcił go Van Veeteren.

– Właściwie nic za tym nie przemawia.

– Mimo wszystko chciałbym usłyszeć.

Na twarzy komisarza znowu pojawił się żywszy kolor. Münster odchrząknął.

– No dobrze – zdecydował się w końcu. – Istnieje też niewielka możliwość, że on był niewinny.

– Kto?

– Verhaven oczywiście.

– Naprawdę?

– Przynajmniej w przypadku jednego morderstwa, a tamten mógłby mieć z tym coś wspólnego... w pewnym stopniu.

Van Veeteren się nie odzywał.

– Ale to są rzecz jasna czyste spekulacje...

Drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów i w szparze pokazała się zmęczona twarz pielęgniarki.

– Chciałam tylko przypomnieć, że czas wizyty minął. Za kilka minut pacjenta odwiedzi doktor Ratenau.

Komisarz obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, na co kobieta cofnęła głowę i zamknęła drzwi.

– Spekulacje, powiadasz. A czy nie uważasz, że ja, przebywając w tym siedlisku potępieńców, też mogę sobie pozwolić na snucie spekulacji?

– Ależ oczywiście – odparł Münster i wstał. – Naturalnie.

– No więc... – kontynuował Van Veeteren – jeśli to było tak, że ten biedak spędził dwadzieścia cztery lata w więzieniu za coś, czego nie popełnił, to...

– To?

– To byłyby to, cholera jasna, największy skandal wymiaru sprawiedliwości, jaki wydarzył się w tym kraju w ciągu ostatnich stu lat. Co ja mówię – jaki wydarzył się kiedykolwiek!

– Ale nic na to nie wskazuje – rzekł Münster, powoli zmiierzając w stronę drzwi.

– Kalpurnia – rzucił Van Veeteren.

– Słucham?

– Żona cesarza – wyjaśnił komisarz. – Wystarczy podejrzenie. A tutaj takie mamy – dodał i stuknął się palcem wskazującym w czoło.

– Rozumiem – odparł Münster. – Do zobaczenia, komisarzu. Wpadnę jutro po południu.

– Dziś wieczorem albo jutro rano zadzwonię i powiem, czego potrzebuję – zakończył Van Veeteren. – Przekaż Hillerowi, że od tej chwili ja odpowiadam za sprawę.

– Tak jest – rzekł Münster i wymknął się z pokoju.

No tak, pomyślał sobie, czekając na windę. Raczej nie zmienił się ani o jotę.



Młodszy aspirant Jung spojrział na zegarek i westchnął. Umówił się z Madeleine Hoegstraa u niej w mieszkaniu o czwartej i żeby nie stać przed jej drzwiami za wcześnie, postanowił przesiedzieć trzy kwadransy w barze na skraju dzielnicy Groenstadt. Jazda samochodem trwała znacznie krócej, niż sobie obliczył. Znowu dał się nabrać, powodowany jak zwykle obawą, żeby się nie spóźnić.

Usiadł z dużą filiżanką gorącej czekolady przy jednym ze stolików pod oknem. Przez na wpół prześwitujące firanki mógł obserwować rozmyte zarysy sylwetek przechodniów na chodniku i przez chwilę wydało mu się, że siedzi i ogląda jakiś stary surrealistyczny film. Pokręcił głową. Film? Jaki film! To zmęczenie. Wyczerpanie. Zwyczajne przygnębiające wyczerpanie, jakie dopada każdego glinę.

Zamieszał w filiżance, po czym zaczął gryzmolić pytania w notesie. Kiedy przyjrzał mu się bliżej, spostrzegł, że ma przed sobą zeszyt do francuskich słówek, i domyślił się, że musiał go zabrać niechcący, kiedy któregoś wieczoru odpytywał Sophie z lekcji.

Sophie ma trzynaście lat, niedługo skończy czternaście, i jest córką Maureen, z którą on jest od jakiegoś czasu.

Od dosyć długiego czasu, mówiąc ściśle, mimo że rzadko udaje się im spotykać. Kiedy tak teraz siedział i czekał, zabijając kolejne minuty, zaczął się zastanawiać, czy to zamieni się kiedyś w coś poważniejszego. To, co jest między nim a Maureen. Próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, czy właściwie ma pod tym względem jakieś oczekiwania.

A przede wszystkim – czy ma je Maureen?

Może bezpieczniej jest nie mieć. Zostawić wszystko własnemu biegowi i cieszyć się z rodzynek, na które przy okazji się natrafia. Czyli, innymi słowy, jak zwykle. Tak jak zwykle.

Westchnął znowu i wypił kilka łyków parującego napoju.

Ale przecież lubi Maureen i chętnie siedzi z Sophie wieczorami, i pomaga jej w matematyce... albo we francuskim czy w czymkolwiek, co się akurat trafi; co prawda nie zdarzyło się to do tej pory częściej niż trzy- czy czterokrotnie, jednak coraz wyraźniej zaczął zdawać sobie sprawę, że pierwszy raz w swoim życiu gra jakby rolę ojca.

I że mu się to podoba. Jest w tym jakiś... sens, którego nigdy dotąd nie doświadczył. Który daje mu poczucie równowagi, bezpieczeństwa i spokoju, a pod tym względem życie do tej pory raczej go nie rozpieszczało.

Trudno powiedzieć, co z tego może wyjść, ale coś wyniknie na pewno.

*Sure is*, wymamrotał pod nosem, dziwiąc się jednocześnie, skąd, u diabła, wzięła mu się taka idiotyczna replika.

Kiedy pomyślał o tych beztroskich i zwyczajnych wieczorach, o zwyczajnym, a jednak doniosłym fakcie polegającym na tym, że on tam po prostu jest i bierze na siebie część odpowiedzialności za nastoletnie dziecko, musiał przyznać, że, owszem, ma jednak nadzieję, iż pewnego dnia Maureen po prostu go o to poprosi.

Poprosi, żeby został. I o całą resztę. Żeby zamieszkali we trójkę i stworzyli rodzinę.

Oczywiście bywały dni, kiedy ten pomysł śmiertelnie go przerażał, doskonale o tym wiedział, i dlatego on sam nigdy nie zacznie rozmawiać o tym pierwszy. Ale rzecz jasna ta myśl istnieje. Jak coś w rodzaju skrywanej nadziei, tak delikatnej i kruchej, że po prostu nie potrafi ująć jej w dłonie, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Nigdy dokładnie się jej nie przyjrzy.

Życie miewa swoje różne boczne drogi i kiedy się tak bliżej zastanowić, człowiek dochodzi do wniosku, że nie z każdej z nich można zawrócić.

O co mi, do diabła, właściwie chodzi? – przeszło mu przez głowę.

Znowu spojrzał na zegarek i zapalił papierosa. Zostało jeszcze pięć-

naście minut. Nie palił się specjalnie do tej rozmowy z panią Hoegstraa; o ile mu wiadomo, była to starsza dama z wyższych sfer... szorstka i nieprzystępna kobieta mająca nadmiar praw i żadnych odpowiadających im powinności. W każdym razie takie wrażenie sprawiała przez telefon. Myśl, że właśnie ona może mieć coś wspólnego z Verhavenem, była nieco szokująca.

Verhaven nie pochodził przecież z wyższych sfer?

Nie miał wątpliwości, że od razu weźmie go pod lupę. Odnotuje za starzały, typowo starokawalerski zapach tytoniu połączony z wonią taniej wody po goleniu, poplamione spodnie i łupież na ramionach. Zmierzy go od góry do dołu, po czym będzie dokładać wszelkich starań, aby zachować niby niezauważalny, a jednak wyraźny dystans, który w istocie oznacza po prostu, że ludzie z jej sfery mają zwyczaj traktować policję jako swego rodzaju służbę. Kogoś, kogo wynajęli po to, aby czuwał nad nimi i wszystkimi innymi wartościami istniejącymi w społeczeństwie – pieniędzmi, sztukami pięknymi, prawem do nurzania się w swoim bogactwie i tym podobnymi.

Niech to diabli. To nigdy się nie skończy. Już do końca życia będę stał z moją zafajdaną czapką w ręce i kłaniał się w pas.

Proszę wybaczyć, że niepokoję. Proszę wybaczyć, że muszę zadać kilka pytań. Proszę wybaczyć, że mój ojciec został wywalony z drukarni, a potem zapił się na śmierć.

Ależ skąd, doprawdy bardzo mi przykro, łaskawa pani, musiałem się pomylić... oczywiście, że chcę być pogrzebany na psim cmentarzu, gdzie moje miejsce!

Dopił czekoladę i wstał od stolika.

Za dużo rozmyślał, uznał. Na tym polega mój błąd.

Mam tylko nadzieję, że nie poczęstuje mnie rumiankową herbatą, przebiegło mu jeszcze przez głowę.

Pani Hoegstraa najpierw jedynie uchyliła drzwi i chciała zobaczyć jego służbową legitymację. Dopiero potem zdjęła zabezpieczający łańcuch.

– Przepraszam, jestem trochę przewrażliwiona – wyjaśniła, otwierając szeroko drzwi.

– Ostrożności nigdy dość – powiedział Jung.

– Proszę do środka.

Weszła pierwsza do zastawionego meblami salonu. Wskazała mu jeden z dwóch dużych pluszowych foteli królujących przed kominkiem. Stał tam też całkiem spory szklany stół, a na nim przygotowane filiżanki i talerzyki, ciasto, herbatniki, masło, sery i dżem.

– Ja piję herbatę rumiankową – zaczęła. – Bo dobrze robi na żołądek. Ale domyślam się, że to raczej nie jest napój dla mężczyzny. Woli pan kawę czy piwo?

Jung powoli zajął miejsce. Uzmysłowił sobie, że dosyć niesprawiedliwie ocenił tę okrągłąwą, niską kobietę. Że jego uprzedzenia były przesadne i miały swe źródło w nim samym. Chyba jak zwykle.

Bo bez wątpienia nie można jej było odmówić ludzkich odruchów. I ciepła.

– Miałbym ochotę na piwo – zdecydował się.

Być może znalazłoby się tutaj także coś więcej, pomyślał, patrząc za nią, jak idzie do kuchni. Coś, z czym jest dosyć dobrze oswojony.

Czyżby wyrzuty sumienia?

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – zwrócił się do niej. Notes z pytaniami musi na razie poczekać. Może wcale nie będzie musiał go wymować.

– Od czego mam zacząć? – spytała.

– Po prostu od początku – zaproponował.

– Dobrze, tak chyba będzie najlepiej.

Wzięła głęboki oddech i poprawiła się na swoim fotelu.

– Nigdy nie mieliśmy ze sobą specjalnie bliskiego kontaktu – powiedziała. – Z pewnością już pan wie, że przestaliśmy się w ogóle kontaktować po tych... historiach z zabójstwami, ale prawda jest taka, że wcześniej też niewiele nas łączyło.

Pociągnęła łyk herbaty. Jung położył plasterek sera na krakersie i czekał.

– Było nas troje. Mój starszy brat umarł dwa lata temu, a ja skończę jesienią siedemdziesiąt pięć lat. Leopold był, jak to się mówi, tak zwanym wyskrobkiem. Miałam siedemnaście lat, kiedy się urodził... Za-

nim on zaczął chodzić do szkoły, i ja, i Jacques wynieśliśmy się już z domu.

Jung kiwnął głową.

– Potem umarła nasza mama. On miał w tym czasie zaledwie osiem lat... zostali we dwóch z tatą.

– W Kaustin?

– Tak, tata miał kuźnię... ale akurat wtedy był oczywiście na wojnie. Zwolniono go pół roku przed jej końcem, żeby mógł się zaopiekować Leo. Ja też trochę pomagałam, choć byłam już mężatką i miałam własne dzieci. Mieszkałam w Szwajcarii i nie mogłam być wolna, kiedy chciałam... mój mąż prowadził firmę i często mnie w niej potrzebował.

Tak, tak, pomyślał Jung. Poczucie winy nie daje spokoju, zawsze.

– Ale pani nie mieszkała w tym domu, który potem należał do pani brata... mam na myśli okres dzieciństwa?

– Nie, mieszkaliśmy w samej wsi. Kuźni już nie ma, ale nasz dom stoi nadal.

Jung skinął głową.

– Leopold kupił dom pod lasem, kiedy wrócił w tamte strony. To było po tej jego przygodzie ze sportem.

– Proszę opowiedzieć, cały zamieniam się w słuch.

Kobieta westchnęła.

– Leo nie miał dobrego dzieciństwa – rzekła. – Myślę, że był bardzo samotnym dzieckiem. O ile wiem, nie szło mu w szkole, miewał też problemy z kolegami, ale na ten temat na pewno więcej mogą powiedzieć panu inni. Skończył edukację na siódmej klasie. Przez parę lat pracował u taty w kuźni, no a później przeniósł się do Obern. Po prostu odszedł, przypuszczalnie coś musiało się między nimi wydarzyć, nigdy jednak się nie dowiedzieliśmy, o co poszło. Miał wtedy zaledwie szesnaście, siedemnaście lat. Był rok pięćdziesiąty drugi, o ile pamiętam.

– Ale w Obern dobrze mu się wiodło?

– Tak, nie najgorzej. Nie bał się pracy, a w tamtych czasach jej nie brakowało. Poza tym zapisał się do klubu sportowego i zaczął trenować, chyba sprint.

– Nie sprint, tylko biegi na średnich i długich dystansach – poprawił ją Jung, który trochę interesował się sportem. – Jestem wprawdzie młody, ale czytałem o nim.

Pani Hoegstraa skinęła głową.

– Tak, to były dobre lata, wtedy, w połowie lat pięćdziesiątych. Wszystko wydawało się zmierzać we właściwym kierunku.

– Zdaje się, że pani brat ustanowił wiele rekordów? Rekordów Szwecji... jeśli się nie mylę, na tysiąc pięćset i na trzy tysiące metrów.

Kobieta wzruszyła ramionami i przybrała przepraszającą minę.

– Pan wybaczy, panie inspektorze, ale ja w ogóle nie znam się na sporcie. Tak czy siak, te wszystkie jego rezultaty zostały potem unieważnione.

Jung pokiwał głową.

– To był prawdziwy skandal. Dożywotnie wykluczenie – to musiał być ciężki cios dla niego... bardzo ciężki. Czy w tamtym czasie miała pani z nim kontakt?

Pani Hoegstraa spuściła wzrok.

– Nie – odparła. – Ani ja z nim, ani on ze mną.

Jung odczekał chwilę.

– Ale to nie nasza wina – ciągnęła kobieta. – On tak chciał. Był odludkiem, najlepiej czuł się sam... zawsze tak się zachowywał. Oczywiście wolałabym, żeby było inaczej, ale co możemy na to dzisiaj poradzić? I co mogliśmy wtedy zrobić?

Nagle w jej głosie dało się słyszeć ogromne zmęczenie.

– Nie wiem – rzekł Jung. – Czy da pani radę opowiedzieć jeszcze trochę?

Kobieta znowu napiła się herbaty i mówiła dalej.

– Zostawił wszystko i wrócił do Kaustin. Kupił tamten dom – najwyraźniej udało mu się zaoszczędzić trochę pieniędzy... i z pracy, i z tego swojego biegania... został oskarżony o doping i o... no, jak to się nazywa? O naruszenie zasad sportu amatorskiego?

Jung potwierdził ruchem głowy.

– Czytałem o tym – powiedział. – Miał kryzys podczas biegu na pięć tysięcy metrów, gdy chciał pobić rekord Europy. Obiecano niemałą sumkę, jeśli mu się to uda, oczywiście w tajemnicy... a kiedy leżał

w szpitalu, w jego organizmie odkryto obecność amfetaminy i jeszcze innych środków. Był chyba jednym z pierwszych europejskich sportowców skazanych za doping. Ale nieważne, proszę kontynuować, pani Hoegstraa.

– No więc kupił tamten dom... Wielki Cień, tak nazywano go za moich dziecięcych lat, ale nie wiem dlaczego. Może z powodu położenia na uboczu. Od kilku lat stał pusty i pewnie nie kosztował dużo. I wtedy on zajął się na dobre hodowlą kur. Pracował w tej branży już trochę w Obern i przypuszczalnie dostrzegł jakieś możliwości... a jak tylko mu na czymś zależało, potrafił naprawdę się przyłożyć. Miał zmysł do interesów.

Przerwała. Jung pociągnął łyk piwa, po czym spytał:

– I wtedy pojawiła się Beatrice?

Jego rozmówczyni nagle wydała się całkowicie bezbronna.

– Czy musimy koniecznie o tym mówić, inspektorze?

Nie wiem, pomyślał. Poza tym na razie nie jestem jeszcze inspektorem. I może nigdy nie zdołam nim zostać.

– Tylko dwa krótkie pytania, dobrze? – poprosił.

Pani Hoegstraa skinęła głową i splotła dłonie na kolanach. On zaś zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni w poszukiwaniu zeszyciku na słówka, ale w końcu postanowił z niego zrezygnować.

– Czy pani kiedyś ją spotkała?

– Jako dorosłą – nie. Widziałam ją w Kaustin, kiedy była jeszcze dzieckiem. Oni oboje mieli mniej więcej po tyle samo lat... chodzili do jednej klasy.

– Ale Beatrice nie została we wsi, prawda?

– Nie. Przyjechała kilka miesięcy po Leopoldzie. Przez jakiś czas mieszkała, zdaje się, w Ulming... chyba zostawiła tam męża.

Jung milczał. Nagle nie wiedział, co tak naprawdę chce uzyskać. Które pytania może zadać i do czego one w ogóle go doprowadzą. Przecież ta podstarzała już siostra Verhavena nie może raczej mieć z tym nic wspólnego? Jaki jest więc sens, żeby tu teraz siedzieć i dręczyć biedną kobietę wspomnieniami, od których usiłowała się uwolnić przez całe swoje życie?

Choć tak naprawdę nigdy nie wiadomo.

– Czy ona była ładna? – spytał wreszcie, gdy milczenie zaczęło mu przeszkadzać.

Zawahala się nieco.

– Tak – stwierdziła w końcu. – Mężczyznom musiała się wydawać bardzo ładna.

– Ale pani nigdy jej nie widziała?

– Nie, tylko na zdjęciach. W gazetach.

Zmienił temat. Całkowicie.

– Pani Hoegstraa, dlaczego zgłosiła się pani na policję tak późno?

Kobieta głośno przełknęła ślinę.

– Przecież ja nic nie wiedziałam. Proszę mi wierzyć, inspektorze. Nie miałam pojęcia, że jemu się coś stało. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu, żadnego, proszę zrozumieć.

– Czy nie uważa pani tego za dziwne, że pani brat leżał martwy przez osiem miesięcy i nikt go nie szukał?

– Tak, to smutne... to straszne.

– Nigdy nie odwiedziła go pani w więzieniu?

– Raz, kiedy odbywał pierwszą karę. Ale dał mi jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie więcej żadnych wizyt.

– I pani to uszanowała?

– Tak, uszanowałam.

– A pani drugi brat?

– On też. Próbował zobaczyć się z nim po drugim morderstwie, jednak Leo nie chciał się z nim widzieć.

– Pisaliście do siebie?

Kobieta pokręciła głową.

– Ale opiekowała się pani jego domem?

– Nie, ani trochę. Tylko miałam klucze. Przez te dwanaście lat byłam tam dwa razy. Ostatni raz na tydzień przed jego zwolnieniem... napisał do mnie kartkę i poprosił, żebym zostawiła klucze.

– I to wszystko? – spytał Jung.

– Tak – odparła i spojrzała na niego lekko zawstydzona. – Obawiam się, że to wszystko.

Boże drogi, pomyślał Jung, przechodząc kwadrans później przez ulicę.



Muszę pamiętać, żeby wieczorem koniecznie zadzwonić do siostry. Nie można przecież dopuścić do czegoś takiego.

I do Maureen też powinien się odezwać. Choćby z powodu zeszytku ze słówkami.

Kiedy już ujechał kilka kilometrów, przyszło mu do głowy, że zapomniał zapytać, co za nieszczęście sprawiło, że Leopold miał tylko jedno jądro, ale jakkolwiek analizował tę kwestię, jakoś nie mógł sobie wyobrazić, żeby mogła odgrywać jakąkolwiek rolę. Tak czy inaczej, na pewno łatwiej będzie załatwić to przez telefon.

I nie musieć widzieć jej zakłopotanej miny.

Chyba jestem trochę pruderyjny, pomyślał, po czym włączył radio.

Jadąc do Ulmentahl, komisarz Rooth złapał się na tym, że łamie sobie głowę nad zawilościami geografii. Po chwili zrozumiał dlaczego – kiedy przejeżdżał przez Lijnhuizen, zwrócił uwagę na przydrożną tablicę, na której widniały obok siebie dwie nazwy: Kaustin i Behren.

Kaustin 16. Behren 38.

Oczywiście strzałki wskazywały różne kierunki. Kaustin leżał na północnym zachodzie, Behren niemal wprost na południu. A o ile dobrze pamiętał podstawowe wiadomości z geografii, powinno to oznaczać, że odległość między obiema miejscowościami musi wynosić... co najmniej pięćdziesiąt kilometrów.

Z jakiego powodu morderca zdecydował się zostawić ciało akurat tam?

W Behren. Małe miasteczko liczące... no właśnie, ile? Dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców? W każdym razie na pewno nie więcej niż trzydzieści.

Czysty przypadek?

Bardzo możliwe. Jeśli morderca chciał tylko przenieść ciało tak daleko od Kaustin, aby nikt nie kojarzył go z Verhavenem... to być może była to wystarczająca odległość. Ale z drugiej strony wywiezienie go jeszcze dalej zdecydowanie bardziej służyłoby temu celowi.

Bo chyba można przyjąć założenie, że Verhaven został pozbawiony życia w swoim własnym domu. Czy też nie? Jak dotąd nic nie jest potwierdzone na sto procent, w żadnym kierunku, czyli może jednak Verhaven opuścił dom, tylko umknęło to sokolemu oku pani Wilkerson. Lub kogoś innego?

Oczywiście mógł to zrobić. Na przykład nocą. Albo pójść przez las. Zdaje się, że jedynie droga do wsi miała oczy... no i naturalnie sama wieś.

No więc mógł udać się do Behren... czy gdzie indziej... i tam trafić na swojego zabójcę. Bez dwóch zdań.

Skręcił na autostradę. Następne pytanie?

Jak? Jak Verhaven mógł dostać się do Behren (albo gdzie indziej)?

Nie miał już samochodu. Pozostawały tylko autobus albo taksówka, innych możliwości nie było... a jeśli tak, to raczej nie będzie trudno ustalić szczegółów.

Przynajmniej stopniowo. Na razie udało im się trzymać media z daleka od sprawy, co oczywiście było korzystne dla atmosfery pracy i przebiegu śledztwa, ale wiadomo, że wcześniej czy później ich pomoc okaże się potrzebna. Poza tym to jedynie kwestia czasu, kiedy cała ta wrzawa z Kaustin

przebieje się dalej. Tylko patrzeć, jak wieści rozejdą się po całym kraju, i wtedy będą musieli zrobić dobrą minę do złej gry. Jak zawsze.

Dziennikarze są jak krowie łajno, powtarzał zawsze Reinhart. Nie przepadam za tym fenomenem jako takim, rozumiem jednak, że ma on pewną rację bytu.

Jeżeli zatem istnieje taksówkarz, myślał Rooth, lub kierowca autobusu, który byłby w stanie przypomnieć sobie pasażera jadącego pewnego sierpniowego wieczoru... albo może wczesnym rankiem... do... dlaczego nie do Behren, to dosyć znacząco ograniczyłoby możliwości poszukiwań.

I posunęlibyśmy się trochę do przodu.

Nacisnął mocniej na gaz i zaczął bębnić palcami o kierownicę. Bo w obecnej sytuacji mogli sobie zadawać pytań bez liku. I każde cholerne pytanie rodziło trzy kolejne. Albo więcej.

Dosyć, trzeba zająć myśli czym innym, postanowił i przesunął dłonią po brodzie.

Co ten deBries powiedział? Zdychająca świnka morska?

Jeszcze sto osiemdziesiąt kilometrów do Ulmentahl. Na następnym parkingu musi koniecznie coś zjeść. Bez dyskusji.

Jasny i przestronny gabinet dyrektora więzienia był przyjemnie urządzone, na ścianach wisiały oprawione w ramki dyplomy sportowe i skrzyżowane rakiety tenisowe. Sam dyrektor Bortschmaa był postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce, jak ocenił Rooth, ubranym w jasnoniebieską sportową koszulę; miał opalone ręce i młodzieńczą czuprynę lnianożółtych włosów.

Niewielki kącik gościnny pod dużym, panoramicznym oknem – z widokiem na górną część zakończonygo zygzakiem muru i bezkresną równinę za nim – tworzyły lekkie fotele o stalowej konstrukcji z jaskrawoniebieskimi i żółtymi siedzeniami oraz czerwony plastikowy stolik. Na jednym z foteli siedział otyły mężczyzna o przeredzonych skroniach i z wilgotnymi plamami pod pachami. Nie wyglądał na zadowolonego.

Rooth i dyrektor zajęli miejsca.

– Pan Joppens, nasz kurator – przedstawił otyłego mężczyznę ten ostatni.

– Rooth – rzekł inspektor i wyciągnął dłoń.

– Pan inspektor chciałby zadać kilka pytań dotyczących Leopolda Verhavena – wyjaśnił Bortschmaa. – Pomyślałem więc, że dobrze będzie, aby Joppens też wziął udział w naszej rozmowie. – Wskazał głową na mężczyznę. – Bardzo proszę, panie inspektorze.

– Dziękuję – odezwał się Rooth. – Czy mogliby panowie pokrótce go opisać?

– No cóż – zaczął kurator. – Jeśli w ogóle można opisać człowieka pokrótce, to on idealnie się do tego nadaje. W pół minuty jestem w stanie przedstawić go absolutnie wyczerpująco... a na piśmie zajęłoby to z pół strony.

– Tak? – spytał Rooth. – Co chce pan przez to powiedzieć?

– Miałem z nim do czynienia przez jedenaście lat i dzisiaj wiem o nim dokładnie tyle samo, ile tamtego dnia, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

– Odludek – wyjaśnił dyrektor Bortschmaa.

– Nie miał kontaktu w ogóle z nikim – kontynuował Joppens. – Z żadnym współwięźniem, z nikim z zewnątrz, z żadnym strażnikiem... ze mną też nie, nawet z kapłanem.

– To brzmi dziwnie – stwierdził Rooth.

– Na dobrą sprawę mógłby przesiedzieć cały czas w izolatce – dodał Baortschmaa. – Nie zrobiłoby mu to większej różnicy. Introwertyczny typ. Potwornie zamknięty w sobie... ale nietuzinkowy.

– Nigdy nie zachowywał się inaczej? – spytał Rooth.

– Nigdy – potwierdził Joppens. – Nigdy się też nie uśmiechał.

– Brał udział w jakichś zajęciach?

Kurator pokręcił głową.

– Raz w tygodniu pływał. Dwa razy na tydzień chodził do biblioteki. Czytał gazety i czasami wypożyczał książki. Nie wiem, czy uznaje pan to za zajęcia.

– Ale pan przecież musiał z nim rozmawiać?

– Nie – odpowiedział kurator.

– Nie odpowiadał panu, kiedy się pan do niego zwracał?

– Odpowiadał. Dzień dobry, dobranoc i dziękuję.

Rooth zamilkł na chwilę. No super, cały dzień przesiedział za kierownicą, żeby dowiedzieć się czegoś takiego. Ale skoro już tu jest, spróbuje jeszcze cokolwiek z nich wycisnąć.

– Nie miał nikogo zaufanego w całym więzieniu?

– Nie – odpowiedział Joppens.

– Nikogo – potwierdził dyrektor.

– A listy? – rzucił Rooth.

Kurator zamyślił się.

– Dostał dwa... chyba od rodziny. A kilka tygodni przed swoim wyjściem wysłał jedną kartkę.

– Przez całe dwanaście lat?

– Tak. Ta kartka była do jego siostry.

– Odwiedzał go ktoś?

– Dwa razy – rzekł Joppens. – Na samym początku przyjechał jego brat. Ale Verhaven się z nim nie spotkał. Nawet nie przyszedł do rozmównicy... ja wtedy jeszcze tutaj nie pracowałem, ale wiem to od mojego poprzednika. Brat czekał przez cały dzień...

– A druga wizyta? – spytał Rooth. – Powiedział pan, że były dwie.

– Odwiedziła go jakaś kobieta. Chyba w zeszłym roku... nie, raczej dwa lata temu.

– Co to za kobieta? – drażył Rooth.

– Nie mam pojęcia.

– Ale widział się z nią?

– Tak.

Rooth przyglądał się chwilę dyplomom i raketom.

– To wszystko jest według mnie trochę dziwne. Macie więcej takich więźniów?

– Skąd – odezwał się dyrektor. – Nigdy nie spotkałem kogoś podobnego.

– Przerazająca samokontrola – wtrącił kurator. – Rozmawiałem o nim z moimi kolegami i jesteśmy co do tego całkowicie zgodni... na zewnątrz stuprocentowa kontrola. Ale zagadką pozostaje to, co tkwi w środku.

Rooth pokiwał głową.

– Dlaczego pan się nim tak interesuje? – zdziwił się dyrektor. – Jeśli to nie tajemnica.

– Nie, żadna tajemnica. Wcześniej czy później i tak to wypłynie. Znaleźliśmy go zamordowanego.

Cisza, jaka zaległa w pokoju, wydała się Roothowi porównywalna z wyłączeniem prądu.

– Czyli jednak... – powiedział kurator.

– Ale co, u... – rzekł dyrektor.

– Dobrze byłoby, gdybyście panowie na razie nie rozpowszechniali tej informacji – zwrócił się do nich Rooth. – Będziemy wdzięczni, jeśli jeszcze kilka dni uda nam się popracować w spokoju. Potem i tak rzucą się na nas wszystkie gazety.

– Jasne – odparł Bortschmaa. – A jak zginął?

– Nie wiemy – rzekł Rooth. – Nie mamy głowy, stóp i dłoni. Ktoś go okaleczył.

– Wielki Boże – powiedział dyrektor, a Rooth odniósł wrażenie, że jego opalenizna zbladła o kilka odcieni. – Ale zwłoki są? Bo pisali o nich w gazetach.

– Tak – potwierdził inspektor.

– A kiedy to się mogło stać? – spytał kurator.

– Dosyć dawno – rzekł Rooth. – Zwłoki znaleziono dopiero po

ośmiu miesiącach.

– Po ośmiu miesiącach! – wykrzyknął Joppens, marszcząc czoło. – Czyli musiał zostać zabity zaraz po wyjściu stąd?

– Przypuszczamy, że tego samego dnia.

– Zamordowano go tego samego dnia?

– Prawdopodobnie.

– Hm – mruknął Bortschmaa.

– U nas, cokolwiek by mówić, jest jednak bezpiecznie – stwierdził Joppens.

Milczeli przez chwilę. Rooth poczuł ssanie w dołku i zdziwił się trochę, dlaczego ci dwaj niczym go nie poczęstowali.

– Wychodził na przepustki? – spytał.

– Nigdy nie chciał – wyjaśnił dyrektor. – A my nie mamy w zwyczaju nikogo zmuszać.

Rooth skinął głową. O co jeszcze mógłby zapytać?

– I nie macie, panowie, żadnych podejrzeń... – rzekł wreszcie – żadnego pomysłu, kto mógłby chcieć go zamordować?

– A wy? – spytał kurator.

– Nie – przyznał inspektor.

– My też nie – powiedział dyrektor. – Nie mamy bladego pojęcia. On nie miał tu żadnych znajomych. Ani dobrych, ani złych... widocznie musiał być ktoś, kto na niego czekał.

Rooth westchnął.

– Prawdopodobnie.

Znowu zamyślił się na chwilę.

– A ta kobieta – odezwał się w końcu – ta, która go odwiedziła rok, dwa lata wcześniej czy jakoś tak... kto to był?

Dyrektor spojrzał na kuratora.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Ja też nie – rzucił Joppens. – Ale możemy sprawdzić w protokole, jeśli panu na tym zależy.

– Oczywiście – zgodził się Rooth.

Znalezienie tego, czego szukali, zajęło dwóm pracownikom archiwum sporo czasu, wreszcie jednak udało się dotrzeć do właściwej daty.

Piąty czerwca 1992 roku. Piątek.

Kobieta nazywała się Anna Schmidt.

– A adres? – spytał Rooth.

– Nie mamy takich danych – powiedziała starsza z urzędniczek. –

Nie są wymagane.

– Wystarczy samo nazwisko?

– Tak.

Rooth znowu westchnął.

– Jak wyglądała?

Obie kobiety wzruszyły ramionami.

– Może niech pan lepiej spyta strażników.

– Czy da się ustalić, kto miał wtedy służbę i mógł... ją widzieć?

– Oczywiście.

To także wymagało trochę czasu, toteż zanim wytropiono poszukiwaną osobę, Rooth mógł wstąpić do kantyny i kupić sobie dwie kanapki z serem.

– Czy pani Emmeline Weigers?

– Tak.

– Czy pani miała służbę w rozmównicy piątego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku?

– Tak, na to wygląda.

– Tamtego dnia ktoś przyjechał w odwiedziny do Leopolda Verhavena. To było niecodzienne zdarzenie.

– Tak.

– Przypomina pani to sobie?

– Mniej więcej.

– Minęły już prawie dwa lata.

– Pamiętam tylko dlatego, że chodziło o niego. Rozmawialiśmy o tym. On był trochę... nietypowy, wszyscy tak mówili.

– Raczej nikt go nie odwiedzał?

– Nigdy.

– Mogłaby pani opisać tę kobietę?

– Obawiam się, że niezbyt dokładnie. Nie pamiętam jej za dobrze. W każdym razie była dosyć wiekowa. Tak koło sześćdziesiątki... Wy-



glądała na niezbyt zdrową. Chodziła o lasce...

– Czy rozpoznałaby ją pani?

Kobieta zastanowiła się chwilę.

– Nie, raczej nie.

– Jak długo ze sobą rozmawiali?

– Czy ja wiem? Z piętnaście, dwadzieścia minut, o ile pamiętam. Na pewno nie cały czas.

– Cały czas?

– No, nie regulaminowe pół godziny.

– A kiedy pani przypomina sobie tę sytuację, przychodzi pani może coś szczególnego do głowy? Jakiś szczegół czy coś w tym rodzaju?

Strażniczka znowu zastanowiła się krótko.

– Nie. Nic takiego.

Rooth podziękował i wstał z krzesła.

Kolejną godzinę zabrało mu wydostanie się z zakładu, a potem znalezienie już w samym Ulmentahl adresu Ruitens allé 4. Zaparkował przed białą willą. Pomodlił się w duchu, wysiadł z samochodu i ruszył po wyłożonym płytami podjeździe. Zadzwoił do drzwi.

– Słucham?

– Pan Chervouz?

– Tak.

– Nazywam się Rooth. Inspektor kryminalny Rooth. To ja dzwoniłem przed chwilą.

– Proszę wejść. A może woli pan usiąść w ogrodzie? Pogoda jest dziś nie najgorsza.

– Chętnie – zgodził się Rooth.

– Jak pięknie jest, kiedy kwitną kasztany – zauważył pan Chervouz, nalewając piwo do dwóch wysokich szklanek.

– Tak – potwierdził Rooth – bardzo pięknie.

Napili się.

– Co pan chce wiedzieć o tym Verhavenie?

– Pełnił pan służbę przy bramie piątego czerwca dziewięćdziesiąte-

go drugiego roku. Tego dnia Verhaven miał gościa. Wprawdzie to było niemal dwa lata temu, ale może przypomina pan sobie choć trochę tę kobietę, którą wpuścił pan do środka?

Chervouz pociągnął łyk piwa.

– Zacząłem zastanawiać się nad tym zaraz po pana telefonie. Zdaje się, że przyjechała taksówką. Była dosyć stara. Miała trudności z chodzeniem... w każdym razie opierała się na lasce. Ale, Boże drogi, może to tylko moja wyobraźnia. Może ją z kimś myłę.

– A dlaczego pan to w ogóle pamięta?

– No bo ona chciała się z nim spotkać.

– Aha. Widział pan ją wcześniej?

– Nie... nie sądzę.

– Był pan jeszcze przy bramie, kiedy odjechała?

– Nie, wtedy musiał już chyba być mój kolega... w każdym razie niczego takiego nie pamiętam.

– Czy byłby pan w stanie ją rozpoznać?

– Nie, na pewno nie.

Minęło kilka sekund. Potem padło to pytanie, a w głosie gospodarza nie dało się nie zauważyć tłumionej ciekawości.

– Co on znowu zmajstrował?

– Nic – odparł Rooth. – Nie żyje.

W dworcowej restauracji zjadł średnio atrakcyjny obiad, a kiedy znowu wsiadł do samochodu, na dworze zaczęło już powoli zmierzchać.

Ale mam dzisiaj wielki urobek, pomyślał. Faktycznie imponujący.

A kiedy potem zaczął liczyć, ile pieniędzy podatników już wyłożono – i ile jeszcze trzeba będzie wyłożyć – na to wątpliwe dochodzenie, zauważył, że powoli wzbiera w nim oburzenie. Głównie dlatego, że ten Leopold Verhaven kosztował państwo naprawdę niemało. I to jeszcze za życia.

Zamordował dwie kobiety. Po dwóch niemal identycznych procesach został skazany i prawie ćwierć wieku przesiedział w więzieniu. A potem ktoś postanowił rozprawić się z nim ostatecznie.

Dlaczego teraz nie miałyby podobnie zrobić policja?

Postawić kropkę. Odkreślić grubą kreską i zachowywać się tak, jak-

by nikt nigdy nie potknął się o zwłoki zawinięte w dywan. Komu tak naprawdę przyjdzie coś z tego, że tyle energii i środków wkłada się w znalezienie sprawcy, który z jakiegoś niewiadomego powodu postanowił zakończyć samotne życie recydywisty?

Kogo, do stu piorunów, obchodzi, że Leopold Verhaven nie żyje?

Czy jest ktoś taki?

Oczywiście poza tym, kto go zabił?

Rooth miał co do tego poważne wątpliwości.

Ale gdzieś głęboko z tyłu głowy zaczęło rozbrzmiewać echo słów pochodzących, jeśli się nie mylił, z wytycznych i rozporządzeń dotyczących pracy policji kryminalnej. Nie przypominał sobie tych słów dokładnie, lecz ich sens dobrze oddawało jedno z powiedzonek Van Veeterena:

Jeśli morderca włóczy się po Timbaktu, to my musimy tam jechać pierwszą złapaną taksówką. Nie jesteśmy przecież, do cholery, firmą nastawioną na zyski!

– A gdzie właściwie leży Timbaktu? – ktoś spytał.

– Taksówkarz będzie wiedział – odparł Van Veeteren.

Może lepiej trzymać się tego przesłania, pomyślał Rooth. W przeciwnym razie trudno byłoby oszacować konsekwencje.

Van Veeteren sięgnął po stertę kserokopii i zaczął je przeglądać.

Musiał przyznać, że Münster się spisał. Zostawił mu czterdzieści do pięćdziesięciu stron; z różnych gazet, oczywiście głównie z „Neuwe Blatt” i „Telegraaf”. Uporządkowane chronologicznie, na początku artykuły o karierze sportowej, a na końcu komentarze do wyroku w sprawie zabójstwa Marlene. Z dokładnymi datami.

Ciekaw był, czy to rzeczywiście Münster osobiście zadał sobie tyle trudu, żeby zaspokoić jego ciekawość, czy też jakiś pilny pracownik archiwum gazet i czasopism natyrał się jak dzika świnia. Skłaniał się raczej ku temu drugiemu przypuszczeniu, ale przecież nigdy nie wiadomo.

Münster to jednak Münster, pomyślał Van Veeteren.

Zaczął od prehistorii. Od błyskotliwej, pełnej chwały, ale krótkiej kariery Verhavena na bieżniach. W sumie nie trwała chyba dłużej niż dwa lata. Dwa pełne sukcesów lata, a potem wszystko się odmieniło.

„Nowy rekord Verhavena!” – brzmiał tytuł artykułu na cztery szpalty z 20 sierpnia 1958 roku, opatrzonego trochę niewyraźnym zdjęciem młodego mężczyzny, który patrzy w obiektyw i robi znak wiktorii.

Nie wyglądał jakoś specjalnie imponująco, pomyślał Van Veeteren. Jednak wokół zaciśniętych ust dawał się zauważyć wyraźny rys powagi i stanowczości, a z ciemnych oczu biła wiara w nowe triumfy i jeszcze lepsze wyniki.

Przyglądał się twarzy tego dwudziestodwuletniego mężczyzny, zastanawiając się, czy da się z niej coś wyczytać – czy to naprawdę moż-

liwe, aby w tych zastygłych rysach dostrzec jakąś zapowiedź przyszłości... odkryć predyspozycje, załóżek gwałciciela i podwójnego mordercy.

Nie było to oczywiście możliwe.

Wiedzieli, czego szukali, i konsekwentnie właśnie to znajdowali... nie, te oczy nie kryją niczego poza zwykłą, może trochę arogancką pewnością siebie, uznał Van Veeteren. Były w nich siła i męskość, i Bóg wie co jeszcze, co zazwyczaj daje się odnaleźć u wszystkich współczesnych bohaterów. A może również u starożytnych, jeśli się głębiej zastanowić. Van Veeteren nigdy nie był wielkim entuzjastą sportu i uważał, że wmawianie sobie, że istnieje jakakolwiek jakościowa różnica między greckim dyskobolem a rosyjskim hokeistą, jest jedynie wyrazem naszej odwiecznej potrzeby oszukiwania samych siebie.

Stwierdziwszy to, zabrał się w końcu do czytania:

Fakt, że Leopold Verhaven to nasz najmocniejszy atut na bieżni, jest znany kibicom sportowym już od roku. Ale tego, że ów niesłychanie utalentowany, zaledwie dwudziestodwuletni biegacz z Obern zacznie ustanawiać nowe rekordy już tego lata, raczej nikt się nie spodziewał.

Jednym słowem, nas oszukał, ale jakże chętnie dajemy się zwodzić w ten sposób! Tak więc po wspaniałym sukcesie odniesionym na stadionie Verhejm i ustanowieniu rekordu krajowego w biegu na 1500 metrów, wczoraj, w ten niezwykle sportowy wieczór w Willemsroo, wynik został poprawiony aż do 3:41,5, przy czym warto zaznaczyć, że ostatnie sześćset metrów Verhaven pokonał bez towarzystwa, w majestacie swej samotności.

Nikt z pozostałych znanych biegaczy nie był zdolny dotrzymać mu kroku, kiedy po połowie dystansu zwiększył tempo. Jego lekkie, szybkie jak wiatr i długie kroki, na pozór bezwysiłkowy ruch podczas całego biegu, rytm oraz mistrzowska taktyka...

Van Veeteren pobieżnie przebiegł wzrokiem resztę. Jednocześnie spróbował cofnąć się myślami do tamtego sierpnia trzydzieści pięć lat temu i zobaczyć siebie... lecz nie zdołał ustalić nic więcej ponad to, że musiały być wakacje i miał wolne na uniwersytecie. Później rzucił te cholerne studia i zgłosił się do szkoły policyjnej, czyli pewnie latem pracował u Kummermanna, w zagraconym i zakurzonym magazynie albo – w najlepszym razie – pozwolił sobie na tydzień wypoczynku

nad morzem u wujostwa.

Nieważne. Przeszedł do następnej kopii. Niecały rok później. Osiemnasty maja 1959. Trzy szpalty w „Telegraaf” ze zdjęciem mety po kolejnym biegu na tysiąc pięćset metrów. To był chyba jego ulubiony dystans. Górna część tułowia pochylona do przodu, aby jak najszybciej dotknąć taśmy, półdługie włosy rozwiane na wietrze, usta otwarte, oczy wpatrzone przed siebie...

„Verhaven atakuje rekord Europy” – brzmiał tym razem tytuł. Van Veeteren zaczął czytać:

3:40,4! Tyle wynosi nowy rekord Verhavena na 1500 metrów, ustanowiony wczoraj wieczorem podczas wspaniałego biegu na międzynarodowych zawodach na Kunderplatz. Już po przebiegnięciu 800 metrów nasz nowy król średniego dystansu podziękował reszcie zawodników za towarzystwo i po dwóch cudownych okrążeniach solo osiągnął czas, jaki do tej pory udało się uzyskać jedynie Francuzowi Jazy’emu i Węgrowi Roszavölgyiemu. Wynik Verhavena jest szóstym wynikiem wszech czasów i dlatego chyba nikt nie ma wątpliwości, że ten niesłychanie utalentowany dwudziestotrzylatek z Obern będzie naszym najmocniejszym asem na igrzyskach olimpijskich w Rzymie w nadchodzącym roku. Przynajmniej w lekkiej atletyce, w której to dyscyplinie nasz kraj dzieli spory dystans od znacznie lepszych Brytyjczyków, Francuzów i silnych Amerykanów. Na wczorajszych zawodach odnotowano nie mniej niż...

Maj pięćdziesiąt dziewięć, pomyślał Van Veeteren i odłożył na bok kartkę. Trzy miesiące, zanim pękł ten wielki balon.

Sięgnął po następny artykuł, w którym pisano już inaczej. Skandal stał się faktem i też znalazł się na pierwszych stronach:

„Verhaven oszustem!” – brzmiał tytuł nad czteroszpaltowym tekstem, poniżej znajdowało się niewyraźne zdjęcie, na którym, przyrzawszy się mu dokładnie, można było rozpoznać mężczyznę wynoszonego na noszach. Całej sytuacji towarzyszyła, jak wskazywało tło fotografii, dosyć burzliwa atmosfera.

Van Veeteren przeczytał pełen oburzenia artykuł o biegu na tysiąc pięćset metrów w sierpniu 1959, podczas którego Verhaven przez cały czas jednoznacznie przewodził stawce i miał jeszcze tylko dwa okrążenia do mety – oraz do spodziewanego rekordu Europy – gdy nagle, tuż po wyjściu z południowego łuku Richterstadion w Maardam, upadł.

Sprawdził datę: tak, artykuł ukazał się dwa dni po zawodach. Kiedy już wszystko zostało ustalone.

Gdy na światło dzienne wyszła sprawa dopingu i brudnych pieniędzy. Kiedy bajka się skończyła.

Verhaven oszustem.

Czy to był wstęp do dziejów Verhavena mordercy? – zastanawiał się Van Veeteren.

I Verhavena podwójnego mordercy?

Czy istniał jakiś związek, jakiś łańcuch, w którym jedno wynikało z drugiego? Nie automatycznie, rzecz jasna, ale jako następstwo przyczyny i skutku? Czy zarodek, embrion mordercy krył się już w oszucie? Czy można w ogóle stawiać takie pytania?

Znowu ogarnęło go zmęczenie. Pozbierał lekko pogniecione kartki i wetknął je z powrotem do koperty.

Jaki sens tak naprawdę mają takie rozważania, zastanowił się. Po co jego mózg męczy się nad tymi spekulacjami? Czy nie lepiej zająć się czymś rozsądniejszym?

A może on sobie tylko wmawia, że zmierza w tym śledztwie we właściwym kierunku?

Przez chwilę przysłuchiwał się gołębiom, które gruchały gdzieś za oknem. Jego myśli odpłynęły gdzie indziej – próbował zastanowić się nad tymi symbolami pokoju, nad rozpadem Europy i utajonym nacjonalizmem, po czym powrócił do swojej codzienności. Bo – koniec końców – chodziło o jedno: o to podejrzenie.

O tę nieokreśloną myśl, która nie dawała mu spokoju.

Czy to nie dla niej powinien poszukać dowodów?

Jak łatwo jest wyciągać postronnemu obserwatorowi te same arcy-mądre wnioski? Oszust – morderca. Budować pozorne mosty nad wymyślonymi przepaściami. Dopatrywać się związku tam, gdzie go nie ma albo jest zbędny. Czy ktoś zastanowił się głębiej nad wykroczeniem Verhavena? Czy wtedy, w tych niewinnych latach pięćdziesiątych czy wczesnych sześćdziesiątych, miało ono rzeczywiście aż takie znaczenie, jakie przypisywali mu bogowie i guru ówczesnego sportu? Trudno mu było w to uwierzyć. Poza tym facet chyba nie biegał szybciej dlatego, że brał pieniądze. Amfetamina i Bóg wie co jeszcze nie-

wątpliwie dawały mu kopa, ale podobny przypadek w naszych czasach nie skończyłby się nigdy aż dożywotnią dyskwalifikacją.

Sam już nie wiedział. To nie jego działka, nie zna się na tym, ale Rooth czy Heinemann na pewno będą umieli mu to wyjaśnić.

Tak czy owak, wciąż otwarte pozostawało pytanie: ile położył na wadze Verhaven oszust, gdy zrobił krok i stał się Verhavenem mordercą?

Oczywiście w oczach innych. Dziennikarzy. Opinii publicznej. Policji, wymiaru sprawiedliwości i składu sędziowskiego. W oczach wydających wyrok.

Sędziego Heidelbluuma?

Nad tym pytaniem musi zastanowić się głębiej. To nie ulega wątpliwości.

Splótł ręce nad bolącą wciąż raną, zamknął oczy i postanowił na razie pozostawić to pytanie swoim snom.



Po odpowiednim lobbingu deBriesowi udało się wreszcie doprowadzić do tego, że jako partnerkę przydzielono mu aspirantkę Ewę Moreno. Przynajmniej na kilka najbliższych dni pracy w terenie. I kiedy któregoś późnego popołudnia jechali piękną i pełną meandrów drogą nad jeziorem do Kaustin, raczej nie odniósł wrażenia, by to rozwiązanie nie przypadło jej do gustu.

Na pewno mogłaby trafić gorzej. Na tyle poczucia własnej wartości można chyba sobie w końcu pozwolić. DeBries zahamował przed szkołą. Jeszcze przez chwilę siedzieli w samochodzie, porównując naskicowaną odręcznie mapkę z okolicą.

– Może najpierw Gellnacht – zaproponowała Moreno, wskazując głową kierunek jazdy. – Ona mieszka tam.

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

Irmgaard Gellnacht przygotowała poczęstunek w altance na tyłach dużej drewnianej willi. Wskazała im miejsce na szerokiej huśtawce ogrodowej, podczas gdy sama usiadła na jednym z dwóch starych leżaków.

– O tej porze roku wieczory są takie piękne – powiedziała. – Trzeba być na powietrzu, jak najwięcej się da.

– Początek lata to najładniejszy czas – dodała Ewa Moreno. – Wszystko kwitnie.

– Pani też ma ogród? – spytała gospodyni.

– Niestety, nie. Ale mam nadzieję, że kiedyś będę miała.

DeBries chrząknął dyskretnie.

– Przepraszam – rzekła pani Gellnacht. – Państwo na pewno chcieli porozmawiać o czym innym. Ale proszę się częstować.

– Dziękujemy – odezwała się Ewa Moreno. – Czy ten rabarbar w cieście to z pani ogródka?

– Czyli byliście równolatkami – stwierdził deBries.

– Nie do końca. Ja jestem rok starsza... urodziłam się w trzydziestym piątym. A Leopold w trzydziestym szóstym. Mimo to byliśmy w jednej klasie. W tamtych czasach w naszej wiosce do każdej klasy chodziły trzy roczniki... myślę, że nadal tak jest... dlatego go pamiętam. Pięciu lat spędzonych w tej samej szkole nie zapomina się tak łatwo.

– Co może pani o nim powiedzieć?

– Był samotny – rzekła Irmgaard Gellnacht bez wahania. – Samotny i zamknięty w sobie. Dlaczego on was tak interesuje? Czy to prawda, co mówią? On nie żyje?

Jutro rano i tak wszystko będzie w gazetach, pomyślał deBries.

– Wolelibyśmy nie mówić tego głośno, pani Gellnacht – wyjaśnił, przykładając sobie palec do ust. – Będziemy wdzięczni, jeśli ta rozmowa pozostanie między nami.

Miał nadzieję, że wypadło to tak groźnie, jak zamierzał.

– Ale chyba miał jakichś przyjaciół? – spytała Moreno.

Kobieta zamyśliła się chwilę.

– Nie, wydaje mi się, że nie miał. Może w pierwszych latach. O ile dobrze pamiętam, zadawał się trochę z Pieterem Wolenzem, ale oni potem się wyprowadzili do... Linzhuisen. Później już chyba z nikim się nie trzymał.

– Czy był szykanowany? – spytała znowu Moreno. – Albo mobbowany, jak to się dzisiaj nazywa.

Pani Gellnacht ponownie się zastanowiła.

– Nie – odparła. – Właściwie nie. My... wszyscy... czuliśmy przed nim jakby respekt. W każdym razie woleliśmy z nim nie zadzierać... bo on potrafił wpaść w wielką wściekłość. Dobrze pamiętam. Pod tą cichą i mrukliwą skorupą krył się prawdziwy temperament.

– W czym się to wyrażało?

- Słucham?
- Chodzi mi o temperament. Co on na przykład robił?
- Czy ja wiem... – zawahała się. – Niektórzy się go bali... zdarzały się przecież bójkę, a on był silny, naprawdę silny, mimo że nie był ani wysoki, ani potężnie zbudowany.
- Czy pamięta pani może jakąś szczególną sytuację?
- Nie... chociaż zaraz. Pamiętam, że jak się kiedyś zezłościł, to wyrzucił któregoś z chłopców przez okno.
- Przez okno?
- Ale to nie było takie groźne, jak by się mogło wydawać. Mieliśmy klasę na parterze, więc nic się nie stało.
- Rozumiem.
- Tyle że pod oknem stał stojak na rowery, więc jednak trochę bolało...

DeBries pokiwał głową.

- Jak się nazywał ten chłopiec? – kontynuowała Moreno.
- Nie pamiętam – powiedziała Irmgaard Gellnacht. – Może to był jeden z braci Leisse. Albo Kollerin, ten, który dzisiaj jest rzeźnikiem. Tak, chyba on.

DeBries zmienił wątek.

- Beatrice Holden. Pamięta ją pani?
  - Oczywiście – potwierdziła kobieta, poprawiając się na leżaku.
  - Jak by pani ją opisała?
  - Wolałabym tego nie robić. Jak to się mówi: o zmarłych tylko dobrze albo wcale, prawda?
  - A gdybyśmy panią odrobinę zmusili?
- Irmgaard Gellnacht roześmiała się.
- Chyba że tak – rzekła. – Beatrice Holden była dziwką. Myślę, że to określenie charakteryzuje ją najlepiej.
  - Była dziwką już w szkole? – zdziwiła się aspirantka Moreno.
  - Od samego początku – potwierdziła gospodyni. – Proszę sobie nie myśleć, że jestem jakąś pruderyjną świętoszką i dlatego mówię coś takiego. Beatrice była przerażająco wulgarna. W najgorszym tego słowa znaczeniu. Dobrze wyglądała i wykorzystywała to, żeby owijać sobie facetów wokół małego palca... wtedy jeszcze chłopców.

– Kochali się w niej?

– Wszyscy co do jednego. Nauczyciel chyba też. Był młody i nieżonaty, właściwie to dosyć smutne.

– Czy potem się stąd wyniosła?

Pani Gellnacht przytaknęła.

– Zniknęła z jakimś facetem, zanim skończyła siedemnaście lat. Mieszkała w dwóch, trzech miejscach... i wróciła kilka lat później, ale nie sama.

– Z dzieckiem?

– Tak. To była dziewczynka. Zajęła się nią jej matka, to znaczy matka Beatrice.

– Kiedy to było? Na długo przedtem, jak zaczęła być z Verhavenem?

– Nie, nie na długo, chyba jakoś tak około sześćdziesiątego roku, mniej więcej wtedy, kiedy i on wrócił... w każdym razie wprowadziła się z małą do swojej matki na nie więcej niż około pół roku... mówiło się, że tatuś jest na morzu, ale nikt nigdy go nie widział. Ani wtedy, ani później. Tak, a po kilku miesiącach przeniosła się do Verhavena, do Wielkiego Cienia.

– Do Wielkiego Cienia?

– Tak nazywaliśmy ten dom. Wielki Cień... ale proszę mnie nie pytać dlaczego.

DeBries pokiwał głową i zanotował.

– A co z córką? – spytała Moreno. – Zabrała ją ze sobą?

– Ale skąd – zaprzeczyła stanowczo Irmgaard Gellnacht. – Gdzieżby tam. Zostawiła ją u babki... i może to było najlepsze rozwiązanie. Przynajmniej mała wyszła na ludzi.

– Jaki był ten ich związek? – tym razem spytał deBries. – Mam na myśli Verhavena i Beatrice?

Pani Gellnacht odczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

– Nie wiem – rzekła. – Już później ludzie gadali całą masę różnych rzeczy. Niektórzy twierdzili, że od samego początku było wiadomo, że to się tak skończy, jak się skończyło... albo że w ogóle źle się skończy, ale ja nie wiem. Łatwo jest wszystko tłumaczyć, kiedy zna się wynik, prawda?

– Z pewnością.

– Owszem, działo się to i owo, zanim ją zabił, oboje sporo pili, ale on był też bardzo pracowity. Ciężko harował, podobno całkiem niezłe zarabiał na tych swoich kurach... ale często się kłócili. Temu nie mogę zaprzeczyć.

Nastąpiła krótka pauza, podczas której gospodyni dołała kawy do filiżanek. DeBries pochylił się do przodu i zadał ważne pytanie:

– Jak to było przed samym aresztowaniem Verhavena? Kiedy znaleziono Beatrice, czyli... przez te dziesięć dni, czy ile to tam trwało? Może pani sobie to przypomnieć?

– Hm – zaczęła Irmgaard Gellnacht. – Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem...

– Co wtedy ludzie myśleli? – uzupełniła Moreno. – Kogo podejrzewali, co mówiło się o tym w wiosce? Zanim było wiadomo.

Kobieta siedziała w milczeniu z filiżanką kawy w dłoni.

– Wszystkie rozmowy szły mniej więcej w jednym kierunku.

– Czyli w jakim? – dopytał deBries.

– Że oczywiście zrobił to Verhaven. W każdym razie tu, w Kaustin, nikt specjalnie się nie zdziwił, kiedy został aresztowany... ani kiedy go skazali.

DeBries znowu coś zapisał w swoim notesie.

– A jak jest teraz? – spytał. – Jesteście nadal przekonani, że to on?

– Naturalnie – odparła. – Nie ma wątpliwości. A kto inny mógłby to zrobić?

Pytanie, nad którym należałoby się może bliżej zastanowić, pomyślał, kiedy znaleźli się z powrotem w samochodzie.

Skoro nie mógł to być nikt inny, to rzecz jasna musiał to być Verhaven!

Można tylko było mieć nadzieję, że sposób myślenia pani Gellnacht nie został zbyt dosłownie przejęty przez policję i prokuraturę. To całkiem niezły pomysł, żeby sprawdzić, jak naprawdę się sprawy miały. Jak wyglądał proces dowodowy? Co spowodowało, że w końcu został skazany, mimo że tak uparcie wszystkiemu zaprzeczał?

DeBries nie miał pojęcia.

– I co myślisz? – spytał.

– Jasne jak słońce – odparła Ewa Moreno. – Chyba aż za bardzo.  
Bierzemy się teraz za Moltkego?

„Verhaven aresztowany! Sensacyjne zakończenie sprawy Beatrice!”

Taki tytuł zajmował całą szerokość pierwszej strony wydania „Neuwe Blatt” z 30 kwietnia 1962 roku. Van Veeteren wypił pół kubka wody i przystąpił do lektury:

Czy to Leopold Verhaven zamordował swoją partnerkę życiową, Beatrice Holden?

Komisarz Mort, prowadzący śledztwo w sprawie głośnego już w całym kraju morderstwa w Kaustin, jak również prokurator Hagendeck uważają, że istnieją wystarczające podstawy dla wysunięcia takiego podejrzenia. Na tyle wystarczające, że wczoraj doprowadzili do aresztowania byłego biegacza drużyny narodowej. Podczas konferencji prasowej Hagendeck nie chciał wyjawic powodów tej decyzji, wyraził jednak przekonanie, że po upływie ustawowych dwunastu dni aresztu tymczasowego zostanie wniesione oskarżenie.

Na temat tego, czy pojawiły się jakieś nowe dowody lub poszlaki, które rzuciłyby światło na tę mroczną historię, nie chcieli się wypowiedzieć podczas konferencji w komendzie policji w Maardam ani przedstawiciele policji, ani prokuratury. Nic nie wskazuje także na to, by Leopold Verhaven przyznał się do winy. Jego adwokat, Pierre Quenterran, oświadczył, że jego klient nie ma nic wspólnego z tym morderstwem; według niego zastosowanie aresztu tymczasowego jest następstwem i reakcją na wiele artykułów i spekulacji prasowych w tej sprawie.

„Policja jest zdesperowana”, oznajmił Quenterran zgromadzonym dziennikarzom. „Opinia publiczna i mocno ugruntowane poczucie sprawiedliwości domagają się rezultatów i kierujący śledztwem zamiast przyznać się do swojej niekompetencji, znaleźli kozła ofiarnego...”.

Komisarz Mort skomentował wypowiedź mecenasa Quenterrana jako „czysty absurd”.

Potrafię to sobie wyobrazić, pomyślał Van Veeteren i sięgnął po kopię następnego artykułu, który pochodził z tego samego wydania „Neuwe

Blatt”, tylko był zamieszczony kilka stron dalej. Zawierał krótkie tło i podsumowanie wydarzeń od „smutnego początku”, jak wyraził się autor tekstu.

6 kwietnia:

Słoneczna ciepła sobota. Wczesnie rano Leopold Verhaven udaje się jak zwykle do Linzhuisen i Maardam w interesach i wraca do domu późnym popołudniem. Nie zastaje w nim, jak twierdzi, Beatrice Holden, ale przypuszcza, że „po prostu gdzieś sobie pojechała”. Od tej chwili już nikt nigdy Beatrice Holden nie widział. Kilku sąsiadów zauważyło ją, jak zmierzała do domu w sobotę przed południem, kilka godzin po wyruszeniu Verhavena do miasta. Rano poszła odwiedzić swoją matkę i córkę mieszkające w dolnej części wsi. Nic nie wskazuje na to, żeby później opuściła dobrowolnie dom w jakimś określonym celu.

Dobrowolnie w określonym celu, powtórzył w myślach Van Veeteren. Co za stylist! Czytał dalej:

16 kwietnia

Verhaven zgłasza na policję, że jego partnerka życiowa zniknęła i od dobrego tygodnia nie daje znaku życia. Dlaczego zwlekał tak długo ze zwróceniem się do policji w tej sprawie, nie chce powiedzieć. Nie sądzi jednak, aby „mogło się jej przytrafić coś poważnego”.

22 kwietnia

Na zwłoki Beatrice Holden natrafia przypadkiem w lesie jakaś starsza para, w odległości zaledwie półtora kilometra od domu Verhavena. Ofiara jest naga; została pozbawiona życia przez uduszenie prawdopodobnie w innym miejscu, niż ją znaleziono.

22–29 kwietnia

Dla zbadania przestępstwa zaangażowano znaczne siły policji, która przeprowadza wnikliwe badania techniczne i przesłuchuje około stu osób, głównie mieszkańców gminy Kaustin.

30 kwietnia

Leopold Verhaven zostaje aresztowany pod zarzutem zamordowania lub śmiertelnego pobicia swojej 23-letniej partnerki.

Na tym koniec. Van Veeteren wsunął kartkę pod pozostałe kopie i spojrzął na zegarek. Wpół do dwunastej. Chyba niedługo powinien być obiad? Po raz pierwszy od operacji poczuł lekki głód. To raczej dobry znak.

Wyglądało na to, że wszystko przebiega zgodnie z oczekiwaniami. Tak przynajmniej obwieścił mu ów młody chirurg o policzkach cheru-



bina, kiedy dzisiaj rano podczas wizyty ugniał mu brzuch swoimi bladymi parówkowatymi palcami. Tylko sześć do ośmiu dni rekonwalescencji, a potem pan komisarz będzie mógł wrócić do codziennych obowiązków z większą energią niż kiedykolwiek.

Z większą energią? – przeszło przez głowę Van Veeterenowi. A skąd on może wiedzieć, czy ja w ogóle mam ochotę na większą energię?

Odwrócił głowę i spojrzął na bujne kwiaty. Trzy bukiety, ni mniej, ni więcej, stały ściśnięte na szafce przy łóżku. Od kolegów. Od Renate. Od Jess i Ericha. Po południu miała go odwiedzić Jess z bliźniakami. Czego więcej mógł sobie życzyć?

Z korytarza dochodziły odgłosy wskazujące, że zaczęto rozwozić obiad. Prawdopodobnie nie doczeka się niczego lepszego niż jakiejś cienkiej dietetycznej zupki, ale może to i dobrze. Chyba jeszcze nie jest gotów na prawdziwie krwiste steki.

Ziewnął i wrócił myślami do Verhavena. Usiłował wyobrazić sobie tę małą senną miejscowość w tamtych czasach, na początku lat sześćdziesiątych.

Co odegrało wtedy rolę?

Prawdopodobnie to, co zwykle.

Ludzka głupota. Podejrzliwość. Zazdrość. Złe języki.

Tak, pewnie tak to z grubsza wyglądało.

Verhaven był outsiderem.

Wydawał się trochę dziwakiem, a właśnie dziwaka potrzebowali. Idealnego mordercy? Tak, bardzo możliwe, że o to chodziło.

A co z procesem dowodowym? Próbował przypomnieć sobie okoliczności, lecz przychodziły mu do głowy głównie same pytania bez odpowiedzi, i nic więcej.

Czy możliwe było stawienie czoła wszystkim tym półprawdom, które się pojawiły? To było jak polowanie z nagonką, dobrze pamiętał... cała ta pisanina o kompetencji policji i wymiaru sprawiedliwości. A właściwie niekompetencji. Wywierano na nich presję. Jeśli nie znajdą mordercy, sami na siebie wydadzą wyrok...

A co z dowodami techników? To był przecież proces poszlakowy, tak? Musi przejrzeć protokoły procesowe, które przyniósł mu Münster, nie ulega wątpliwości. Tylko najpierw chciałby wrzucić coś na

ruszt. Na pewno jest jeszcze więcej słabych punktów... już po wszystkim rozmawiał kiedyś z Mortem o tej sprawie i odniósł wrażenie, że jego poprzednik nie był specjalnie zachwycony, że Van Veeteren go o to zagadnął.

W drugą sprawę, zabójstwo Marlene, został już włączony, ale czy i w tym wypadku śledztwo nie pozostawiało sporo do życzenia? Brał w nim udział, lecz zupełnie na marginesie. Ani razu nie był na sali sądowej. Również wtedy całkowitą odpowiedzialność ponosił Mort.

Leopold Verhaven? Wiele wskazuje na to, że temu rozdziałowi wymiaru sprawiedliwości warto byłoby poświęcić więcej wnikliwej uwagi.

A może to wszystko to tylko jego urojenia? Bo po prostu potrzebuje czegoś mniej lub bardziej perwersyjnego, żeby zająć własne myśli, gdy tak leży jak kłoda i czeka, aż porządnie zrośnie mu się jelito? Odcięty i odizolowany od świata zewnętrznego; jedyne, czego od niego tutaj wymagano, to tego, by zachował spokój i się nie denerwował.

Naprawdę delikatna sprawa. Doskonale znany skandal prawniczy, dokładnie jak w tym kryminale Josephine Tey, jak to on się nazywał?

Dlaczego tak trudno jest wyłączyć mózg?

Co powiedział Pascal? Mniej więcej coś takiego, że całe zło świata bierze się z tego, że nie potrafimy siedzieć spokojnie w pustym pomieszczeniu.

Cholera, co za życie, pomyślał. No szybciej, gdzie jest ten wózek z jedzeniem, żebym wreszcie mógł wbić zęby w solidną zupę szpinakową!

– Krążyły o nim rozmaite historie – powiedział Bernard Moltke, zapalając papierosa.

– Co za historie? – zainteresował się deBries.

– Przeróżne. Trudno powiedzieć, które powstały jeszcze przed Beatrice, a które dopiero potem. Czyli właściwie które są prawdziwe. Oczywiście najwięcej gadano w czasie procesu... nigdy wcześniej ludzie nie spotykali się i nie rozmawiali ze sobą tyle co w tamtych miesiącach. Potem zrobiło się jakoś cicho. Jakby wszystko minęło... no i rzeczywiście minęło.

– A mógłby pan podać z jeden przykład takiej historii? – poprosiła Moreno. – Najlepiej prawdziwej.

Bernard Moltke zastanowił się.

– No choćby ta o kocie – powiedział wreszcie. – Ale słyszałem ją dużo wcześniej. Podobno gołymi rękami udusił kota.

DeBries poczuł, jak przeszył go lodowaty dreszcz, zauważył też, że aspirantka Moreno nagle się wzdrygnęła.

– Ale dlaczego? – spytał.

– Nie wiem – odparł Bernard Moltke. – Zwyczajnie skreślił mu kark... miał wtedy z dziesięć, dwanaście lat.

– Uff – zareagowała Moreno.

– Może po prostu ktoś twierdził, że się nie odważy. Tak sobie tylko myślę.

– I to miałyby być powód?

– Niech mnie pan nie pyta. Ludzie mówią, że on taki był.

– A co pan powie o Beatrice Holden?

Moltke zaciągnął się mocno papierosem i jakby pogrzyżył się we wspomnieniach.

– Piekielnie fajna kobitka – powiedział. – Trochę dzika, to prawda, ale Boże drogi... tak, tak. Miała ten sam kolor włosów co pani.

Spojrzał na Moreno, która nawet nie mrugnęła okiem, ku ogromnemu zadowoleniu deBriesa.

– Wobec tego dlaczego żyła z Verhavenem? – spytała natomiast. – On chyba nie był aż taki pociągający?

– Niech pani tak nie mówi – zaprotestował Moltke, przesuając palcem wskazującym po swoim podwójnym podbródku. – Z kobietami to nigdy nie wiadomo. Prawda, panie komisarzu?

– Nigdy – potwierdził deBries.

– A Marlene? – kontynuowała Moreno niewzruszona. – Pewnie też taki rasowy okaz?

Moltke wybuchnął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

– Jasne, że tak – odparł. – Tylko trochę starsza. To okropne, że on zamordował je obie.

– Czyli Marlene Nietsch też pan widział? – spytał deBries.

– Jeden raz. Zdaje się, że nie byli ze sobą tak często, zanim... no, wiadomo.

– Rozumiem – odpowiedział deBries. – Pan chyba był świadkiem na pierwszym procesie, prawda?

– Tak jest.

– I co pan zeznał?

Moltke zastanowił się chwilę.

– Niech to diabli – powiedział w końcu. – W tamtym czasie bywałem dosyć dużo u Verhavena i pewnie dlatego mnie wzięli. Pomagałem mu przy lampach w kurniku... on eksperymentował z rytmem dnia i tak dalej, ale nie bardzo sobie radził z elektrycznymi sprawami.

– Wszystko jasne – powiedział deBries. – Czy był pan tam w sobotę, kiedy ona zniknęła... jeśli wierzyć słowom Verhavena?

Bernard Moltke pokiwał głową z poważną miną.

– Tak, w tamtą sobotę pracowałem kilka godzin. Skończyłem mniej więcej o pierwszej. Prawdopodobnie byłem ostatni, który widział ją żywą... oprócz mordercy, oczywiście.

– Mordercy? – wtrąciła Moreno. – Ma pan na myśli Verhavena?

– Tak – odpowiedział Moltke. – O niego mi chodziło.

– Nie wygląda pan na całkiem przekonanego – stwierdził deBries. Mężczyzna znowu zamilkł na chwilę.

– Jednak tak – odezwał się w końcu. – Z upływem lat nabrałem przekonania. Po zabójstwie Marlene, i w ogóle...

– Ale na procesie był pan świadkiem obrony, prawda?

– Tak.

– I co pan wtedy powiedział?

– No cóż – zaczął. Wytrząsnął nowego papierosa z paczki, która leżała przed nim na stole, ale go nie zapalił. – Pracowałem u Verhavena też w następnym tygodniu... od poniedziałku do czwartku, i sąd myślał, że mogłem na przykład zauważyć, że coś z nim było nie tak.

– Zauważył pan?

– Nie. Był taki jak zawsze.

– Jak zawsze? – dopytała Moreno. – Musiał chyba jakoś zareagować na to, że ona zniknęła?

– Nie, powiedział, że wyjechała, ale nie wie dokąd.

– Nie wydawało się to panu dziwne?

Moltke wzruszył ramionami.

– Zadawano mi to pytanie dziesięć razy dziennie. Już zapomniałem, co tak naprawdę myślałem, ale pewnie nie zastanawiałem się nad tym specjalnie. Oni oboje, i Verhaven, i Beatrice, byli trochę dziwni... wszyscy to wiedzieli, więc raczej nie było nic nadzwyczajnego w tym, że ona na parę dni wyjechała.

Na kilka sekund zapadła cisza. Bernard Moltke zapalił papierosa. DeBries zgasił swojego.

– A w tamtą sobotę, kiedy widział ją pan ostatni raz, jak ona się zachowywała? – spytała Moreno.

– Tak samo jak on, normalnie – odparł Moltke bez wahania. – Może była trochę bardziej mrukliwa... w poprzednim tygodniu o coś się pokłócili. Wciąż jeszcze miała sińca pod jednym okiem... ale poza tym nie zauważyłem nic specjalnego. Zresztą widziałem ją bardzo krótko. Zajrzała do kurnika na chwilę i zamieniła ze mną parę słów. To znaczy, jak wróciła ze wsi.

- O której to było?
- Koło dwunastej.
- A do domu poszedł pan o pierwszej?
- Tak, parę minut po pierwszej.
- O czym rozmawialiście?
- O pogodzie i o wietrze. O niczym ważnym. Chciała poczęstować mnie kawą, ale niedługo miałem skończyć, to podziękowałem.
- I to wszystko?
- Tak.
- A kiedy pan odchodził, ona jeszcze tam była?
- No tak. Robiła coś w kuchni. Wetknąłem tylko głowę do środka i życzyłem jej udanego weekendu.
- DeBries skinął głową.
- Kiedy zeznawał pan przed sądem, nie uważał pan Verhavena za winnego?
- Moltke zaciągnął się papierosem, po czym wydmuchnął obłok dymu, zanim odpowiedział:
- Tak. Nie uważałem.
- A teraz? – spytał deBries. – Jak to jest?
- Nie wiem. Łatwiej jest żyć w tej wiosce, jak człowiek wierzy, że to on, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Czy on faktycznie nie żyje, tak jak mówią ludzie?
- Jacy ludzie?
- No, we wsi.
- Tak – potwierdził deBries. – To prawda. On nie żyje.
- Tak, tak – westchnął Bernard Moltke. – Wszystkich nas to czeka.
  
- Co robimy? – spytała Moreno. – Chyba pora wracać do miasta?
- DeBries zerknął na zegarek.
- Wpół do siódmej – powiedział. – A może skoro już tu jesteśmy, podjedziemy na górę i obejrzymy sobie ten dom? Ty go przecież nie widziałaś.
- W porządku – zgodziła się Moreno. – Jestem umówiona na dziewiątą i chciałabym jeszcze się trochę przypudrować.
- Jeśli o mnie chodzi, wyglądasz super i nieupudrowana – powie-

dział deBries.

– Dziękuję – odparła Moreno. – Dobrze, że przynajmniej ty nie masz wielkich wymagań.

– Trzeba uczyć się być zadowolonym z tego, co się ma – rzekł deBries.

– Ponure miejsce – stwierdziła, kiedy jechali już z powrotem w dół przez las. – Chociaż pewnie wtedy lepiej to wyglądało.

– Jasne – zgodził się deBries. – Dom stał pusty przez dwanaście czy trzynaście lat. Więc nic dziwnego. Patrz! Zdążymy jeszcze porozmawiać?

– Tylko nie za długo – odpowiedziała Moreno.

DeBries zwolnił i zatrzymał się przy mężczyźnie, który stał pochyłony na skraju drogi i malował płot.

– Dobry wieczór – rzucił deBries przez opuszczoną szybę. – Czy możemy zadać panu kilka pytań?

Mężczyzna wyprostował plecy.

– Dobry wieczór. Oczywiście. Chwila odpoczynku dobrze mi robi.

DeBries i Moreno wysiedli z samochodu i przywitali się. Claus Czermak mieszkał, jak się po chwili okazało, w tym niebieskim domu dopiero od roku, i w ogóle był za młody, żeby mieć jakieś własne wspomnienia związane z procesami Verhavena. Ale nie widział powodu, by nie poświęcić im kilku minut.

– Przeprowadziliśmy się tutaj, kiedy urodziło się nam trzecie dziecko – wyjaśnił i jakby na potwierdzenie wskazał na ogród i dom, przed którym dwóch małych chłopców bawiło się samochodzikiem na specjalnej rampie dla wózków inwalidzkich umieszczonej obok schodów prowadzących do drzwi wejściowych. – W mieście zrobiło się nam trochę ciasno i duszno... a tu wiejskie powietrze... i tak dalej.

Moreno potaknęła.

– Ale pan nie pracuje tutaj, we wsi?

Czermak pokręcił głową.

– Nie. Wykładam na uniwersytecie. Historię średniowiecza i Bizancjum.

– Interesujemy się Leopoldem Verhavenem i jego domem, tym pod

lasem – wyjaśnił deBries. – Pan jest, jeśli można tak powiedzieć, jego najbliższym sąsiadem. Pan i ci z naprzeciwka...

– Wilkersonowie. No tak, domyśliliśmy się, że coś się dzieje.

– No właśnie – rzekł deBries. – A może wie pan coś, co mogłoby nas zainteresować?

Czermak pokręcił głową.

– Nie sądzę. Byliśmy jeszcze na wakacjach, kiedy on tu wrócił w sierpniu... Jedynie słyszeliśmy o nim. A co tak naprawdę się stało?

– Verhaven nie żyje – odparł deBries. – Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Ale proszę nie dzwonić od razu do gazet. Bylibyśmy wdzięczni.

– Ależ skąd – zaprotestował Czermak. – Macie moje słowo.

– Dziękuję za dzisiaj – powiedział deBries, kiedy zatrzymał się przed mieszkaniem aspirantki Moreno przy Keymer Plejn. – Szkoda, że nie masz czasu na małą szklaneczkę. To zawsze dobrze robi tak posiedzieć chwilę w spokoju i uporządkować wrażenia.

– Przykro mi – powiedziała z żalem Moreno. – Obiecuję, że następnym razem lepiej to sobie zaplanuję. A tak na marginesie: ty czasami nie jesteś żonaty?

– Tak jakby – przyznał deBries.

– Tak właśnie myślałam. Cześć!

Wyskoczyła z samochodu. Trzasnęła drzwiami i pomachała mu jeszcze z chodnika. DeBries siedział chwilę za kierownicą i patrzył za nią. Jutro sobota, pomyślał. Dzień wolny od pracy. Niech to szlag trafi!



## 21

Sapnąwszy, Van Veeteren skończył lekturę analizy i podsumowania przypadku Beatrice autorstwa C.P. Jacoby'ego, zawartych w niedzielnym wydaniu „Allgemeines” z 22 czerwca 1962 roku. Z irytacją naciśnął biały guzik przy łóżku i po pół minucie w drzwiach pojawiła się siostra pełniąca nocny dyżur.

– Chciałbym piwo – powiedział.

– To nie restauracja – odparła zmęczona kobieta, odgarniając sobie kosmyk włosów z twarzy.

– Zauważyłem – rzekł Van Veeteren. – Ale doktor Boegenmutter, czy jak on się tam, u diabła, nazywa, przepisał mi jedno albo dwa piwa w diecie. To ma przyspieszyć proces zdrowienia. Proszę się zatem nie sprzeciwiać, tylko przynieść mi butelkę.

– Jest po północy. Czy nie powinien pan już spać?

– Spać? – zdziwił się Van Veeteren. – Zajmuję się sprawą zabójstwa. Powinna mi być pani wdzięczna. Chodzi o mordercę kobiet. A pani właśnie nie robi nic innego, tylko utrudnia śledztwo... no więc?

Kobieta westchnęła i poszła. Wróciła po kilku minutach z butelką i szklanką.

– No, nareszcie – rzekł Van Veeteren. – Grzeczna dziewczynka.

Pielęgniarka ziewnęła.

– Da pan radę wlać sobie sam?

– Postaram się – obiecał Van Veeteren. – Zadzwoń, jeśli mi się nie uda.

Wędrówka zimnego piwa przez krtań była czystą rozkoszą. Kiedy czy-

tał ostatnie cztery czy pięć wycinków z gazet, leżał i usiłował tylko sobie wyobrazić smak napitku i to rozkoszne doznanie, a teraz przyjemność, jaką odczuwał, z całą pewnością spełniała jego wysokie oczekiwania.

Z rozbawieniem beknął bez ceregieli. Co za boski napój, pomyślał. No to dalej do roboty! Co tam jeszcze mamy?

Niestety niewiele. Ale też niemało, jeśliby chciał zadowolić się ilością. Relacje gazet z pierwszego procesu były, mówiąc oględnie, dosyć wyczerpujące. Choć przeczytał dopiero ich ułamkową część, wybór dokonany przez Münstera wydawał mu się trafny i reprezentatywny: dziki gąszcz spekulacji i domysłów na temat osobowości Verhavena w połączeniu ze szczegółowymi sprawozdaniami z obrad sądu. A im dalej, tym oczywistsze stawały się prognozy dotyczące winnego.

Verhaven. To musiał zrobić Verhaven.

Przekonujących faktów brakowało. Tak jak przypuszczał, dowody były szczątkowe. A właściwie żadne. Podchodząc do sprawy drobiazgowo, można by powiedzieć, że jedyny niezbity fakt w sprawie to wyraźny brak dowodów.

Brak jakichkolwiek konkretnych dowodów.

I nieliczne poszlaki wskazujące na Verhavena.

Nic ponadto.

Mimo to został skazany.

Po starannie przeprowadzonym procesie, czemu nie można było zaprzeczyć, stwierdził Van Veeteren i przyłożył butelkę do ust. Wiele by dał, żeby tam wtedy być.

Ale co, u diabła, sprawiło, że Verhaven został jednak uznany za winnego? Na pewno niemałą presję wywarły gazety i wzburzona opinia publiczna, lecz system wymiaru sprawiedliwości powinien chyba wykazać się większą odpornością?

To przecież jasne, odpowiedź brzmiała zupełnie inaczej. Doskonale to wiedział.

Chodziło o charakter.

Jednostki, człowieka Leopolda Verhavena. O jego przeszłość. Jego zachowanie przed sądem. Ogólne wrażenie, jakie pozostawił w świadomości składu sędziowskiego i ławy przysięgłych. To się liczyło.

I to spowodowało jego przegraną.

Bo Verhaven był dziwolągiem. Prześwietlając go oczami wszystkich tych dziennikarzy i studiując go przez ich lupy, Van Veeteren nie mógł dojść do innego wniosku.

Człowiek, który wyraźnie odstaje od innych, to człowiek, od którego najlepiej się zdystansować.

Inny gatunek.

Morderca? W myślach ten krok jest bardzo łatwy do wykonania, doskonale o tym wiedział po wielu długich latach pracy, a jeśli już się go zrobi, cofnąć się nie jest prosto.

Rola?

Czy w tym kryje się klucz do wszystkiego? Ta osobliwa okoliczność, o której bardzo chętnie rozwodził się każdy pismak. Że Verhaven rzekomo nie czuł się wcale źle w roli podejrzanego. Wręcz przeciwnie. Podobno nawet upajał się tym, że może siedzieć na ławie oskarżonych, skupiając na sobie uwagę opinii publicznej. Nie zachowywał się ani arogancko, ani bezczelnie, jednak w jego zachowaniu było coś osobliwego... samotny i wyrazisty aktor w roli tragicznego bohatera. Tak go odbierano i on tak właśnie chciał być odbierany.

Mniej więcej tak to wyglądało.

I może to w istocie doprowadziło do jego upadku?

Jaka szkoda, że nie mogłem tam być i go zobaczyć, wtedy sprawa byłaby jasna, pomyślał Van Veeteren, opróżniając butelkę do końca.

Gdy patrzyło się z zewnątrz, cała ta historia wydawała się i prosta, i zarazem zawiła.

Verhaven wrócił do domu w tamtą sobotę około piątej po południu, zgodnie z jego własnymi słowami i informacjami innych. Beatrice gdzieś poleciała i na tym koniec. Ale tylko według niego. Nikt już nie spotkał ich razem tamtego weekendu. Elektryk Moltke pożegnał się z nią w sobotę około pierwszej, a Verhavena widziano na dole we wsi w niedzielę wieczór parę minut po szóstej. To wszystko.

Wystarczająco dużo czasu. Jedyne, co lekarz sądowy stwierdził ponad wszelką wątpliwość, to fakt, że Beatrice spotkała swego zabójcę albo w sobotę, albo w niedzielę. I została udu-

szona i zgwałcona. Lub może w odwrotnej kolejności. Zgwałcona i uduszona? Była naga; był stosunek, jednak śladów spermy nie znaleziono.

Ale jeśli, myślał dalej Van Veeteren, morderstwo popełnił kto inny, to jasne jest, że tego czynu dokonano w godzinach popołudniowych – w sobotę, mniej więcej między pierwszą a piątą. Czyli między pójściem Moltkego do domu a powrotem Verhavena.

Albo przynajmniej w tym czasie została zabrana do lasu.

Bezsporne?

Tak jest, uznał Van Veeteren. Spojrzał zirytowany na pustą butelkę i zagłębił się w protokole sądowym.

Dzień drugi. Przesłuchanie oskarżonego Leopolda Verhavena przez prokuratora Hagendecka.

25 maja, godzina 10.30.

H: Nie przyznaje się pan do winy polegającej na zamordowaniu pańskiej partnerki, Beatrice Holden. Czy tak?

V: Tak.

H: Proszę opowiedzieć o waszej relacji.

V: Co chce pan wiedzieć?

H: Na przykład jak się poznaliście.

V: Spotkaliśmy się w Linzhuisen. Kiedyś chodziliśmy do tej samej szkoły. I ona poszła ze mną do domu.

H: Już za pierwszym razem? Od razu staliście się parą?

V: Zналиśmy się od dawna. Ona potrzebowała mężczyzny.

H: A kiedy się do pana wprowadziła?

V: Tydzień później.

H: Czyli?

V: W listopadzie 1960.

H: I od tamtej pory mieszkała u pana?

V: Oczywiście.

H: Cały czas?

V: Od czasu do czasu wpadała do swojej matki i córki. Parę razy nocowaliśmy w Ulming. Ale tak poza tym to cały czas, tak.

H: Byliście zaręczeni?

V: Nie.

H: Nie zamierzaliście się pobrać?

V: Nie.

H: Dlaczego?

V: Bo nie po to byliśmy ze sobą.

H: A po co?

(Odpowiedź Verhavena wykreślona).

H: Rozumiem. Sprzeczałyście się?

V: Czasami.

H: Czy dochodziło między wami do ostrych kłótni?

V: Bywało.

H: A czy zdarzało się też, że pan ją bił?

V: Tak. Ona to lubiła.

H: Lubiła, że pan ją bije?

V: Tak.

H: Skąd pan to wie? Mówiła panu?

V: Nie, ale wiem, że to lubiła.

H: Skąd pan mógł wiedzieć, skoro nic nie mówiła?

V: To było widać. To zawsze po nich widać.

H: Po nich – kogo ma pan na myśli?

V: Kobiety.

H: Czy ona też pana biła?

V: Próbowała, ale ja byłem silniejszy.

H: Czy piliście oboje dużo alkoholu?

V: Nie, niezbyt dużo.

H: Ale się zdarzało?

V: Tak, w soboty trochę popijaliśmy, bo w niedziele miałem wolne.

H: Wolne? Nie musiał pan doglądać kur?

V: To tak, ale nie musiałem jechać do miasta, żeby sprzedawać jajka.

H: Rozumiem. Czy mógłby pan opowiedzieć, co się zdarzyło 30 marca? Czyli na tydzień przed zniknięciem Beatrice.

V: Trochę wypiliśmy. Posprzeczałyśmy się. Uderzyłem ją.

H: Dlaczego?

V: Zdenerwowała mnie. Myślę, że chciała dostać baty.

H: Czym pana zdenerwowała?

V: Była irytująca.

H: Pobił ją pan tak bardzo, że uciekła do sąsiadów. To było o trzeciej nad ranem. Nie miała nic na sobie. Jak pan to skomentuje?

V: Była pijana.

H: Ale to bynajmniej nie znaczy, że chciała dostać baty?

(brak odpowiedzi Verhavena)

H: Czy nie uważa pan, że posunął się pan za daleko, znęcając się do tego stopnia nad swoją partnerką, że aż musiała uciekać do sąsiadów?

V: Wcale nie musiała tam iść. Była pijana i rozhisteryzowana. Przecież potem do mnie

wróciła.

H: Jak było między wami później w ciągu tygodnia? Bił ją pan znowu?

V: Nie, o ile pamiętam.

H: O ile pan pamięta?

V: Tak.

H: A dlaczego miałby pan coś takiego zapomnieć?

V: Nie wiem.

H: Co pan robił po powrocie do domu w sobotę szóstego kwietnia?

V: Gotowałem. Jadłem.

H: Nic więcej?

V: Zajmowałem się kurami.

H: Gdzie była Beatrice, kiedy przyszedł pan do domu?

V: Nie wiem.

H: Co pan ma na myśli?

V: Że nie wiem.

H: Czy mogło jej nie być w domu?

V: Może.

H: Pokłóciliście się o coś?

V: Nie.

H: Czy ona nie planowała jakiegoś wyjazdu?

V: Nie.

H: Na przykład do swojej matki i córki?

V: Nie.

H: Czy nie zdziwiło to pana, że jej nie ma, kiedy pan wrócił?

V: Niespecjalnie.

H: Dlaczego?

V: Rzadko się dziwię.

H: Proszę opowiedzieć, jak przebiegła reszta weekendu.

V: Nic szczególnego się nie wydarzyło.

H: Co pan robił?

V: Siedziałem w domu. Oglądałem telewizję. A potem poszedłem spać.

H: I w ogóle pana to nie obchodziło, gdzie może podziewać się pana partnerka?

V: Nie.

H: Dlaczego się pan nad tym nie zastanawiał?

V: Bo one przychodzą i znikają.

H: Kto?

V: Kobiety. Przychodzą i znikają.

H: Proszę opowiedzieć, co pan robił w niedzielę?

V: Byłem w domu. Nie robiłem nic nadzwyczajnego. Zajmowałem się kurami.

H: A gdzie pana zdaniem znajdowała się Beatrice?

V: Nie wiem.

H: A czy pan przypadkiem nie wiedział, gdzie ona jest?

V: Nie.

H: Czy przypadkiem pan nie wiedział, że leży zamordowana w lesie kilometr od domu?

V: Nie, to nie było tak. To nie ja ją zabiłem.

H: Ale nie szukał jej pan w niedzielę?

V: Nie.

H: Nie sprawdził pan, czy nie wybrała się na przykład do swojej matki?

V: Nie.

H: Czy pan ma telefon, panie Verhaven?

V: Nie mam.

H: Czyli ani trochę nie niepokoił się pan o Beatrice?

V: Ani trochę.

H: A co działo się potem, w czasie najbliższego tygodnia? Szukał pan jej czy w ogóle nie?

V: Nie szukałem.

H: Ani razu nie zadał pan sobie pytania, gdzie się mogła podziać?

V: Nie.

H: Uważał pan, że to dobrze, że zniknęła?

(Brak odpowiedzi Verhavena).

H: Powtarzam: uważał pan, że to dobrze, że zniknęła?

V: Na początku może tak.

H: Czy pana partnerka miała wtedy jakąś stałą pracę?

V: Wtedy akurat nie.

H: A gdzie wcześniej pracowała?

V: U Kaunitzów. W tym dużym gospodarstwie ogrodniczym w Linzhuisen. Ale tylko dorywczo.

H: Kiedy zgłosił pan na policji zaginięcie swojej partnerki, Beatrice Holden?

V: We wtorek, szesnastego.

H: Gdzie?

V: W Maardam oczywiście.

H: A co spowodowało, że złożył pan to zgłoszenie akurat tamtego dnia? Przecież nie był pan zaniepokojony.

V: Tak mi przyszło do głowy, kiedy przejeżdżałem obok komendy.

H: Czyli nadal pan nie uważał, że mogło się stać coś złego?

V: Nie, a dlaczego miałbym tak myśleć?

H: Nie sądzi pan, że to byłoby zupełnie naturalne?

V: Nie. Ona zawsze dawała sobie radę.

H: Ale tym razem stało się inaczej.

V: No tak, tym razem było inaczej.

H: Jak się pan dowiedział, że znaleziono ją martwą?

V: Policja przyjechała i mi powiedziała.

H: Jak pan zareagował?

V: Zrobiło mi się smutno.

H: Smutno? Policjant, starszy wachmistrz Weiss, twierdzi, że nie okazał pan żadnej reakcji. Że powiedział pan jedynie dziękuję i poprosił go, żeby sobie poszedł.

V: A dlaczego miałbym mu się wyplakiwać w rękaw? Sam daję sobie radę.

H: Czy nie uważa pan, że zachowywał się pan bardzo osobliwie od chwili zniknięcia Beatrice Holden?

V: Nie, wcale tak nie uważam.

H: A czy rozumie pan, że inni mogą tak sądzić?

V: Nie mam pojęcia, co myślą inni. Dla mnie mogą myśleć, co tylko chcą.

H: No tak. I jest pan całkowicie pewny, że to nie pan zabił swoją partnerkę?

V: To nie ja.

H: Czy często chodzi pan do tej części lasu, w której ją znaleziono?

V: Nie.

H: Był tam pan kiedyś?

V: Może.

H: Ale nie w ten weekend, kiedy ona zaginęła?

V: Nie.

H: Co pan myśli o jej śmierci, panie Verhaven?

V: Nic.

H: Coś chyba musi pan myśleć?

V: To był rzecz jasna jakiś facet. Jakiś chory typ, który nie umie zdobyć kobiety.

H: A pan nie uważa siebie za kogoś takiego?

V: Ja łatwo zdobywam kobiety.

H: Dziękuję. Wysoki sędzie, nie mam do oskarżonego już więcej pytań.

Van Veeteren wcisnął plik papierów w wąską szparę pod szufladą nocnej szafki. Dochodziła pierwsza.

Powiniennem pospać, pomyślał.

Verhaven? – przemknęło mu przez głowę.

Co za cholerny pech, że go tam wtedy nie było! Żeby odsiedział chociaż ze dwie godziny na sali rozpraw w związku ze sprawą Marlene, przy której nieco pomagał w śledztwie... Może by mu wystarczyło, gdyby mógł poobserwować tego Verhavena choćby trochę.

Popatrzyłby na niego zaledwie parę minut, jak siedzi na ławie oskarżonych, i już by wiedział.

Wiedziałby, czy to niedające spokoju podejrzenie ma sens. Czy ma



jakieś uzasadnienie, czy też Verhaven jest faktycznie prymitywnym gwałcicielem i mordercą, za jakiego go uważano.

Winny czy niewinny?

Nie sposób rozstrzygnąć. Ani teraz, ani wtedy.

Ale tak czy inaczej, nie da się zanegować jednego faktu:

Ktoś czekał na niego po jego wyjściu z więzienia.

Ktoś go zabił i okaleczył jego zwłoki. Ktoś chciał, aby nigdy nie udało się ich zidentyfikować. Bo chyba taki był cel mordercy.

No i w końcu: ten ktoś musiał mieć jakiś powód.

Tylko jaki?

Również na to pytanie nie znalazł jeszcze odpowiedzi.

Zgasił lampkę. Zamknął oczy i nim się zorientował, zaczęły mu się śnić bliźniaki i Jess. Rozmawiał z nimi po francusku.

To niezwykle, do jakich nagłych zwrotów jest zdolny jego mózg o tej późnej nocnej godzinie.

Co prawda ich popołudniowa wizyta na oddziale nie przeszła niezauważona.

Pęknięta szyba w oknie, zerwany paznokieć, zdemolowany statyw na kroplówkę i kilka innych drobnych incydentów. Zauważył, że w miarę upływu czasu uśmiechy na twarzach personelu stawały się coraz bardziej sztuczne. W miarę jak narastał rumor i mnożyły się różne nieszczęśliwe wypadki.

Jak, u diaska, ona to wytrzymuje, pomyślał jeszcze i uśmiechnął się przez sen. Pewnie odziedziczyła siłę ducha po swoim ojcu, uznał.

*Sans doute, oui.*

– Requiem Gosseca? – spytał młody mężczyzna o ciemnych kręconych włosach, podnosząc sobie okulary na czoło. – Powiedział pan: requiem Gosseca?

– Tak – potwierdził Münster. – Nie ma czegoś takiego?

– Jest, jest – młody człowiek energicznie pokiwał głową, kartkując jednocześnie jakiś skoroszyt. – Tylko my go nie mamy. Istnieje nagranie chóru francuskiego radia z pięćdziesiątego dziewiątego roku, tak mi się wydaje... ale nie na CD. Proszę jeszcze spytać u Laudenera.

– U Laudenera?

– Przy Karlsplatsen. Jeśli i oni nie będą go mieli, to możemy poszukać w antykwariatach. Firma nagraniowa nazywa się Vertique.

– Bardzo dziękuję – powiedział Münster i wyszedł ze sklepu.

Za drzwiami spojrzął na zegarek i stwierdził, że chyba już nie zdąży na Karlsplatsen. Był umówiony na spotkanie z sędzią Heidelbluumem na osiemnastą, a coś mu mówiło, że ten stary prawnik przyjąłby raczej z dezaprobatą jego ewentualne spóźnienie.

Dlaczego komisarz nie może się zadowolić Bachem czy Mozartem, pomyślał, wsiadając do samochodu. Czy leżąc w szpitalu, musi, do cholery, słuchać akurat tej starej mszy żałobnej?

Zaparkował na Guyderstraat w dzielnicy Wooshejm, spory kawałek od willi Heidelbluuma. Jeśli przyszedłby przed czasem, też na pewno nie zrobiłby dobrego wrażenia, dlatego postanowił zafundować sobie krótki spacer po tej eleganckiej dzielnicy, gdzie chyba jeszcze nigdy nie stanęła jego stopa.

Nie miał dotąd powodu. Działalność przestępcza odnotowywana w Wooshejm była bardziej wyrafinowanego, ekonomicznego rodzaju; nic, co mogłoby zainteresować zwyczajnego, prostego funkcjonariusza policji kryminalnej.

Wille leżały wzdłuż zachodniego krańca lasu; wiele z rozmachem wykrojonych działek graniczyło z nim bezpośrednio, ich właściciele mogli zatem korzystać z zalet i miasta, i natury w dość przyjemnej kombinacji. W sumie stało tu od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu rezydencji; wszystkie zbudowane na początku dwudziestego albo u schyłku dziewiętnastego stulecia. W dzisiejszych czasach na takiej powierzchni postawiono by na pewno trzy albo cztery razy więcej domów jednorodzinnych. Münster potrafił sobie wyobrazić, że bogactwo i dostatek kryjące się za kwitnącymi żywopłotami i murami zwieńczonymi miedzianymi okapami były znaczne. Tu mieszkała tak zwana śmietanka. Emerytowani ordynatorzy i profesorowie, starzy generałowie i sędziowie sądu najwyższego, ten i ów były minister czy potentat przemysłowy starej daty. Może ściągnęła tu także jakaś rodzina arystokratów, którym sprzykrzyło się życie w rodowej posiadłości na wsi. Nie ulega wątpliwości, że średnia wieku w tej zamożnej okolicy była bliższa raczej setki niż pięćdziesiątki. Toteż sędzia Heidelbluum mógł z powodzeniem uchodzić w tym towarzystwie za młodziana.

Wymierająca rasa, pomyślał Münster, przemierzając powoli cichą i pachnącą jaśminem ulicę, a kiedy nagle usłyszał śmiech i paplaninę dzieci dobiegające zza jednego z żywopłotów, pomyślał, że to muszą być raczej czyjeś prawnuki, a nie wnuki.

Niejeden z tych domów został też pewnie odziedziczony.

Doszedł do rezydencji Heidelbluuma i nacisnął dzwonek przy furtce w murze. Po chwili usłyszał kroki na wysypanej żwirem ścieżce po wewnętrznej stronie ogrodzenia, po czym jego oczom ukazała się służąca w czarnej spódnicy i bluzce, przepasana białym fartuszkiem i w białym czepku na głowie.

– Słucham?

– Münster z policji kryminalnej. Jestem umówiony na rozmowę z panem sędzią.

– Proszę za mną – powiedziała służąca, otwierając furtkę.

Była dosyć okrągła i miała ładne rude włosy. Jak ocenił Münster, mogła mieć co najwyżej dziewiętnaście albo dwadzieścia lat.

Jakie dziwy zdarzają się na tym świecie!

Sędzia Heidelbluum przyjął go w bibliotece, której francuskie drzwi były otwarte na świeżo skoszony trawnik i kwitnące drzewa owocowe. Kontrast między wnętrzem a ogrodem wydał się Münsterowi wręcz karykaturalnie ostry. Na dworze panowała wiosna, kipiało życie, oszałamiały zapachy i śpiew ptaków, w domu zaś królowały ciemny dąb, skóra, adamaszek i stare książki. I dosyć dławiąca woń czarno-zielonych małych cygar, którymi Heidelbluum uparcie zaciągał się tylko jeden raz, żeby potem odłożyć każde do purpurowej popielniczki z porfiru stojącej przed nim na biurku.

Münster zauważył, że przypominają one trochę cienkie cygara, które od czasu do czasu pozwalał sobie zapalić komisarz. Zarówno wyglądem, jak i zapachem.

Wskazano mu skórzany fotel w klasycznym angielskim stylu, który chyba został specjalnie przysunięty do biurka z okazji tego spotkania. Gdy Münster już się w nim zapadł, odkrył, że łysa i nieco ptasia głowa starego sędziego znajduje się powyżej niego co najmniej pół metra.

Co oczywiście nie było przypadkiem.

– Bardzo dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – zaczął.

Heidelbluum skinął głową. W gruncie rzeczy początkowo był nieprzychylnie nastawiony do tego pomysłu. Nie chciał się zgodzić na niczyją wizytę, ale potem interweniowali Hills i Van Veeteren i nakłoniли starego sędziego do podjęcia rozsądnej decyzji.

On już czasami nie najlepiej kontaktuje, uprzedził Münstera komisarz. Musisz do niego podejść z wyczuciem.

– Chodzi o to – kontynuował Münster – że pańskie opinie mogłyby nam niezwykle pomóc. Nie ma chyba nikogo, kto byłby bardziej zorientowany w sprawie Leopolda Verhavena niż pan.

– Bardzo słusznie – rzekł Heidelbluum i zapalił swoje cygarko.

– Wiadomo panu, że znaleźliśmy go zamordowanego?

– Szef policji wspomniał o tym.

– Szczerze mówiąc, co się tyczy motywu, poruszamy się trochę po omacku – mówił dalej Münster. – Według jednej z naszych teorii, jego śmierć musiała mieć związek ze sprawami Beatrice i Marlene.

– Jaki? – spytał Heidelbluum nieoczekiwanie ostrym tonem.

– Tego nie wiemy – odparł Münster.

Na chwilę zaległa cisza. Heidelbluum zaciągnął się raz cygarkiem, po czym je odłożył. Münster upił łyk wody mineralnej ze stojącej przed nim szklanki. Komisarz poradził mu, aby nie skąpił staremu sędziemu czasu; nie stresował go, pozwalając mu dowolnie długo zbierać myśli i refleksje. Nie ma sensu brać osiemdziesięciodwulatka w krzyżowy ogień pytań, oznajmił.

– To była moja ostatnia sprawa – oświadczył Heidelbluum, chrząknawszy. – Mam na myśli sprawę Marlene. Hmm. Całkiem ostatnia...

Czy w jego głosie słychać żal, czy Münster tylko sobie to wmówił?

– Wiem o tym.

– Hmm – bąknął znowu Heidelbluum.

– Jestem bardzo ciekaw pańskiej opinii na jego temat.

Starszy pan wsunął palce wskazujący i środkowy za kołnierzyk koszuli, aby nieco rozluźnić granatowy fular, który miał zawiązany na szyi.

– Jestem już stary – powiedział. – Przeżyję może jeszcze jedno lato. W najlepszym razie dwa...

Zamilkł na chwilę, jakby szukał właściwego wątku. Münster powiódł wzrokiem po rzędach ciemnych książek w twardych oprawkach za plecami gospodarza. Ciekawe, ile z nich on naprawdę przeczytał. I ile z nich pamięta...

– ...i już mnie to nie obchodzi.

– Co pana nie obchodzi?

– Leopold Verhaven. Jest pan za młody, żeby to zrozumieć. On mnie sporo kosztował... obie te przekłete historie. Cieszyłbym się, gdyby oszczędzono mi chociaż tego drugiego procesu, ale z drugiej strony to nie byłoby w porządku, gdybym oddał go jakiemuś innemu... biedakowi...

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Sądziłem, że dzięki tej sprawie upewnię się co do tamtej. Skończę

z wszelkimi wątpliwościami pierwszego trybunału.

– Trybunału?

– Niech pan to sobie nazywa, jak pan chce. To była tak czy inaczej paskudna historia... tylko niech mnie pan nie cytuje.

– Nie jestem dziennikarzem – zwrócił mu uwagę Münster.

– Oczywiście – odparł Heidelbluum i sięgnął po cygarko.

– Czy mam rozumieć, że pan wierzy w niewinność Verhavena?

Sędzia pokręcił głową.

– Ależ skąd, u diabła. Nigdy nie skazałem nikogo, jeśli nie byłem pewny jego winy. Nigdy! Ale on stanowił... zagadkę. Tak, zagadkę. Nie sposób tego zrozumieć, jeśli się tam nie było i go nie widziało. Cały ten człowiek był zagadką. Wykonywałem swój zawód przez ponad trzydzieści lat, widziałem dużo, ale nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak Leopold Verhaven.

Zapalił cygarko i raz się zaciągnął.

– Czy mógłby pan to rozwinąć?

– Hm... no cóż, nie – pan tego nie zrozumie. Najosobliwsze jest to, że testy psychologiczne też nic nie pomogły. Gdyby stwierdzono jakieś zaburzenia albo jakieś mentalne wady, mogłoby to coś wyjaśnić, jednak nic takiego nie wykazano.

– Ale co było w nim takiego dziwnego?

– Mnóstwo. To, że na przykład nie obchodziło go, jak to wszystko się skończy. Dużo o tym myślałem i dalej jestem skłonny twierdzić, że Leopoldowi Verhavenowi było zupełnie obojętne, czy zostanie skazany, czy nie. Całkowicie obojętne.

– Brzmi dziwnie – powiedział Münster.

– Jasne, że dziwnie. Powtarzam to cały czas.

– Odniosłem wrażenie, że on dobrze się czuł w roli oskarżonego – dodał Münster.

– Niewątpliwie – potwierdził Heidelbluum. – Podobało mu się, kiedy tak tkwił niczym pajak w sieci sprawiedliwości... i odgrywał bezdyskusyjnie główną rolę. Oczywiście nie demonstrował tego ostentacyjnie, ale ja to po nim widziałem. Chciał znajdować się w centrum uwagi i otrzymał taką możliwość...

– Podobało mu się to do tego stopnia, że był gotów pójść na dwana-

ście lat do więzienia, i to dwukrotnie? – nie dowierzał Münster.

Heidelbluum westchnął.

– Hm, to właśnie jest pytanie – rzekł.

Münster siedział chwilę w milczeniu, przysłuchując się szumowi ogrodowego zraszacza, który pracował na zewnątrz.

– Kiedy ogłoszono wyrok, nawet nieznacznie się uśmiechnął. I za jednym, i za drugim razem. I co pan na to?

– A jak wyglądała kwestia dowodów, uzasadnienia wyroku i tak dalej? – spytał ostrożnie Münster.

– Kiepsko – odparł Heidelbluum. – Jednak dla mnie były wystarczające. Skazywałem ludzi na podstawie bardziej niepewnych poszlak.

– Na dwanaście lat?

Sędzia nie odpowiedział.

– Czy w obu przypadkach było tak samo? – drażył Münster.

Heidelbluum wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy tak. Oba to procesy poszlakowe. Mocni prokuratorzy, Hagendeck i Kiesling. Obrońcy czynili swoją powinność, ale nic ponadto. W sprawie Marlene było, że tak powiem, więcej mięsa. Sporo świadków, spotkania, terminy... nawet rekonstrukcja zdarzeń. Prawdziwa układanka z wielu elementów. Za pierwszym razem nie mieliśmy prawie nic, na czym można byłoby się oprzeć.

– I mimo to został skazany. Czy to nie trochę dziwne? – spytał Münster, ale w tej samej chwili zastanowił się, czy nie posunął się za daleko.

Jednak Heidelbluum chyba nie zauważył tej ostrożnej insynuacji. Siedział pochylony nad biurkiem, patrzył na ogród i wydawał się zajęty zupełnie innymi myślami. Minęło mniej więcej pół minuty.

– Dwoje chciało go uniewinnić – powiedział nieoczekiwanie.

– Słucham?

– Pani Paneva i ten fabrykant chcieli go wypuścić... dwoje z pięciorga sędziów przysięgłych było przeciwko, ale ich przekonaliśmy.

– Ach, tak – zareagował Münster. – W którym procesie?

Heidelbluum zignorował jego pytanie.

– Trzeba umieć ponosić odpowiedzialność za innych – rzekł i podrapał się nerwowo po skroni i policzku. – Niektórym tak trudno to

pojąć.

– Ale nikt nie wstrzymał się od głosu? – spytał Münster.

– Nigdy w sprawach, które sądziłem, nie akceptowałem wstrzymywania się od głosu. Opinia sądu musi być jednogłówna. Zwłaszcza gdy chodzi o morderstwo.

Münster pokiwał głową. Raczej zrozumiała postawa, uznał. Bo jak by to wyglądało, gdyby ktoś został skazany na dziesięć czy dwanaście lat więzienia stosunkiem głosów trzy do dwóch? Z całą pewnością nie zwiększyłoby to szacunku ludzi dla prawa i wymiaru sprawiedliwości.

– Czy byli jacyś inni podejrzani? – spytał Münster.

– Nie – zaprzeczył Heidelbluum. – To oczywiście zmieniliby postać rzeczy.

– W jakim sensie?

Lecz jego rozmówca chyba nie dosłyszał pytania.

Albo po prostu lekceważył wszystko, czego nie chciał słyszeć, doszedł do wniosku Münster. Postanowił przycisnąć starego sędziego trochę mocniej. Najlepiej kuć żelazo, póki gorące. Wiedział bowiem, że nie uda mu się ciągnąć tej zabawy w pytania dużo dłużej.

– Czyli pan nie wyklucza, że Verhaven w rzeczywistości był niewinny? – rzucił pytanie.

Znowu zaległa cisza. Heidelbluum zaczerpnął głęboko powietrza, a kiedy zaczął mówić, Münster, słysząc go, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że odpowiedź została przygotowana już wcześniej... być może nawet bardzo dawno, w każdym razie na pewno na długo wcześniej, nim się dowiedział, że będzie miał wizytę kogoś z policji. To brzmiało jak oświadczenie... ostatnie, starannie przemyślane zajęcie stanowiska w sprawie Leopolda Verhavena.

– Uważałem go za mordercę – powiedział. – Kiedy brakuje jednoznacznych dowodów, trzeba się zdecydować. To należy do tego urzędu. Nadal uważam, że Verhaven był winny. Obu zabójstw. Natomiast twierdzenie, że jestem tego pewien, byłoby niezgodne z prawdą. Mięło tyle czasu, a ja jestem już tak blisko śmierci, że mam odwagę powiedzieć, jak jest. Nie wiem... nie wiem, czy to rzeczywiście Leopold Verhaven zamordował Beatrice Holden i Marlene Nietsch. Ale sądzę, że to był on.



Zrobił krótką pauzę i sięgnął po cygarko z purpurowej popielniczki. Podniósł wzrok i znowu spojrzął przez otwarte drzwi na ogród.

– I mam nadzieję, że to był on. Bo jeśli nie, to znaczy, że przesiedział niewinnie w więzieniu ćwierć wieku... a prawdziwy podwójny morderca jest na wolności.

Z ostatnich słów było ogromne zmęczenie, jednak Münster odważył się postawić jeszcze ostatnie pytanie.

– Czyli przyjmuje pan, że tak czy inaczej, mamy do czynienia z jednym sprawcą?

– Tak – odparł Heidelbluum. – Tego jestem zupełnie pewien.

– W takim razie powiedziałbym raczej, że chodzi o potrójnego mordercę, a nie tylko podwójnego.

Jednak sędzia Heidelbluum nie wydawał się już zainteresowany rozmową, toteż Münster uznał, że pora zostawić go w spokoju.

Kiedy dzieci znalazły się wreszcie w łózkach, a oni siedzieli w kuchni przy wieczornej herbacie, wyjął dwa zdjęcia Verhavena – jedno zrobione na zawodach sportowych jeszcze przed skandalem z dopingiem, a drugie kilka lat później, w pamiętne popołudnie pod koniec kwietnia 1962 roku, kiedy został zatrzymany przez dwóch policjantów w cywilu.

Na obu fotografiach słońce padało z boku na jego twarz i na obu śmiało i otwarcie patrzył prosto w obiektyw. A wokół ust zdawał się błąkać ledwie dostrzegalny uśmiezek. Coś w rodzaju podszytej drwiną powagi.

– Co byś powiedziała o tym człowieku? – spytał żonę. – Zazwyczaj potrafisz wiele wyczytać z twarzy.

Synn położyła oba zdjęcia na kuchennym stole jedno obok drugiego i przyjrzała im się chwilę.

– Kto to jest? – spytała potem. – Wydaje mi się skądś znajomy. To jakiś aktor, tak?

– Nie wiem – odparł Münster. – Ale właściwie chyba masz rację. Może on właśnie nim był – aktorem.

V

24 sierpnia 1993

Rozpalenie w kuchni wymagało sporo czasu, ale kiedy porządnie przeczyścił wyciąg, wreszcie się udało. Najpierw trochę się dymiło, jednak po kilku minutach zaczęło porządnie ciągnąć. Odkręcił kran, lecz nie poleciała z niego ani kropla; dlatego musiał przynieść sobie wody ze źródelka w lesie. Postawił duży garnek na płycie, obok mniejszy z wodą na kawę. Uruchomił lodówkę. Prąd został podłączony na nowo, o co poprosił wcześniej. Tym też ona się zajęła.

Kiedy woda się zagrzała, przelał ją do miski, którą zaniósł na chwiejący się stół na ganku i tam się umył. Słońce jeszcze nie schowało się za ścianą lasu i nawet go trochę grzało, gdy tak stał w samych slipkach. Trzmiel brzęczały w wybijających krzakach rezedy pod ścianą, pachniało dojrzałymi jabłkami, które zaczynały już spadać na ziemię, a on poczuł, że to właśnie jest nowy początek.

Życia. Świata.

Jeśli tylko zrobi co trzeba, będzie mógł mieszkać tu, na górze, na nowo. Miał swoje wątpliwości, ale to popołudnie i wieczór, to spokojne powitanie i opieszale pierwsze godziny nie mogły przecież być przypadkowe.

To był znak. Jeden ze znaków.

Reszkę wody wylał sobie na głowę. Nie przejmował się, że zamoczył slipki. Ściągnął je i nagi wrócił do domu.

Przebrał się. Ubrania w komodzie i szafie były nietknięte; może miały trochę dziwny zapach, zalatywały odrobinę jutą i końskim włosiem, no ale w końcu leżały nieużywane przez dwanaście lat.

Tak długo jak on. To samo czekanie, to samo zamknięcie.

Około siódmej zrobił sobie kolację. Kiełbasa i jajka, chleb, cebula i do tego piwo. Jadł na schodach, z talerzem na kolanach i butelką na balustradzie, tak jak kiedyś. Zmył po sobie, dołożył do ognia i spróbował uruchomić telewizor. Rozległ się szum, a na ekranie pokazały się nieme obrazki jakiejś zagranicznej stacji. Wyłączył aparat i podszedł do radia. Działo. Usiadł w wiklinowym fotelu przed ogniem i zaczął słuchać wiadomości o ósmej, popijając piwo i pociągając papierosa. Trudno mu było pojąć, że minęło tyle lat od czasu, kiedy siedział tu ostatnio; miał wrażenie, że to tylko tygodnie albo co najwyżej miesiące, a przecież mimo wszystko wiedział, że właśnie w ten sposób upływa życie. Bez żadnej ciągłości, bez jednostajnego strumienia. Nagłe i gwałtowne zwroty... nowe początki i zakłócenia. Ale w ciele czas zapisywał się głęboko; w zmęczeniu i w narastającej ociężałości ruchów.

I w gniewie duszy. W tym niezmiennie gorącym i płonącym ogniu. Zdawał sobie sprawę, że musi zrobić to, co konieczne, najszybciej, jak się da. Najlepiej już w najbliższych dniach. Przecież wie, czego chce się dowiedzieć. Nie ma na co czekać.

Siedział tak długo, że z ognia pozostała tylko cienka warstwa żaru. Zapadła ciemność; pora położyć się spać, ale powinien jeszcze zajrzeć do kurnika... żeby zobaczyć, w jakim jest stanie. Nie zamierzał zaczynać tego wszystkiego od nowa, w żadnym wypadku, ale pewnie by nie zasnął, gdyby chociaż nie rzucił okiem.

Wziął lampę gazową i wyszedł na schody. Poczł wieczorny chłód. Zastanowił się nawet, czy nie wrócić po sweter, ale zrezygnował. Podwórce ma co najwyżej trzydzieści metrów szerokości, poza tym zaraz z powrotem znajdzie się w cieple.

Był dopiero w połowie drogi, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest sam w ciemności.

VI

11–15 maja 1994

## 24

- Co to ma znaczyć? – spytał deBries, wskazując na magnetofon.
- To dla komisarza – westchnął Münster.
- Nie rozumiem.
- Komisarz twierdzi, że to on kieruje śledztwem, i dlatego nie chce uронić ani słowa z naszego spotkania. Próbowałem mu to wyperswadować, ale przecież wiecie, jaki on jest...
- A jak on się czuje? – spytała Moreno.
- Dochodzi do siebie, co do tego nie ma wątpliwości – oznajmił Münster. – Ale zostanie w szpitalu chyba jeszcze trzy, cztery dni – co najmniej. Tak mówią lekarze. Ale pielęgniarki, gdyby to od nich zależało, wyrzuciłyby go już nawet dzisiaj.
- Ojjoj – odezwał się Rooth, drapiąc się po brodzie. – To znaczy, że trzeba będzie trzymać język za zębami.
- Raczej tak – odparł Münster i nacisnął klawisz magnetofonu. – Odprawa, środa, jedenastego maja. Obecni: Münster, Rooth, deBries, Jung i Moreno...
- Ktoś zapukał do drzwi i do środka wetknął głowę Reinhart.
- Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby?
- ...i Reinhart – uzupełnił Münster.
- A co ty tu robisz? – spytał Rooth. – Z rasistami już pozamiatane?
- Reinhart pokręcił głową.
- Nie, jeszcze nie – odparł. – Ale ciekawi mnie ten Leopold Verhaven. Poczytałem o nim trochę. Więc jeśli nie macie nic przeciwko temu...
- Nie mamy – odpowiedział deBries. – Siadaj sobie obok komisarza.

– Komisarza?  
– Który tam stoi i się kręci.  
– Wszystko jasne – rzekł Reinhart i zajął miejsce. – Nieobecni są wśród nas.

– Zaczniemy od identyfikacji – zaproponował Münster. – Chyba Rooth miał się tym zająć.

Rooth odchrząknął.

– No więc – zaczął – w identyfikacji pomogła nam ta historia z jądrem. W wieku mniej więcej dziesięciu lat Verhaven miał wypadek... wjechał rowerem na mur i kierownica dostała mu się między nogi.

– Ajaj! – zareagował deBries.

– Jedno jądro zostało uszkodzone i po pewnym czasie trzeba je było usunąć. Meusse ustalił, że naszemu trupowi w dywanie brakowało jednego jądra, tak więc uwzględniając wszystkie pozostałe okoliczności, można wyciągnąć dosyć jednoznaczny wniosek, że to musi być on. To znaczy Verhaven.

– Identyfikacja na podstawie dowodów poszlakowych? – rzucił Rooth.

– Można by to tak nazwać – odparł Rooth. – Jego siostra oczywiście nie umiała powiedzieć, czy to on, czy nie, i nie ma chyba nikogo, kto by to potrafił. Ale wszystko wydaje się zgadzać. Wszystkie znane nam elementy wskazują na niego – wyjście z więzienia, ludzie, którzy widzieli go w wiosce, ślady w domu, fakt, że potem zniknął – chociaż naturalnie istnieje też niewielka możliwość, że to jednak ktoś inny. Wtedy powstaje pytanie kto, i w takim razie gdzie podziewa się Verhaven.

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił.

– Jeżeli Verhaven nie jest ofiarą – odezwał się Jung – to prawdopodobnie jest sprawcą.

Münster potaknął kiwnięciem głowy.

– Może tak być – powiedział. – Ale jak duże jest prawdopodobieństwo, że akurat trafił na jakiegoś innego nieszczęśnika z jednym jądrem i później go zabił? I po co? Nie, myślę, że ten wariant możemy wykluczyć. Przyjmujemy, że to są zwłoki Leopolda Verhavena. Ktoś

go zamordował dwudziestego czwartego sierpnia zeszłego roku... tego samego dnia, kiedy wrócił do domu po dwunastu latach odsiadki. Albo niedługo potem.

– Czy w domu znaleziono jakieś ślady użycia siły? – spytał Reinhart.

– Nie – odparł Rooth. – Żadnych. Nie wiemy też nic o przebiegu samej zbrodni. Ofiara mogła zostać zabita na miejscu, a potem stamtąd usunięta. Ubranie, które Verhaven miał na sobie, wychodząc z więzienia, wciąż tam jest... oczywiście mógł się przebrać i wszystko wskazuje na to, że położył się już do łóżka.

– Zabójca mógł przyjść w nocy z nie do końca jasnym zamiarem – powiedział Münster. – To całkiem sensowny wariant.

– Ale sąsiedzi po drugiej stronie lasu niczego nie zauważyli – wtrącił Rooth. – Tyle że nawet pani Wilkerson musi od czasu do czasu oderwać się od swoich obserwacji.

– A może ona i jej mąż pełnią przy tym kuchennym oknie dyżury – zauważył Münster. – Tego wariantu też nie da się wykluczyć.

– Motyw – powiedział Münster, gdy już wszyscy naleli sobie kawy. – To dopiero wielka niewiadoma. Nawet nie wiemy, o co pytać... być może byłoby inaczej, gdybyśmy znaleźli brakujące części ciała, ale w tej sytuacji musimy po prostu oprzeć się na spekulacjach. No więc co myślicie? Rooth?

Rooth szybko przełknął połowę czekoladowego ciastka.

– Moim zdaniem, trzeba przyjąć, że ktoś czekał na niego, jak wyjdzie z więzienia – powiedział. – Ktoś, komu się dosyć spieszyło i kto miał jakiś ważny powód, żeby załatwić to piorunem.

– A jaki to mógłby być powód? – odezwał się Reinhart.

– Nie wiem – odparł Rooth. – Spróbujmy się nad tym zastanowić. Dwie rzeczy przemawiają za moją hipotezą: to, że Verhaven został zamordowany tak szybko... przypuszczalnie tego samego dnia, kiedy wrócił do domu, i to, że w ubiegłą zimę ktoś dzwonił do więzienia w Ulmentahl, żeby spytać, kiedy go wypuszczą. Potem ktoś zadzwonił jeszcze raz w lipcu, żeby się upewnić... ci kretyni z administracji znaleźli tę informację dopiero wczoraj. Kiedy tam byłem, nie wspomnieli



mi ani słowem.

– Dzwoniła ta sama osoba? – spytał Reinhart.

– Tego nie są pewni, i trudno wymagać, żeby byli. Ale i za pierwszym, i za drugim razem był to mężczyzna. Podawał się za dziennikarza.

Ponownie na krótko zaległa cisza.

– A jaki cel mógłby mieć ten mężczyzna, żeby usunąć Verhavena z drogi? – spytała Moreno.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Rooth. – Oczywiście można założyć, że ma to jakiś związek ze sprawami Beatrice i Marlene... ale wcale niekoniecznie.

– Bzdura – rzucił Reinhart.

– Co masz na myśli? – obruszył się Rooth i lekko zirytowany podrapał się po brodzie.

– To przecież oczywiste, że istnieje między tymi sprawami związek – stwierdził Reinhart. – Pytanie tylko: jaki.

Münster objął spojrzeniem wszystkich zgromadzonych wokół owalnego stołu. Pomyślał, że byłoby naprawdę z korzyścią dla śledztwa, gdyby Reinhart na dobre włączył się do niego.

DeBries zapalił papierosa.

– Czy nie moglibyśmy posuwać się trochę szybciej? – zaproponował. – O ile dobrze widzę, są przecież tylko dwie możliwości. Myślałem, że co do tego się zgadzamy.

– W porządku – odezwał się Rooth. – Wybacz mi moje naukowe podejście. Ten, kto zabił Leopolda Verhavena, zrobił to prawdopodobnie dlatego, że go nie cierpiał, nienawidził... i chciał go jeszcze bardziej ukarać. Bo uważał, że dwadzieścia cztery lata to za mało... Albo miał coś do ukrycia.

– Ale co? – spytał Reinhart.

– Coś, o czym Verhaven wiedział – kontynuował Rooth – i co zamierzał wykorzystać, jak tylko znajdzie się poza murami więzienia. Albo tak przynajmniej myślał morderca.

– Co by to mogło być? – powtórzył Reinhart.

Rooth wzruszył ramionami.

– Tego nie wiemy – rzekł. – W każdym razie mordercy musiało

strasznie zależeć na tym, żeby to nie wyszło na jaw.

– Jeśli założymy, że to miało związek z wcześniejszymi historiami, to w rachubę wchodzi tylko jedno – stwierdził Münster.

– Macie na myśli...? – nie dokończył Reinhart.

– Tak – powiedział Rooth. – Dokładnie tak. I jeżeli mamy rację, to może to oznaczać, że Verhaven nie popełnił zbrodni, za które został skazany... i że w jakiś sposób udało mu się ustalić tożsamość rzeczywistego sprawcy. Na to wygląda. Choć to oczywiście diabelnie cienki trop.

W salce znowu zaległa cisza. Słyszeć było jedynie monotony szum magnetofonu i trzaskanie fajki Reinharta.

– Ale jak? – odezwał się w końcu Münster po kilkudziesięciu sekundach. – Jak Verhavenowi udało się tego dowiedzieć?

Wyczuwał bardzo wyraźny opór, zarówno u siebie, jak i u innych, przed zaakceptowaniem tej alternatywy. I nic dziwnego. Bo jeśli nawet nikt z nich nie był bezpośrednio włączony we wcześniejsze dochodzenia i nie ponosił żadnej odpowiedzialności, to przecież dwudziestoczteroletni pobyt Verhavena w więzieniu był w znacznej części owocem pracy ich poprzedników i dawnych kolegów. Nie da się zaprzeczyć.

Wina zbiorowa? Przeniesione na następców poczucie klęski? Czyż właśnie nie to dawało się odczuć wyraźnie w tej zadymionej salce konferencyjnej? W każdym razie Münster tak odebrał ponowne milczenie swoich kolegów.

– No tak – powiedział w końcu Rooth. – Ale mamy przecież tę kobietę.

– Kobietę? – powtórzył za nim Reinhart.

– No tak, odwiedziła go jakaś kobieta. Starsza, opierała się na ławce... mniej więcej rok przed jego wyjściem. Zapamiętali ją w więzieniu, bo była to jedyna osoba, z którą Verhaven zgodził się spotkać w ciągu całego swojego pobytu za kratkami.

– Przez dwanaście lat – uzupełnił deBries.

– Kto to był? – spytała Moreno.

– Nie wiemy – odparł Rooth. – Nie udało się nam jej odnaleźć. Najpierw zadzwoniła i umówiła się na kilka tygodni później... czyli na

maj w dziewięćdziesiątym drugim. Przedstawiła się jako Anna Schmidt, ale to na pewno nie było jej prawdziwe nazwisko. Rozmawialiśmy z dziesiątkami Ann Schmidt, jednak, mówiąc szczerze, nic to nie dało.

Münster pokiwał głową.

– No więc tak się sprawy mają – powiedział. – Nasz Verhaven należał chyba do tego rodzaju ludzi, którzy potrafią ukrywać to, co wiedzą, tak długo, jak tylko chcą. Dlatego trudno się dziwić, że nie puścił pary z ust ani kierownictwu więzienia, ani policji. Zresztą za kratkami podobno w ogóle z nikim nie rozmawiał.

– Zgadza się – rzekł Rooth. – Przedziwny typ, ale to już ustaliliśmy.

– A krewni i znajomi? – spytał Münster. – Ofiar, rzecz jasna.

Aspirant Jung otworzył swój notes.

– Obawiam się, że nie znajdziemy tu nic, co by nam pomogło – zaczął. – Razem ze Stauffem odszukaliśmy większość z nich. Jeśli chodzi o Beatrice Holden, to została jedynie jej córka. No i sklepikarz oczywiście, ale oni dwoje byli tylko dalekimi kuzynami i nigdy nie utrzymywali ze sobą bliższych kontaktów. Córka ma teraz trzydzieści pięć lat, mężatka, czwórka dzieci, które raczej nie mają pojęcia o tym, kim była ich babcia... uważam, że nie ma specjalnego powodu, by je w tym względzie oświecać.

– A ta druga? Marlene Nietsch? – spytał Münster.

– Jest brat i jej były, ani jeden, ani drugi raczej nie pałają wielką sympatią do Verhavena. Obaj to dosyć podejrzone typki. Carlo Nietsch siedział dwa razy... za paserstwo i włamania. Maarten Kuntze, narzeczony, przez pół dnia alkoholik, przed drugie pół – przedwczesny rencista.

Reinhart zachichotał.

– Znam go – oznajmił. – Parę lat temu próbowałem go zmusić, żeby trochę mi wyśpiewał w pewnej historii narkotykowej, ale niewiele wskórałem.

– Obaj mieszkają tu, w mieście – kontynuował Jung – ale nie sądzę, żeby coś ich łączyło ze sprawą. Marlene Nietsch miała całą masę znajomości, ale tylko z Kuntzem i jeszcze z jednym żyła pod jednym dachem. Ten drugi nazywa się Pedlecki. Mieszka w Linzhuisen i raczej

po niej nie płacze. Ani teraz, ani kiedy została zamordowana.

Przewrócił kartkę w swoim notesie.

– Zresztą to dotyczy większości osób, z którymi rozmawialiśmy – dodał. – Marlene Nietsch musiała widocznie mieć swoje ciemne strony.

– I to już wszyscy krewni? – spytał Reinhart.

– Nie – rzekł Jung. – Jest jeszcze jej siostra w Odessie. Aż tam ją zanosło.

Münster westchnął.

– Czy ktoś miałby ochotę na kąpiel w Morzu Czarnym? – rzucił. – Może zrobimy sobie przerwę, żeby rozprostować nogi? I tak muszę zmienić taśmę.

– Ale krótką, jeśli mogę prosić – powiedział Reinhart. – Muszę jeszcze wpaść do Hillera, zanim pójdzie do domu, i wyżebrać zgodę na wydłużenie terminu.

– Pięć minut – postanowił Münster.

– A sama miejscowość? – spytał Münster. – Co o niej powiecie?

– Dziura zabita deskami – podsumował deBries. – Z aspirantką Moreno spędziliśmy tam całe dwa dni i jesteśmy zgodni co do tego, że to ucieleśnienie ponurej prowincji.

– Urodziłam się w podobnym miejscu – odezwała się Moreno. – W Bossenwühle pod Rheinau. Dlatego dobrze się orientuję, jak się tam żyje. Wszyscy wszystkich znają. Każdy wie, co robią inni. Zero prywatności. Trzeba uważać, żeby nikomu nie nadepnąć na odcisk, nie zrobić fałszywego kroku... nie sposób opisać tego dokładnie, ale pewnie dobrze znacie ten syndrom?

– Jasne – odparł Münster. – Ja też urodziłem się na wsi. Dopóki jest się dzieckiem, to daje się jakoś wytrzymać, ale już w dorosłym życiu ta sieć społecznych zależności czasami kłuje jak drut kolczasty. Czyli w Kaustin nie ma niczego specjalnego, co by go różniło od innych podobnych miejscowości?

Moreno zawahała się chwilę.

– Sama nie wiem – odrzekła i lekko przygryzła dolną wargę. – Oni wszyscy czują jeszcze na sobie cień Verhavena, czemu oczywiście trudno się dziwić. Podobno po drugim morderstwie reprezentacja mieszkańców chciała uzyskać pozwolenie na zmianę nazwy.

– Na zmianę nazwy? – zdziwił się Rooth.

– Tak. Chcieli się pozbyć nazwy Kaustin. Uważali, że wszyscy łączą ją z Verhavenem i procesami... czuli się tak, jakby mieszkali w wiosce mordercy. W sklepie była wyłożona petycja, na której każdy mógł się podpisać, ale z czasem sprawa się rozmyła.

– W gruncie rzeczy można ich zrozumieć – stwierdził Münster. – Ale może spróbujemy to bardziej skonkretyzować. Do czego udało się wam dojść?

– No więc tak – zaczął deBries. – Rozmawialiśmy mniej więcej z dwudziestoma mieszkańcami. Większość to starsze osoby, które całe swoje życie spędziły w Kaustin i dobrze pamiętają obie historie. Zresztą ludzie na ogół ani się stamtąd nie wyprowadzają, ani tam nie sprowadzają... w sumie, z grubsza licząc, jest ich około sześćuset. Ale trzeba przyznać, że wioska ma ładne położenie... jezioro, las, otwarta przestrzeń, no i w ogóle.

– Wielu nie chciało rozmawiać o Verhavenie – uzupełniła Moreno. – Jakby woleli zapomnieć o tym wszystkim, jakby to była hańba dla każdego, kto tam mieszka... co w pewnym sensie być może się zgadza.

– I nic więcej? – wtrącił Reinhart

– Co masz na myśli? – spytał deBries.

Reinhart grzebał zapałką w główce fajki.

– Czy nie odnieśliście wrażenia, że oni... coś jakby ukrywają? Do diabła, przecież tobie chyba nie muszę tego wyjaśniać, chodzi o nastrój, atmosferę. Kobieta powinna coś takiego zauważyć.

– Dzięki – powiedział deBries.

Jeszcze tylko kłótni nam brakuje, pomyślał Münster. Nie mam najmniejszej ochoty cenzurować tej rozmowy potem na taśmie.

– Może tak – przyznała po namyśle Moreno. – Ale jeśli nawet, to bardzo trudno to wyczuć. Niewykluczone, że każdy z nich chowa trupa w szafie – mówiąc w przenośni oczywiście – i boją się siebie nawzajem. To też należy do syndromu dziury zabitej dechami.

Münster westchnął.

– Ale chyba coś z nich wyciągnęliście?

– Ma się rozumieć – odparł deBries. – Rzeźnik na przykład to niezły numer. Ma co najmniej dwie kochanki we wsi. A raczej miał. Możliwe, że przespał się parę razy także z Beatrice Holden, zanim nie przetrzymała się na Verhavena, ale to nie jest pewne. Musiała być z niej atrakcyjna kobieta. I niezbyt trudna do zdobycia.

– O ile dobrze zrozumiałem, między nią a Verhavenem nieźle

iskrzyło? – rzucił Reinhart.

– Można tak powiedzieć – potwierdziła Moreno. – Mniej więcej jak między psem i kotem. Od czasu do czasu nawet leciały wióry... zaledwie tydzień przed morderstwem Beatrice zapukała w nocy do jednego z sąsiadów i chciała się u niego schronić. Podobno Verhaven nieźle jej przyłożył... była naga, owinięta tylko w koc.

– Wpuścili ją?

– Jasne. Pozwolili jej przespać się na kanapie. Była mocno wstawiona, ale zapewniała, że następnego dnia zgłosi Verhavena na policję. Z powodu gwałtu i czego się tylko da.

– Ale kiedy obudziła się rano – opowiadał dalej deBries – owinięta się kocem i wróciła do niego.

– Niech to diabli – odezwał się Reinhart. – To się nazywa pomroczość jasna.

– Słabości, twe imię brzmi kobieta – podsumowała Moreno i lekko się uśmiechnęła.

– Hmm. Jeszcze coś istotnego? – spytał Münster.

– Trochę wspomnień z jego dzieciństwa i lat szkolnych – powiedziała Moreno. – Woźny ze szkoły wciąż jeszcze żyje. Dobija dziewięćdziesiątki, ale ma wyjątkowo jasny umysł i lubi opowiadać. Zdaje się, że Verhaven od samego początku był oryginałem. Samotnik. Zamknięty w sobie. Ale silny. Koledzy czuli przed nim respekt... a jego zmienne humory znali wszyscy.

Münster skinął głową.

– Na pewno ten i ów w Kaustin uważał, że Verhaven jest niewinny – dodał deBries. – Przynajmniej śmierci Beatrice. Ale dzisiaj nikt już otwarcie się do tego nie przyzna.

– Dlaczego? – spytał Jung.

– Bo nikt nie będzie podcinać gałęzi, na której siedzi – bąknął Reinhart.

– Coś w tym rodzaju – powiedział deBries. – Stanać w sklepiku w Kaustin i oświadczyć, że Verhaven był niewinny to tak, jakby pojechać do Teheranu i obwieścić, że ajatollah narobił w spodnie.

– Ajatollahowie chyba nie noszą spodni – wtrącił Jung. – Ubierają się w takie czarne suknie, jak one się nazywają...

– Tak, tak – potwierdził Münster.

– Poza tym uznanie Verhavena za niewinnego byłoby równoznaczne z czymś jeszcze – zwrócił uwagę Reinhart.

– Z czym? – spytał Rooth.

– Z oskarżeniem kogoś innego ze wsi.

Na kilka sekund zaległa cisza. Münster był w stanie dokładnie ocenić, ile czasu każdy z obecnych potrzebował, aby uzmysłowić sobie prawdziwy sens słów Reinharta.

– To wcale nie jest takie równoznaczne – zauważył Rooth.

– To prawda – przyznał Reinhart. – Rzeczywiście wcale nie jest pewne, że w takiej małej wiosce znajdzie się drugi morderca, ale pewne jest, że taka myśl musi od razu pojawić się w głowach ludzi. Podejrzanie. Pamiętajcie: im mniejsza dziura, tym większa nieufność.

– Zgadza się – powiedziała Moreno.

– No i co? – odezwał się Münster, kiedy już wyłączył magnetofon i pozostali wyszli z salki. – Co o tym myślisz?

– Nic – westchnął Rooth. – A właściwie to nie wiem. Wiele bym dał za parę trafnych wskazówek. Na czym tak naprawdę powinniśmy się skoncentrować?

– Nie mam pojęcia – odparł Münster. – Coś mi się zdaje, że Hiller niedługo zredukuje zespół. Zostaniemy tylko ty i ja... no i oczywiście kierujący śledztwem.

Wskazał głową na magnetofon.

– Chyba że trafimy na jakiś sensowny trop – rzucił Rooth.

– Prędzej gazety wytoczą swoje ciężkie działa – zauważył Münster.

– Jutro i tak wszystko opublikują. Może to i dobrze. Przyda nam się każda pomoc.

– No ale co tak naprawdę uważasz? – spytał jeszcze raz Rooth, gdy już rozchodzili się w podziemnym garażu. – Myślisz, że w tej pipidówce chodzi sobie wolno potrójny morderca? Dla mnie to brzmi jak scenariusz jakiegoś kiepskiego filmu.

– Ten film mógłby okazać się bardzo dobry, gdybyśmy tylko wiedzieli, kto to jest – odpowiedział Münster.

Rooth zastanowił się chwilę.



– A może my naprawdę siedzimy w kinie – rzekł. – I trudno nam z niego wyjść, bo mamy miejsca w środku rzędu.

– Bezsprzecznie – zgodził się z nim Münster.

Stali przez chwilę w milczeniu.

– Wstąpimy na jedno piwo? – spytał Rooth.

Münster spojrział na zegarek.

– Nie zdążę. Muszę zajrzeć do pacjenta. Po ósmej mnie do niego nie wpuszczają.

– Szkoda. – Rooth uniósł do góry ramiona. – Pozdrów go ode mnie. Chyba mógłby nam się teraz przydać.

– Też tak uważam – przyznał Münster.

I po co ja kłamię? – przeszło mu przez głowę, gdy jechał już samochodem do domu za miasto. Dlaczego nie umiałem po prostu powiedzieć, że chcę wrócić do Synn i do dzieci? Po co mieszam w to komisarza?

Van Veeteren dostanie taśmy z nagraniem rano po śniadaniu, tak się umówili. Ale skoro już nie chciał zranić Rootha, nie przyjmując jego zaproszenia na piwo, to dlaczego stary glina po operacji był lepszą wymówką niż własna żona i dzieci?

Dobre pytanie, faktycznie.

Postanowił zająć myśli czymś innym.

Van Veeteren złożył „Allgemejne” i upuścił ją na posadzkę. Następnie uruchomił odtwarzacz, poprawił sobie słuchawki na uszach i oparł się wygodnie na poduszkach.

Koncert skrzypcowy Elgara. Słońce na twarzy i delikatny wiatr. Całkiem nieźle.

– Co najwyżej pół godziny – oznajmiła siostra Terhovian i nie wiadomo dlaczego podetknęła mu pod nos cztery wyprostowane palce.

– Zobaczymy – odpowiedział.

Musiały minąć już ze trzy kwadranse. Prawdopodobnie uznano, że lepiej jest, kiedy nie ma go w środku.

Przywołał w pamięci to, co ostatnio przeczytał. Właściwie nic nowego. Oczywiście na górze wielki tytuł tłustą czcionką na pierwszej stronie i dwuszpaltowe podsumowanie gdzieś dalej, ale zadziwiająco mało spekulacji. Właściwie żadnych.

Czwarty raz. Od kiedy Verhaven zaczął swoją karierę biegacza w wieku dwudziestu lat, znalazł się na pierwszych stronach gazet z czterech różnych powodów.

Jako król średniego dystansu pod koniec lat pięćdziesiątych. Najpierw jako król, a potem jako oszust.

Jako morderca na początku lat sześćdziesiątych.

Ponownie jako morderca dwadzieścia lat później.

I teraz, w połowie lat dziewięćdziesiątych, jako ofiara. Należało raczej założyć, że po raz ostatni.

Logiczny rozwój i spodziewane zakończenie? – zastanawiał się Van Veeteren, pogłaśniając muzykę w słuchawkach, żeby zagłuszyć odgłos

autobusów dochodzący z Palitzerlaan.

Logiczny koniec zmarnowanego życia?

Trudno powiedzieć.

Jakiego modelu było ono realizacją? Czy w tym dziwnym i trudnym do zrozumienia ludzkim losie jest w ogóle jakiś jasny plan?

Czy można by na przykład, zadał sobie pytanie Van Veeteren, zrobić o nim film i w ten sposób powiedzieć coś istotnego o uwarunkowaniach jego życia. O uwarunkowaniach życia nas wszystkich? Dobre pytanie.

Czy też chodziło tu tylko o smutne następstwo nieszczęśliwych przypadków? O ponurą i nieszczęśliwą historię dotkniętego przez los wyjątkowego człowieka, którego koniec był równie bezsensowny, jak wszystkie dni jego życia?

To nie nadaje się na film?

Odgryzł kawałek wykałaczką i ponownie popadł w zadumę.

Czy nie każde życie da się odzwierciedlić w jednej z licznych form sztuki? A może dla różnych ludzi są specjalne gatunki? Co na przykład z jego własnym życiem? Co by z tego mogło wyjść? Sinfonietta? Rzeźba w betonie? Pół kartki papieru?

Kto to wie?

Teraz leży w szpitalnym łóżku i na nowo zadaje sobie te bezowocne pytania. Pretensjonalne i niepojęte, które wirują mu w głowie tylko po to, żeby wystawić na daremną i idiotyczną próbę agresywne skrzypce.

Lepiej by mi zrobiło piwo i papieros, pomyślał w końcu i nacisnął biały guzik. Sto razy lepiej.

Zamiast siostry Terhovian w drzwiach pokazał się Münster. Komisarz wyłączył taśmę i zdjął słuchawki.

– Wszystko dobrze? – spytał go Münster.

– Co masz na myśli? To chyba jasne, do cholery, że nie jest dobrze. Spoczywam tu na tym samotnym łożu i nic nie mogę. Doszliście do czegoś?

– Niezupełnie – odparł Münster. – Ale tu, na słońcu, jest całkiem ładnie.

– Ciepło i lekko – odpowiedział Van Veeteren. – Przydałoby się piwo. No więc?

– Co znaczy no więc?

– Czy przyniosłeś na przykład taśmy?

– Jasne... dwie. Swoją drogą tego Gosseca nie było wcale łatwo znaleźć, ale mieli go u Laudenera.

Wyjął z plastikowej torebki dwie kasety i wręczył je komisarzowi.

– Ta czerwona jest z odprawy...

– Myślisz, że nie potrafię odróżnić requiem od bandy gliniarzy płotących bzdury?

– Mam nadzieję, że tak – odparował Münster.

– Właśnie przeczytałem „Allgemejne” – ciągnął Van Veeteren niewzruszony. – A co piszą w innych szmatławcach?

– Wszędzie mniej więcej to samo.

– Żadnych spekulacji na temat motywu?

– Nie, w każdym razie nie w tych, które przejrzałem.

– Dziwne – stwierdził krótko Van Veeteren.

– Dlaczego? – spytał Münster.

– No nic, pewnie jeszcze napiszą. W każdym razie ja mam już jasność. Wczoraj wieczorem przeczytałem dokumenty ze sprawy Marlene i mogę się założyć, że on w obu przypadkach był niewinny. Zakładasz się, inspektorze?

– Nie, dziękuję – odpowiedział Münster. – My też skłaniamy się do tej opinii. Tylko nie za bardzo wiemy, co mamy robić dalej...

– To jasne, do cholery, że nie wiecie – burknął komisarz. – Bo nie dałem wam na razie żadnych poleceń. Zawieź mnie z powrotem do pokoju, to zaraz się za to zabierzemy. To nie do pomyślenia, że ci tutaj wywlekają pacjentów na balkon i każą im leżeć nie wiadomo jak długo. Jak na patelni...

Münster otworzył szeroko drzwi i wtoczył duże metalowe łóżko z powrotem do środka.

– Od czego mamy zacząć? – spytał, kiedy komisarz znalazł się już na miejscu.

– A skąd ja mam teraz to wiedzieć? – odparł Van Veeteren. – Daj mi najpierw przesłuchać taśmę i wróć do mnie za dwie godziny, wtedy

udziele ci jasnych wskazówek.

– *All right* – powiedział Münster.

– W tym czasie możesz ustalić, czy da się odnaleźć tę osobę.

Podał Münsterowi podwójnie złożoną kartkę papieru.

– Leonore Conchi – przeczytał. – Kto to jest?

– Kobieta, z którą Verhaven miał coś do czynienia w latach siedemdziesiątych – wyjaśnił Van Veeteren.

– Jeszcze żyje? – spytał bez namysłu Münster.

– Właśnie masz się tego dowiedzieć.

VII

24 kwietnia 1962

Znowu się budzi.

Czuje ciemność i jego ponurą bliskość jak ciężar przygniatający piersi. Ostrożnym ruchem opiera się na łokciu i usiłuje dostrzec słabo fosforyzujące wskazówki zegarka.

Wpół do czwartej. Albo prawie wpół do czwartej, o ile dobrze widzi. Powietrze w sypialni jest gęste i duszne, mimo szpary w oknie. Siada na łóżku. Przez chwilę po omacku dotyka stopami nierównej podłogi, w końcu natrafia na swoje pantofle.

Wstaje i ostrożnie wychodzi z pokoju. Ściąga z wieszaka na ścianie wytarty szlafrok z cienkiego frotté. Zamyka drzwi i przykłada ucho do chłodnego drewna. Aż tutaj słyszy jego ciężki, momentami chrapliwy oddech.

Narzuca na siebie szlafrok. Powoli idzie po schodach.

Na dół. To jest najtrudniejsze. Ból w biodrach ciska rozzarzone włócznie i w górę, i w dół. Wzdłuż kręgosłupa aż po kark i przez stopy po czubki palców. To niesamowite, ile energii kryje się w takim bólu.

A on z każdym krokiem się nasila.

Z każdym krokiem. Coraz bardziej. Coraz trudniej jest nie wykręcić stóp do wewnątrz i nie zgiąć wpół pleców.

Coraz ciężej iść.

Przy stole w kuchni opada na krzesło. Opiera głowę na rękach i czuje, jak fale bólu się cofają. Pozwala im odpłynąć do końca i dopiero potem kieruje myśli na co innego.

Na tamto.

Trzy razy tej nocy sen zerwał ją z łóżka. Trzy razy.

Ta sama przerażająca wizja. Ten sam nieodparcie nasuwający się obraz.

Kiedy on przyszedł na górę i zwałił się swym ciężkim ciałem obok niej, udawała, że śpi. Nie tknął jej. Nawet nie położył ręki na biodrze czy ramieniu. Przynajmniej tyle zwojowała. On jej już nigdy nie dotknie, wiedziała, że mimo wszystko odniosła zwycięstwo. I to o własnych siłach.

Bezpieczne. Jej ciało jest bezpieczne. Teraz i na zawsze.

Nigdy już nie będzie musiało tego przechodzić.

Milczące porozumienie leży między nimi niczym ciemna wstęga, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego ceny. Z przeciwwagi, z tego, co spoczywa na drugiej szali i jest niepojęte.

Wszystko ma swoją cenę, ale przecież nie miała wyboru. Trudno znaleźć jakkolwiek winę w jej decyzji i działaniu – oddać się jeszcze raz temu mężczyźnie, który jest co prawda jej mężem i ojcem jej dziecka, nie, aż nazbyt dobrze wie, co by to oznaczało. A poza tym jest też diagnoza doktora, nie tylko ona sama... to mogłoby kosztować ją zdrowie i rozum, rozsądek, i czucie, a może nawet utratę możliwości poruszania się, która jej jeszcze została. Gdyby to przynajmniej przyniosło jakieś owoce. Ale jej nie wolno już mieć dzieci. Narazić się jeszcze raz na to ryzyko. Czuły punkt jej życia mieści się teraz w miednicy, w tym kruchym centrum, które od czasu tamtej przerażającej nocy, kiedy urodziła, musi być chronione i zamknięte niczym relikwia.

Relikwia?

Ona rzeczywiście tak myśli, ale czy ktoś potrafi zrozumieć dlaczego?

Bóg albo jej matka czy też inna kobieta?

Nie, nikt. Została z tym sama. Zgorzkniała kobieta z mężem i dzieckiem. W końcu także i on nauczył się akceptować ten stan rzeczy. Nigdy więcej nie zostanie dopuszczony i teraz jego ręce oraz całe ciało zaprzestały swych daremnych modłów i wysiłków. Wreszcie zrezygnował.



A cena?

Może ona już wcześniej zrozumiała, że to musi kosztować. Ale żeby teraz? To ma być ta cena?

Odrażająca myśl. Nawet nie myśl; tylko urywek snu, ledwie... jakiś obraz, który przeciął jej świadomość w tak szalonym tempie i tak nie do pojęcia wyraźnie, że po prostu nie potrafiła go zrozumieć.

Dostrzec – owszem. Ale zrozumieć – nie.

Widziała, ale nie przyjęła do siebie.

Podnosi się z krzesła i podchodzi do pieca. Zapala lampkę nad zlewem i nalewa wody do rondla.

Kiedy tak stoi i patrzy, jak pęcherzyki powietrza uwalniają się i unoszą na powierzchnię wody, zaczyna myśleć o Andrei.

Andrei, która leży po drugiej stronie ściany i śpi spokojnym snem. Ma dwa lata – dwa lata i dwa miesiące – leży pod zrobioną szydełkiem babciną narzutą i przez sen ssie dwa palce włożone do buzi. Nie musi do niej zaglądać, żeby to wiedzieć. Obraz córki towarzyszy jej wszędzie, potrafi go przywołać w każdej chwili i bez najmniejszego wysiłku.

Andrea. Jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek będą mieli. To cud, że ono w ogóle żyje, i w obliczu tego nieważne są wszystkie inne względy.

Wszystkie? – zadaje sobie samej pytanie i od razu zna na nie odpowiedź.

Tak, wszystkie, odpowiada i bierze garnek z płyty.

Popijając herbatę, lekko uchyla zasłonkę. Spojrzenie spotyka w szybie jedynie odbicie jej własnej twarzy i fragment kuchennego wnętrza. Opuszcza z powrotem bawełnianą tkaninę.

Nie mam odwagi myśleć, mówi do siebie w duchu. Myśleć jasno. Muszę trzymać to od siebie z daleka. Kiedy obrazy pojawiają się w mojej głowie, muszę nauczyć się usypiać duszę.

Muszę.

Znaleźli ją. Tak właśnie powiedziała w sklepie ta pani Malinska, a w jej mrocznym głosie dało się słyszeć i kontrolowany, i histeryczny triumf.

Znaleźli ją niedaleko Goldemaarów, w lesie.

Martwą.

Udużoną.

Nagą.

I nagle w tej pustej kuchni, o tej samotnej godzinie przeszywa ją tak silny dreszcz, że aż przewraca kubek na stole. Gorąca herbata rozlewa się po ceracie w kratkę i niczym wąska struga spływa na jej prawe udo; dopiero po upływie kilku sekund udaje jej się zatamować ten potop.

To było w sobotę. Osiemnaście dni temu albo jakoś tak. Mniej więcej wtedy, kiedy zniknęła ta wywłoka, wtedy musiało się to stać.

Po południu w tamtą sobotę. Również to widzi bardzo wyraźnie przed oczami. Pójdę narąbać trochę drzewa, powiedział, a w jego głosie i przekornym spojrzeniu było coś, co od razu rozpoznała i może by zrozumiała, gdyby tylko tego chciała.

Ale po co miałyby to robić? Wyłącznie Andrea się liczy i teraz też chodzi jedynie o nią. Dlaczego miałyby na siłę rozumieć coś, czego nie chce rozumieć?

Wrócił późno, a ona od razu wiedziała, że coś się musiało stać. Nie wiadomo co, ale się stało.

Poznała to po jego dużych dłoniach, które ciągle się splatały i rozplatały, i nie mogły zaznać spokoju. Po krwi, która w poczuciu winy pulsowała w jego skroniach. Po spojrzeniu, które krzyczało o pomoc i złagodzenie bólu.

Po mękach jego całego ciała.

Poznała, ale nawet nie przeczuwała co.

A teraz siedzi tutaj, wyciera sobie dłonią udo i czuje, jak znowu skrada się ból. Wie, że nie może się dowiedzieć.

Nikt się nie dowie. A już na pewno nie ona. Znowu się wyłania obraz Andrei i kładzie się niczym kojący chłodny balsam na rozpaloną i mroczną wiedzę.

Anioł pocieszenia.

Dziecko zapomnienia.

Nic się nie wydarzyło. Nie ma żadnych przeczuć.

Tylko to jedyne.

Znowu wstaje. Idzie po omacku do szafki i wysypuje z brązowej szklanej buteleczki dwie tabletki. Popija je wodą prosto ze złożonej w łódkę dłoni.

Przeciwbólowe.

Na bezsenność.

Na koszmary, przeczucia i wiadomości.

Dlaczego? – zadaje sobie pytanie, wchodząc po schodach z powrotem na górę.

Jestem taka młoda. Moje życie dopiero się zaczęło, a już mam spętane ręce i nogi.

Przez tego męża.

Przez tę córkę.

Przez to trawione bólem ciało.

I przez postanowienie, żeby na zawsze milczeć.

**VIII**

**16–22 maja 1994**

Z daleka Münster ocenił wiek Leonore Conchi na mniej więcej trzydzieści, trzydzieści pięć lat.

Kiedy jednak podszedł bliżej i uścisnęli sobie dłonie ponad przydymionym szklanym blatem, zrozumiał, że powinien dodać jeszcze co najmniej dwadzieścia, żeby być bliżej prawdy.

Może właśnie dla podtrzymania tej iluzji umówiła się z nim na rozmowę w kiepsko oświetlonym biurze; siedziała wciśnięta w róg kanapy, tak długiej, że aby słyszeć siebie nawzajem, musieli podnosić głos.

Młodość, przeszło Münsterowi przez głowę. Jej mroczne strony.

Odszukanie jej trochę trwało. Po pierwsze dlatego, że od końca lat siedemdziesiątych, kiedy przez kilka miesięcy mieszkała z Leopoldem Verhavenem, zmieniała adres ponad dziesięć razy, a poza tym także nazwisko.

Ale nazwisko tylko raz. Teraz nazywała się di Goacchi i od półtora roku prowadziła ze swym leciwym korsykańskim mężem w centrum Groenstadt butik z dosyć wyzywającą konfekcją damską.

– Leopold Verhaven? – spytała, zakładając nogę na nogę w czarnych nylonowych pończochach. – Dlaczego chce mnie pan przesłuchiwać w sprawie Leopolda Verhavena?

– To nie jest przesłuchanie – odparł Münster, jakby próbował się usprawiedliwić. – Chciałem tylko zadać kilka pytań.

Kobieta zapaliła papierosa i wygładziła ręką swoją krwistoczerwoną skórzaną spódnicę.

– No to zaczynajmy – rzekła. – Co chciałby pan usłyszeć?

Żeby to ja wiedział, pomyślał Münster. Jestem tu tylko dlatego, że dostałem takie polecenie od komisarza.

– Proszę opowiedzieć o pani relacji z nim – zwrócił się do niej.

Wypuściła dym przez dziurki w nosie i zrobiła znudzoną minę. Najwyraźniej nie miała wygórowanego mniemania o policji w ogóle, toteż Münster od razu zrozumiał, że jakakolwiek próba zmiany jej nastawienia jest z góry skazana na niepowodzenie.

– Mnie też nie sprawia przyjemności grzebanie w takich sprawach – oświadczył. – Miejmy to zatem jak najszybciej za sobą, a wtedy będę mógł dać pani spokój.

Chyba wystarczyło. Kobieta skinęła głową, po czym zwilżyła sobie usta w przerysowany sposób dobrze wyćwiczonym ruchem języka.

– No dobrze. Pewnie chce pan wiedzieć, czy on miał w sobie cechy mordercy kobiet. Słyszałam to pytanie już wcześniej.

– Wyobrażam sobie – powiedział Münster.

– Nie wiem – mówiła dalej. – Byliśmy ze sobą zaledwie kilka miesięcy. Poznałam go przypadkiem, akurat kiedy rozpadło się moje drugie małżeństwo. Czulałam się wtedy bardzo rozbita i potrzebowałam faceta, który by się mną zaopiekował... i pobudził mnie znowu do życia.

– Udało mu się?

Wzruszyła ramionami.

– Czy pan jest żonaty?

– Tak.

– Czyli nie muszę owijać w bawełnę?

– Ani trochę – zapewnił Münster.

– W porządku. – Na jej twarzy pojawił się grymas, który pewnie miał być uśmiechem. – Był dosyć brutalnym kochankiem. Na początku nawet mi się to podobało, chyba tego potrzebowałam, ale na dłuższą metę stało się męczące. Takie ostre bzykanie jest dobre parę razy, a potem człowiek woli spokojniej, chce więcej czułości i wyrafinowania... no wie pan. Wiadomo, że coś takiego może odświeżyć i ożywić skostniały związek, ale wcale nie musi tak być.

– Słusznie – zgodził się z nią Münster, głośno przełykając ślinę. – I on cały czas grał takiego ogiera?

– Tak. Z czasem stało się to zbyt męczące. Po kilku miesiącach odeszłam od niego. Poza tym ta dziura zabita dechami... dom gdzieś daleko w lesie, no i w ogóle. Chociaż może właśnie akurat tego potrzebowałam... las, natura i tak dalej.

Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w tym kurniku, przemknęło Münsterowi przez głowę.

– Ale nie miał skłonności do bezpośredniej przemocy?

– Nie – odparła zdecydowanie. – Był zamknięty i dosyć nieokrzesany, ale nigdy się go nie bałam ani nic z tych rzeczy.

– Wiedziała pani, że został skazany za morderstwo?

Skinęła głową.

– Powiedział mi to po naszej pierwszej nocy. I zapewniał, że jest niewinny.

– Uwierzyła mu pani?

Zawahała się, ale krótko.

– Tak – rzekła. – Nie wierzę, żeby Leopold Verhaven mógł zabić kobietę w ten sposób. Wydawał się dosyć dziwny, to prawda, ale nie był mordercą. To samo powiedziałam jako świadek w czasie drugiego procesu, ale oczywiście nikt mnie nie słuchał. Skazali go już z góry.

Münster pokiwał głową.

– A po zakończeniu tej znajomości nie miała pani z nim żadnego kontaktu?

– Nie – powiedziała. – A kto właściwie go zabił? Właśnie w tej sprawie prowadzicie teraz śledztwo, tak?

– Tak – potwierdził Münster. – Ma pani jakieś przypuszczenia?

Kobieta pokręciła głową.

– Najmniejszych – odparła i zgasiła papierosa. – Skończyliśmy już, panie inspektorze? Muszę zająć się sklepem.

– Tak, to wszystko – rzekł Münster, podając jej swoją wizytówkę. – Proszę się ze mną skontaktować, jeśli przypomni się pani coś, co mogłoby mieć jakieś znaczenie.

– A co by to mogło być? – spytała.

Nie mam pojęcia, przyznał w duchu i podniósł się z kanapy.

Kiedy wyszedł na ulicę, właśnie zaczęło padać. Drobny i ciepły wio-

senny deszcz, który wydał mu się oczyszczającą kąpielą. I miłym kontrastem z Leonore di Goacchi. Przez chwilę stał nieruchomo na chodniku, pozwalając, by delikatne krople płynęły mu po twarzy. Następnie otworzył drzwi samochodu i wszedł do środka.

Miał przed sobą dwie godziny jazdy z powrotem.

Musiał przyznać, że minione popołudnie nie należało do szczególnie owocnych. Ale tak bywało najczęściej. Niemal w każdym przypadku. Pytania, pytania, mnożące się pytania. Niekończące się rozmowy, wywiady i przesłuchania, każde na pierwszy rzut oka jednakowo daremne i niczego niewnoszące, a potem nagle pojawiała się coś istotnego. Zwykle w najmniej oczekiwanym momencie. Jakieś niezauważalne powiązanie, jakaś krótką, niespodziewana odpowiedź... nagły, ledwo żarzący się znak w ciemności, którego nie wolno było przegapić. Pod żadnym pozorem nie można było przemknąć obok tego gąszczy banalnych szczegółów i męczących drobiazgów.

Ziewnął i ruszył z miejsca.

Jednak ta dzisiejsza rozmowa zdecydowanie nie wniosła niczego nowego, pomyślał.

Oprócz tego, że dostarczyła kolejnego niewielkiego potwierdzenia hipotezy zakładającej niewinność Verhavena. Ale to już właściwie ustalili. Czy może jednak nie?

Skierował myśli ku temu, co miało nastąpić.

Jeszcze dwa dni, dokładnie licząc, i Van Veeteren wyjdzie ze szpitala – jeśli wierzyć prognozom lekarzy. I chociaż zarówno on sam, jak i Rooth od początku mieli ambicję, żeby samodzielnie wyjaśnić ten przypadek, teraz będą musieli porzucić swoje nadzieje. Przynajmniej częściowo.

Trzeba odczekać i pozwolić komisarzowi na dobre wkroczyć do akcji, pomyślał Münster. Od piątku. Trudno powiedzieć, co to mogło konkretnie oznaczać, ale pewne oznaki tego, co się będzie działo, dały się już zauważyć. Nie sposób było ich nie dostrzec podczas ostatniej wizyty u komisarza w szpitalu.

Niby tylko drobiazgi, ale bardzo wyraźne. Uderzyła go na przykład ta absurdalna i irytująca zagadkowość. Podenerwowanie i drażliwość. Pomrukiwanie i bąkanie pod nosem.



To oczywiście były standardowe sygnały.

Słabe, ale dostrzegalne dla każdego, kto pracował z nim chociaż chwilę.

Van Veeteren jest bliski fazy wylegu, jak określił to kiedyś Reinhart przy okazji zupełnie innej niż Verhaven, jego kurnik i temu podobne rzeczy.

Może trzeba by zawiesić nad nim lampę kwokę? Na myśl o tym Münster uśmiechnął się pod nosem.

Żeby przyspieszyć proces. Zdaje się, że Verhaven tak właśnie robił.

Albo może komisarz po prostu zaczyna wychodzić ze skóry z powodu tego zamknięcia, zastanawiał się Münster. Tak czy inaczej, personelowi szpitala należą się słowa uznania – za to, że wytrzymali. Że najzwyczajniej w świecie go nie wyrzucili lub nie zamknęli w magazynku na brudną bieliznę. Musi pamiętać, żeby wziąć ze sobą jakiś kwiatek, kiedy będzie odbierać go w piątek. Nie zaszkodzi spróbować przywrócić dobre imię władzy porządkowej...

W końcu dał sobie spokój z rozmyślaniami nad sprawami zawodowymi. Wolał zająć się Synn i tym, że dziś wieczór mają razem gdzieś wyjść. Czy to nie przyjemniejsza wizja?

Teatr i dobra kolacja w Le Canaille. Dziadkowie w roli niańki. A później ich małe mieszkanko w samym centrum. A jednak od czasu do czasu trafia się człowiekowi coś dobrego.

Wystąpienie prokuratora Kieslinga w sprawie Marlene Nietsch zajmowało osiemnaście gęsto zapisanych stron. Van Veeteren przeczytał dokładnie wszystkie, westchnął głęboko i wrócił znowu do rekonstrukcji przebiegu wydarzeń, czyli próby wyjaśnienia przez prokuratora sędziemu Heidelbluumowi, członkom ławy przysięgłych i wszystkim innym ewentualnym zainteresowanym, co wydarzyło się w tamto pamiętne wrześniowe przedpołudnie 1981 roku.

...teraz pozwolę sobie przejść do opisu tego, co stało się w piątek blisko trzy miesiące temu, 11 września.

Około godziny 7.30 Leopold Verhaven opuszcza swój dom w Kaustin i wyrusza własną furgonetką, zieloną trotta z lat sześćdziesiątych, w tę samą trasę co zawsze, by zawieźć jajka do klientów, czyli w sumie do mniej więcej dziesięciu sklepów w Linzhuisen i Maardam.

Jak już słyszeliśmy, Verhaven jest osobą bardzo dobrze znaną wszystkim, którzy pracują w hali targowej czy są z nią inaczej związani. Zgodnie z jego informacją, potwierdzoną przez innych, tego ranka opuścił halę kilka minut po wpół do dziesiątej. Samochód stał zaparkowany z tyłu, na Kreugerlaan, gdzie wcześniej wyładował dostawę jajek, jednak tego dnia nie wrócił od razu prosto do furgonetki, tylko wyszedł przez główne wejście, prowadzące na rynek. Skierował swe kroki do kiosku przed Goldmanem, kupił gazetę, a potem ruszył w stronę Zwille. Na wysokości fontanny spotkał znajomego od interesów, Aarona Katza, i zamienił z nim parę słów. Następnie poszedł dalej przez plac i dokładnie na rogu Kreuger Plejn i Zwille natknął się na Marlene Nietsch. Mniej więcej od półtora miesiąca oboje utrzymują ze sobą kontakty seksualne; spotykają się i nocują nawzajem u siebie, raz w domu Verhavena w Kaustin, raz w mieszkaniu pani Nietsch w Maardam.

Stoją i rozmawiają kilka minut, tak twierdzi sam Verhaven, ale potwierdzają to też liczni świadkowie, którzy ich widzieli, między innymi Aaron Katz. Następnie powoli oboje

kierują się wzdłuż Zwille na południe i skręcają w Kreugerlaan, gdzie stoi zaparkowany samochód Verhavena. Są widziani przez świadka Elenę Klimenską, jak stoją przy nim zajęci rozmową mniej więcej między za pięć dziesiątą a dziesiątą. Oskarżony zaprzecza temu, jak również twierdzeniu, jakoby Marlene Nietsch wsiadła potem do jego samochodu. Tymczasem co najmniej trzech różnych – niezależnych od siebie – świadków zwróciło uwagę na ten charakterystyczny pojazd dostawczy na drodze wyjazdowej z Maardam. Dwóch z nich pod przysięgą zeznało, że na miejscu pasażera obok Verhavena siedziała kobieta, której wygląd doskonale odpowiadał opisowi zamordowanej pani Nietsch. Trzeci świadek, pani Bossens z Karnach, z głęboko religijnych powodów nie chciała złożyć przysięgi, ale powiedziała, że jest przekonana na dziewięćdziesiąt pięć procent, że Verhaven, wbrew temu, co twierdzi, nie był sam w aucie.

Choć nie ma świadków dalszych wydarzeń tego tragicznego piątku, zrekonstruowanie ich przebiegu jest możliwe bez większych trudności. Nie jesteśmy oczywiście w stanie stwierdzić, o czym rozmawiali Leopold Verhaven i Marlene Nietsch na rynku w Maardam i podczas jazdy samochodem, możemy jednak z dosyć dużą pewnością założyć, że chodziło o sprawy związane z seksem. Być może oskarżony próbował przekonać panią Nietsch, aby zgodziła się na coś, na co ona nie miała najmniejszej ochoty albo nie była do tego w odpowiednim nastroju. Lecz, jak wspomniałem, są to jedynie spekulacje, zupełnie nieistotne dla kwestii winy.

Leopold Verhaven wyjeżdża z Maardam jak zwykle przez Bossingen i Löhr. To bez wątplenia najprostsza droga w kierunku Kaustin, ale on, zamiast jechać prosto do domu, decyduje się akurat tamtego dnia skręcić na południe ku Wurms, by prawdopodobnie na skrzyżowaniu pod wioską Korrim skręcić w prawo. Mniej więcej w połowie trasy między Korrim i Wurms zjeżdża na wąską i nieuczęszczaną boczną drogę, która prowadzi prosto do lasu i kończy się po stu metrach. Jest to ten sam las, drodzy panowie i panie, gdzie w 1962 roku znaleziono ciało Beatrice Holden, za której śmierć uznano winnego Leopolda Verhavena i za co odbył on karę dwunastu lat więzienia.

Verhaven zatrzymuje samochód przy przymie drewna. Jeden ze świadków, przejeżdżając rowerem po głównej drodze, zauważył samochód kilka minut po wpół do jedenastej. Verhaven wymusza na Marlene stosunek płciowy, po czym zabija ją, dusząc, podczas samego aktu lub tuż po nim. Chowa ciało pod gałęziami i chrustem, gdzie zostaje znalezione cztery dni później przez właściciela lasu, pana Nimmerleta.

Po dokonaniu tego czynu Verhaven udaje się bezpośrednio do domu. Jest widziany w swojej furgonetce przez jednego z sąsiadów tuż po jedenastej. Oskarżony nie potrafi wyjaśnić, dlaczego owego ranka powrót z hali targowej w Maardam do swojego domu w Kaustin zajął mu ponad pół godziny więcej niż zwykle. Co się zaś tyczy pani Nietsch, świadkowie, którzy rozpoznali ją w zielonej furgonetce, jako ostatni widzieli ją żywą. Wcześniej Elena Klimenska zauważyła Marlene Nietsch razem z Verhavenem za halą targową. Dlatego można przyjąć ponad wszelką wątpliwość, że opuściła ona Maardam wraz z mordercą. Oskarżony utrzymuje natomiast, że rozstał się z nią już przy Zwille,

co świadczy tylko o tym, że w głębi swej zbrodniczej duszy (sic! – napisał na marginesie komisarz Van Veeteren i podkreślił podwójną linią) zrozumiał, że jest to jego jedyna szansa na ocalenie. Pani Nietsch umówiła się tego dnia, jak słyszeliśmy, ze swoją przyjaciółką Renate Koblenz w kawiarni Rote Moor przy Kreuger Plejn o godzinie 10.15. Nie dotarła jednak na to spotkanie.

Po prostu dlatego, że w czasie, kiedy zaniepokojona i zaskoczona koleżanka czekała na nią przy umówionym stoliku, Marlene Nietsch znajdowała się w samochodzie razem ze swoim zabójcą i wyjeżdżała z Maardam. A tym zabójcą, wysoki sędzie i szanowni sędziowie przysięgli, nie mógł być nikt inny, tylko oskarżony Leopold Verhaven.

Jeśli pozostawimy teraz te niepodważalne fakty na chwilę na marginesie, a naszą uwagę skupimy na kwestiach psychologicznych...

Diabelnie porządna układanka, pomyślał Van Veeteren, odsuwając kartki na bok. Wręcz zatrwazająco porządna. Co mogłoby sprawić, by Verhaven rzeczywiście został uznany za niewinnego?

Komisarz wetknął sobie wykałaczkę między dolne zęby i splótł dłonie na karku.

Po pierwsze: Marlene Nietsch musiałaby spotkać swojego prawdziwego mordercę około dziesiątej. Nie wsiadła do auta Verhavena, choć istnieje też niewielka możliwość, że jednak to zrobiła, ale on mimo to był niewinny... tylko, jak podkreślił prokurator Kiesling, zdawał sobie sprawę, iż wszystko pójdzie szybciej, jeśli przyzna, że ona rzeczywiście z nim jechała.

Po drugie: morderca musiałby w jakiś sposób skłonić Marlene Nietsch, by zrezygnowała z pójścia do kawiarni.

Może wystarczył plik banknotów i zwyczajna, szczerza prośba zalotnika, zastanawiał się Van Veeteren. Nie można tego wykluczyć. Marlene Nietsch nigdy nie należała do aniołków.

Po trzecie: co najmniej troje świadków musiałoby się pomylić. Albo kłamać. Kobieta, która widziała ich przy samochodzie. Mężczyzna i kobieta, którzy widzieli panią Nietsch w szoferce furgonetki. No i ta, która nie chciała złożyć przysięgi.

Trzy, cztery jednobrzmiące zeznania świadków. Czy to nie miało odpowiedniej wagi? Może wręcz rozstrzygającej?

Nie, pomyślał Van Veeteren i ze złością przegryzł wykałaczkę na pół. Rano przekopał się przez ponad pięćdziesiąt stron protokołów zeznań świadków, by w końcu stwierdzić, że to wyjątkowo przygnębiająca lektura. Zwłaszcza niejaki pan Necker zrobił wręcz karykaturalne

wrażenie i pozostawił po sobie spory niesmak. Jak się zdaje, ów pan Necker zgłosił się na policję cztery tygodnie po aresztowaniu Verhavena z własnej woli, twierdząc, że nagle przypomniało mu się to i owo na temat jasnowłosej kobiety w dobrze znanej furgonetce Verhavena. Potem, stanąwszy przed sądem, zapomniał wszystkie daty, miejsca oraz ludzi i dopiero kiedy prokurator Kiesling włożył mu w usta słowo po słowie, udało się wyciągnąć z niego jakąś trzymającą się kupy wersję.

A Denbourke, co nie było dla nikogo odkryciem, nie należał do prawdy do wymarzonych obrońców.

Na dodatek – i tu komisarz musiał chwycić się za ramę łóżka z czystej bezradności – istniało trzech innych świadków, którzy zeznali, że widzieli samochód Verhavena przed halą targową, ale nie zauważyli w nim żadnej kobiety. Jaką rolę odegrały te wypowiedzi przy podjęciu ostatecznego orzeczenia, pozostaje zagadką.

– Coś koszmarnego! – bąknął Van Veeteren i wypluł resztki wykałaczki na kołdrę. Czy Mort rzeczywiście miał w tym swój udział? I Heidelberg?

O tym, że ławnicy, te niedouczone sługusy sprawiedliwości, potrafili patrzeć między palcami i na niejedno przymknąć oko, wiedział z własnego gorzkiego doświadczenia, ale że sędzia i komisarz pozwolili na to, stanowiło dla niego ponurą niespodziankę. Trudną do przetrawienia. Wprawdzie gdy sprawa znalazła się przed sądem, Mort niewiele miał już do powiedzenia, ale mimo wszystko...

Jednocześnie musiał przyznać, że w ciągu ostatnich lat jego poprzednik nie był tak naprawdę sobą. Może w tym należy szukać wyjaśnienia. I starać się to zrozumieć.

A Heidelberg miał wtedy prawie siedemdziesiąt lat.

Mam nadzieję, że mnie wyrzucą, zanim stracę intuicję, pomyślał. Chociaż może najpierw umrę, nim ją stracę. To byłaby łaska, o którą powinienem się w duchu modlić.

Ale co teraz zrobić z tą sprawą? Bo z drugiej strony ten cały Verhaven, siedząc na ławie oskarżonych, zachowywał się jak najbardziej winny ze wszystkich winnych przestępców wszech czasów.

Pomijając to, że wszystkim zaprzeczał.

Niepojęte, uznał komisarz Van Veeteren. A nic bardziej mnie nie wkurza niż to, że czegoś nie rozumiem!

Przełożył nogi nad brzegiem łóżka i usiadł na nim. Po krótkim zawrocie głowy stanął na gołej podłodze. Możliwość poruszania się znowu o własnych siłach jest upajająca. Trudno temu zaprzeczyć.

Mimo że słabość i zawroty głowy trochę go przerażały. Temu też trudno zaprzeczyć.

Ale jutro i tak wychodzę do domu, pomyślał, zamykając za sobą drzwi toalety. I niech mnie szlag trafi, jeśli nie posprzątam tego bałaganu!

Jednak gdy usiadł na chłodnej desce, zrozumiał, że to może wcale nie być takie proste.

Co prawda, leżąc w szpitalu, sprawdził już wszystko, co się dało: stosy artykułów prasowych, protokoły sądowe, nagrania ze służbowych narad i szczegółowe relacje Münstera.

Co jeszcze będzie mógł zrobić po wyjściu stąd?

Kolejne dobre pytanie.

– Może wejdźmy lepiej do kawiarni – szepnął David Cuppermann i przepuścił go pierwszego przez drzwi.

Teraz, kiedy siedzieli już w zacisznym kącie lokalu, w którym rozchodził się zapach oleju do smażenia, wyglądał znacznie spokojniej. Jung nie musiał się długo zastanawiać nad przyczyną tej zmiany.

– Nie chciałem wciągać w to mojej żony – oświadczył Cuppermann.  
– Jest dosyć drażliwa i nie ma pojęcia o niczym.

Jung skinął głową i wyciągnął ponad stołem pudełko papierosów.

– Nie, dziękuję. Rzuciłem palenie. To też zasługa żony – dodał z lekko przepraszającym uśmiechem.

Jung zapalił.

– Niepotrzebnie się pan denerwuje – rzekł. – Zadam panu tylko kilka rutynowych pytań. Pewnie czytał pan w gazetach, że Leopold Verhaven został zamordowany.

– Tak.

Cuppermann potaknął ze wzrokiem utkwionym w filiżance kawy.

– Pan żył pewien czas z Beatrice Holden w Ulming. Kiedy to było? Pod koniec lat pięćdziesiątych?

Cuppermann westchnął. Nie da się ukryć, pomyślał Jung. Jeśli w życiu tego bojaźliwego i porządnego mężczyzny jest coś, co go trapi, to na pewno ten nieszczęsny związek z młodości.

– W pięćdziesiątym ósmym – powiedział. – Poznaliśmy się w grudniu pięćdziesiątego siódmego i dwa miesiące później zamieszkaliśmy razem. Ona zaszła w ciążę... tak, mieszkaliśmy razem do lutego następnego roku. To nie było moje dziecko.

– Nie pana? – spytał Jung, starając się nadać swojemu głosowi wyraz największego zdziwienia.

– My... to znaczy ona urodziła córkę, Christine, w sierpniu pięćdziesiątego ósmego, ale biologicznym ojcem jest inny mężczyzna.

– Kiedy się pan o tym dowiedział?

– Kiedy mała skończyła pięć miesięcy. Wtedy on przyszedł ją zobaczyć, a potem ona wszystko mi powiedziała.

– A niech to diabli – wymknęło się Jungowi. – Przepraszam. Domyślam się, że to nie było dla pana zabawne.

– Naturalnie – odparł Cuppermann. – Ani trochę. Odszedłem od niej tego samego wieczoru.

– Tego samego wieczoru? – powtórzył Jung.

– Spakowałem walizkę, wziąłem zaledwie kilka rzeczy, i wsiadłem do pociągu.

Zamilkł. Jung zamyślił się chwilę. Ciekawe dokąd, zastanowił się, ale uznał, że to nie ma żadnego znaczenia.

– A wasza córka? – spytał. – To znaczy jej córka... chyba musiało być panu trudno zostawić dziecko, które uważał pan za swoje?

Cuppermann nie odpowiedział na to pytanie. Siedział ze wzrokiem utkwionym w blat stołu, z zaciśniętymi zębami.

– Nie miał pan nigdy żadnych wątpliwości?

Cuppermann potrząsnął głową.

– Nie – odparł. – Chociaż pewnie powinienem. Ale byłem wtedy młody i niedoświadczony... po prostu.

– Czy spotkał ją pan jeszcze kiedyś?

– Nie.

– I Christine też nie?

– Odwiedziłem ją w Kaustin. Po zabójstwie. Ale tylko raz. Miała cztery latka i mieszkała u swojej babki... matki Beatrice. Babka nie chciała mnie znać, więc dałem sobie spokój.

– Rozumiem – rzekł Jung. – A ojciec... biologiczny ojciec? Czy wie pan coś o nim?

Cuppermann znowu potrząsnął głową.

– Chyba był marynarzem. Nigdy go już nie widziałem.

– Beatrice nie spotkała się z nim, kiedy pan ją zostawił?



– A skąd ja mam to wiedzieć?

No jasne, pomyślał Jung, pożegnawszy się z Cuppermannem. Skoro policji przez trzydzieści lat nie udało się wytropić niejakiego Clausa Fritze, to trudno raczej oczekiwać, aby zrobił to jego rywal, któremu on przyprawił rogi.

Gdy Rooth nacisnął dzwonek, drzwi otworzyły się tak szybko, że musiał odskoczyć do tyłu, aby nie dostać nimi w głowę. Arnold Jahrens wyraźnie już czekał na niego.

– Pan Jahrens?

– Proszę wejść.

Był wysoki i dosyć potężny, według Rootha wyglądał na co najmniej dziesięć lat mniej niż na sześćdziesiąt pięć, które podobno miał. Nieważne, uznał w końcu i usiadł na krześle przy kuchennym stole.

– No tak – odezwał się Jahrens. – Znowu Verhaven na tapecie. I panna Holden.

– Tak właśnie – rzekł Rooth. – Wie pan, co się stało?

– Czytałem w gazetach – odpowiedział Jahrens, wskazując na kąt kuchni, gdzie leżał ich stos. I „Neuwe Blatt”, i „Telegraaf”, o ile Rooth dobrze widział.

– Istotnie – Rooth potwierdził jeszcze raz. – Poruszamy się trochę po omacku, jeśli mam być szczerzy... więc postanowiliśmy zrobić coś w rodzaju małego remanentu. Rozmawiamy z każdym, kto był w to zamieszany w taki czy inny sposób.

– Rozumiem – rzekł Jahrens i nalał kawy. – Słodzi pan?

– Trzy łyżeczki.

– Trzy?

– Powiedziałem trzy? Miałem na myśli półtorej.

Jahrens roześmiał się głośno.

– Cukru mi nie brakuje – oznajmił. – Jeśli ma pan ochotę, jak najbardziej mogą być trzy.

– Dziękuję – powiedział Rooth. – Nie chciałbym pana zanudzać, więc może przejdźmy od razu do rzeczy. Był pan zatem sąsiadem Verhavena... Kiedy się państwo stamtąd wyprowadzili?

– W osiemdziesiątym piątym. Nie mieliśmy nikogo, kto mógłby

przejąć po nas gospodarstwo, więc zamiast się tam zaharowywać, woleliśmy spędzić jesień życia w mieście. To jednak jest różnica...

– A pańska żona? – spytał Rooth.

– Zmarła dwa lata temu.

– Przykro mi. Ale przejdźmy, jak powiedziałem, do rzeczy. Chciałbym pana prosić, aby opowiedział mi pan trochę, co pan sądził o tej parze, o Leopoldzie Verhavenie i Beatrice Holden. Musiał pan przecież zauważyć to i owo. A w nocy przed tamtym zabójstwem ona przyszła właśnie do państwa, prawda?

– No cóż, człowiek zawsze coś potrafi wypatrzeć – rzekł Jahrens. – Tak, przyszła wtedy do nas. Ale właściwie dlaczego pan o to wszystko pyta? Pan chyba nie myśli, że on był niewinny? Bo coś takiego zasugerowali w „Telegraaf”...

– Nie mamy pewności – przyznał Rooth. – Ktoś go jednak zabił. Czyli musiał istnieć jakiś powód, a zanim ustalimy, co nim było, mamy obowiązek zbadać wszelkie możliwe hipotezy.

– No tak, tak – zgodził się Jahrens, jednocześnie wyławiając łyżeczką kawałek ciastka z filiżanki. – Cóż, oni żyli, jak to się mówi, jak pies z kotem, cały czas. Dlatego dla wielu z nas to, co się stało, nie było wcale zaskoczeniem... mam na myśli ludzi ze wsi. To znaczy nie chcę powiedzieć, że się spodziewaliśmy, że on ją zabije, ale specjalnie mili to oni dla siebie nigdy nie byli.

– Rozumiem – rzekł Rooth. – A jak było tamtej nocy, kiedy ona do państwa zapukała?

– Opowiadałem to już chyba z pięćdziesiąt razy.

– Ale na pewno nie w ostatnim czasie, prawda? – rzucił grzecznie Rooth. – Proszę opowiedzieć jeszcze raz. Powiedzmy, że to taka gra.

– No dobrze – zgodził się. – Chociaż nie ma wiele do opowiadania. Obudziło mnie stukanie w szybę drzwi wejściowych. Wciągnąłem spodnie, zszedłem na dół i otworzyłem. Na zewnątrz stała ona... tak naprawdę mogła sama wejść i położyć się na kanapie, w ogóle nas nie budząc, bo nigdy nie zamykaliśmy drzwi na klucz. Tak robili wszyscy w całej wsi, nikt nie zawracał sobie głowy ryglowaniem. W mieście jest inaczej, to pewne. No więc stała na progu, dygotała z zimna, a kiedy mnie zobaczyła, spytała, czy może wejść i się przespać... po-

wiedziała, że ten przeklęty sukinsyn Verhaven pobił ją i że rano zgłosi to na policję.

– Była pijana?

– Dosyć, ale widziałem już gorsze przypadki. Spytałem oczywiście, czy mogę zrobić dla niej coś jeszcze... miała podbite, mocno podpuchnięte oko i w ogóle była poturbowana, ale nie chciała o niczym słyszeć. Powiedziała, że chce tylko spać, więc wpuściłem ją i pozwoliłem położyć się na kanapie. Przyniosłem jeszcze koc i poduszkę. Postawiłem jej szklankę wody... no i poszedłem na górę do łóżka. Było parę minut po trzeciej.

– Hm. I to wszystko? – spytał Rooth.

– Tak – potwierdził Jahrens. – Może ma pan jeszcze ochotę na ciasteczko? Widzę, że się skończyły.

– Nie, dziękuję – odparł Rooth i zastanowił się chwilę. – Nie wiem, o co jeszcze mógłbym pana spytać – odezwał się w końcu. – Czy ma pan coś do dodania, co według pana mogłoby nam pomóc?

Jahrens odchylił się na krześle i spojrzał w sufit.

– Nie – odrzekł. – Już nic.

– Uważa pan, że to Verhaven ją zabił?

– Naturalnie – odpowiedział. – Jest wiele rzeczy na tym świecie, w które wątpię, ale co do tego jestem pewien.

– Może rzeczywiście ma pan rację. – Rooth wstał z miejsca. – Dziękuję panu.

Nie ma wątpliwości, że człowiek nie jest mądry, pomyślał, wychodząc na dwór.

Kto to, u diabła, powiedział?

Po kolejnym dniu spędzonym w Kaustin deBries i Moreno dotarli do Kraus tak późno, że już nie sposób było znaleźć spokojnego kąta w barze. DeBries spróbował naprędce ocenić zawartość własnego portfela, po raz kolejny przeklinając swój zatwardziały opór przed korzystaniem z kart płatniczych i doszedł do wniosku, że nie jest tak źle.

– To może przysiadziemy w restauracji – zaproponował. – Chyba wolno mi cię zaprosić na skromny kawałek mięsa?

– W porządku – odpowiedziała Moreno i jeszcze raz rozejrzała się

wkoło. – Tutaj nie dałoby się chyba normalnie pogadać. Ale skoro ty mnie zapraszasz, to ja ciebie też. To mój warunek.

Pięknie, pomyślał deBries.

– Zobaczymy – odpowiedział i otworzył szklane drzwi do bardziej konkretnego lokalu.

– No więc? – spytała Moreno, kiedy już uporali się z mięsem i zamówili jeszcze jedną butelkę wina, a do tego deskę serów. – Jak pan inspektor podsumuje dzisiejszy dzień?

– Ładną mieliśmy pogodę – powiedział deBries. – Chyba się trochę opaliłaś.

– To zawsze coś – odparła Moreno i wyjęła notes z torebki. – To jak, przelecimy wszystko po kolei? Powinniśmy przynajmniej spróbować pokusić się o jakieś podsumowanie.

Spojrzała na nazwiska:

Uleczka Willmot

Katrina Berenskaya

Maria Hess

– Trzy babcie – zauważył deBries. – Chodzące o laskach. Szansa jedna na tysiąc, ale dopóki nie sprawdzono alibi, nie możemy skreślić żadnej z nich. Co prawda to daleko do Ulmentahl... ta wyprawa zajęłaby jej cały dzień.

– Jeśli przyjechałaby z Kaustin.

– No tak.

– Trudno powiedzieć – ocenił deBries.

– Bardzo trudno – zgodziła się Moreno. – Jedna na tysiąc, mówisz? Tak, to chyba właściwa proporcja.

Kelnerka przyniosła deskę serów i deBries nalał wina do kieliszków.

–Tylko co z motywem? – zadał po chwili pytanie. – Czy u którejś z tych starych ciotek widzisz choćby cień motywu? Żeby to miało jakiś sens, to ta odwiedzająca musiałaby znać prawdziwą tożsamość zabójcy. A one nie wyglądają mi raczej na szczególnie zorientowane pod tym względem.

– Nie pojmuję też, dlaczego ona chce zachować to dla siebie – rze-

kła Moreno. – Jeśli faktycznie wyjawiała Verhavenowi nazwisko mordercy, to nie widzę powodu, dla którego dzisiaj nie miałyby się do tego przyznać. Czy może jednak jakiś jest?

– Cholera wie – odparł deBries i wytarł winogrono o obrus. – Nie, ja nie widzę w tym sensu, Bóg mi świadkiem.

Moreno westchnęła.

– Ja też nie – powiedziała. – To wszystko jest według mnie jakieś tajemnicze. Wiemy jedynie tyle, że piątego czerwca dziewięćdziesiątego drugiego roku Verhavena odwiedziła kobieta, która nazywała się Anna Schmidt. Nie mamy zielonego pojęcia, kto to był ani o czym ze sobą rozmawiali. Poza tym najpierw twierdzimy, że ma to coś wspólnego z tymi zabójstwami. Później mówimy, że złożyła mu wizytę, żeby wyjawić nazwisko prawdziwego mordercy. Potem znowu szukamy jej w Kaustin... to wszystko jest mało przekonujące.

– Na dodatek – uzupełnił deBries – nie mamy stuprocentowej pewności, że Verhaven nie żyje. I wcale też nie wiemy, czy on rzeczywiście był niewinny i siedział w więzieniu niesłusznie. Gdybyśmy poszli z takim materiałem do prokuratora, porządnie by nas wyśmiał.

Moreno pokiwała głową.

– Ale to oczywiście nie nasza broszka – kontynuował deBries. – My wykonujemy tylko polecenia: pojedźcie i odszukajcie w tej dziurze wszystkie kobiety z laską! Albo wszystkich facetów w Aarlach z aparatem szczękowym. Wszystkie leworęczne dziwki w Hamburgu! Spytajcie, co robili między godziną trzecią a czwartą w przeddzień Wigilii siedemdziesiątego trzeciego roku, a przede wszystkim zapiszcie każde słowo, które powiedzą! Praca detektywa jest naprawdę super, właśnie o czymś takim marzyłem, kiedy zdecydowałem się pracować w policji kryminalnej.

– Obawiam się, że pan inspektor jest dziś wieczór trochę zniechęcony – powiedziała Moreno i roześmiała się krótko.

– Ależ skąd – odparł deBries. – Koleżanka aspirantka całkowicie błędnie ocenia moją motywację. Pojadę z miłą chęcią nawet na Spitsbergen i spytam każdego cholernego pingwina z osobna, co sądzi o efekcie cieplarnianym... jeśli tylko będę mógł to robić w twoim towarzystwie. Na zdrowie!

– Na zdrowie! – odpowiedziała Moreno. – Wydaje mi się, że na Spitsbergenie nie ma pingwinów. Ale nieważne, jutro na pewno pojawią się jakieś nowe zadania, prawda?

DeBries potaknął.

– Tak przypuszczam. Münster i komisarz pewnie będą chcieli sami doprowadzić tę łajbę do brzegu. Obawiam się jednak, że to nie będzie proste.

– Raczej nie. Jak myślisz? Uda im się w ogóle rozwiązać tę zagadkę?

DeBries przeżuwał ostatnie ciastko i zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie mam pojęcia – odrzekł. – Ale tak coś czuję, że z czasem im się uda. Van Veeteren po wyjściu ze szpitala będzie na pewno kąsał jak nigdy dotąd. Münster mówi, że trudno tam z nim wytrzymać.

– A czy z nim w ogóle da się wytrzymać?

– No nie, masz rację – westchnął deBries. – Jakie to szczęście, że człowiek przynajmniej nie jest jego żoną.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic – odparł deBries.

Moreno spojrzała na zegarek.

– *À propos* żony, chyba powinniśmy się pożegnać.

– Chyba tak – zgodził się deBries. – Dzięki za miły dzień. Nie ma już więcej wina... szkoda, bo chętnie wypiłbym za twoje zdrowie.

– Zrobiłeś to już dwa razy – stwierdziła Moreno. – Wystarczy. Nie cierpię słuchać pochlebstw bez końca.

– Ja też nie. Idziemy do domu.

Na pierwszy rzut oka, w pierwszym ułamku sekundy po otwarciu drzwi niczego nie rozpoznał. Przeszła mu przez głowę myśl, że po dwunastu dniach nieobecności się pomylił, ale już chwilę później uświadomił sobie, że dobrze trafił, że to niczyj inny, tylko jego stary pokój. Może zmyliło go ostre popołudniowe słońce, które wpadało ukośnie przez brudne szyby. Cała ściana za biurkiem, zastawiona regałami na książki i szafami na dokumenty, była skąpana w hojnym i oślepiającym słonecznym blasku. Kurz wirował w powietrzu. Było gorąco jak w piecu.

Otworzył okno. Spuścił rolety i w ten sposób przynajmniej częściowo odgrodził się od wiosny. Kiedy już się rozejrzył, doszedł do wniosku, że zmiany nie są bynajmniej tak głębokie, jak mu się w pierwszej chwili wydawało.

Doliczył się dokładnie trzech.

Po pierwsze, ktoś zrobił porządek na biurku. Wszystkie papiery leżały na jednej kupce, a nie fruwały po całym blacie. Właściwie to wcale nie głupi pomysł, zauważył od razu. Dziwne, że sam dotąd na to nie wpadł.

Po drugie, obok telefonu stał wazon z żółtymi i liliowymi kwiatami. Widać, że człowiek jest lubiany i szanowany, uznał. Surowy, ale sprawiedliwy pod szorstką powierzchnią.

Po trzecie, dostał nowe krzesło biurowe. Niebieskoszare; chyba w takim samym odcieniu jak narzuta, którą kiedyś Renate kupiła w czasie ich katastrofального urlopu we Francji. Prowansalski błękit, o ile dobrze pamiętał. Fotel miał miękkie podpórki na ręce, odchylane

tylne oparcie i zagłówek, a poza tym trochę przypominał fotele w przedziałach pierwszej klasy w którymś z sąsiednich krajów, nie pamiętał już w którym.

Usiadł ostrożnie. Siedzenie było równie miękkie jak podpórki na ręce, pod spodem zaś znajdowały się rozmaite kółka i drążki, za pomocą których mógł ustawić wszelkie możliwe pozycje – opuścić siedzenie, zmienić jego nachylenie, wyprofilowanie, współczynnik amortyzacji i wiele innych rzeczy. Na podkładce na biurku leżała kolorowa broszura z dokładnymi instrukcjami w ośmiu językach.

Boże drogi, pomyślał Van Veeteren i zaczął zgodnie ze wskazówkami manipulować przy poszczególnych kółkach. Będzie mi tu superwygodnie drzemać w oczekiwaniu na emeryturę.

Po dwudziestu minutach uporał się już ze wszystkim i właśnie gdy zaczął się zastanawiać, jak by tu najprościej i najszybciej załatwić sobie jedno piwo, zadzwonił dyżurny z recepcji z informacją, że na dole czeka na niego jakaś kobieta.

– Przyślij ją na górę – polecił. – Wyjdę po nią do windy.

Ostatecznie była sobota i komenda niemal świeciła pustkami. Wolał więc uniknąć błędu, który kilka lat temu popełnił Reinhart, gdy wpuścił jakiegoś kandydata na kapusia o kiepskim zmyśle orientacji, który poszedł i położył się na kanapie w gabinecie szefa policji. Hiller odkrył go osobiście w poniedziałek rano i nawet nieśmiała uwaga Reinharta, że istnieje coś takiego jak zamykanie drzwi przy użyciu tak zwanego klucza, nie zdołała załagodzić sytuacji.

– Pani nazywa się Elena Klimenska? – zaczął, kiedy kobieta usiadła na krześle dla gości.

– Tak.

Mogła mieć pięćdziesiąt do pięćdziesięciu pięciu lat, była elegancją, miała ciemne farbowane włosy, wyraziste rysy dyskretnie podkreślone delikatnym makijażem i bardzo wyrafinowanymi perfumami. Przynajmniej na ile potrafił to ocenić.

– Ja nazywam się Van Veeteren i jestem komisarzem – przedstawił się. – Jak już mówiłem, chodzi o pani zeznanie podczas procesu przeciwko Leopoldowi Verhavenowi, złożone tu, w Maardam, w listopa-



dzie osiemdziesiątego pierwszego roku.

– Wiem o tym – oznajmiła i splotła dłonie na swojej czarnej lakierowanej torebce.

– Czy mogłaby pani powiedzieć, czego ono dotyczyło?

– Nie bardzo rozumiem...

Zawahała się. Van Veeteren wyjął z kieszonki na piersi wykałaczkę i przyglądał się jej wnikliwie, sprawdzając jednocześnie stopień sprężynowania tylnego oparcia swojego fotela.

Nieźle, pomyślał. To będzie doskonały fotel do prowadzenia przesłuchań.

Tyle że ofiara powinna raczej siedzieć na drewnianym trójnogu. Albo na skrzynce po mące.

– No więc? – jeszcze raz zwrócił się do niej.

– Moje zeznanie? Ja po prostu przypadkiem przechodziłam obok i ich widziałam... na tyłach hali targowej.

– Jakich ich?

– No, jego i ją, oczywiście. Verhavena i tę kobietę, którą zamordował... Marlene Nietsch.

– Gdzie pani przechodziła?

– Słucham?

– Powiedziała pani, że przechodziła obok. Chciałbym wiedzieć, gdzie dokładnie pani się znajdowała w chwili, kiedy ich pani zauważyła.

Kobieta odchrząknęła.

– Szłam chodnikiem wzdłuż Zwille. Zobaczyłam ich kawałek dalej na Kreugerlaan...

– Skąd pani wiedziała, że to właśnie oni?

– Rozpoznałam ich po prostu.

– Przedtem czy potem?

– Nie rozumiem.

– Czy kiedy pani ich zobaczyła, wiedziała pani, że to Leopold Verhaven i Marlene Nietsch, czy doszła pani do tego wniosku dopiero później?

– Dopiero potem, naturalnie.

– Nie znała pani żadnego z nich?

- Nie, ani trochę.
- Jak daleko od nich się pani znajdowała?
- Z osiemnaście metrów.
- Osiemnaście?
- Tak, osiemnaście.
- Skąd pani to wie?
- Policja zmierzyła odległość.
- Jak byli ubrani?
- On miał na sobie dżinsy i niebieską koszulę, a ona brązową kurtkę i czarną spódnicę.
- Czyli ich stroje raczej nie rzucały się w oczy.
- No nie. A dlaczego miałyby się rzucać?
- Dlatego że łatwiej jest rozpoznać ludzi po szczegółach, które zwracają uwagę. Czy w ich przypadku było coś takiego?
- Nie, nie sądzę.
- Jak to się stało, że powołano panią na świadka?
- W gazetach zamieszczono ogłoszenie, że poszukiwane są osoby, które mogłyby pomóc.
- Aha. I pani się zgłosiła?
- Uważałam, że to mój obowiązek.
- Ile czasu minęło wtedy od tamtego zdarzenia... tak w przybliżeniu?
- Miesiąc... może półtora.
- Van Veeteren złamał wykałaczkę.
- Czyli według pani można rozpoznać dwoje ludzi, którzy stali i rozmawiali obok jakiegoś samochodu, po... sześciu tygodniach?
- Tak.
- Ludzi, których pani nie znała?
- Naturalnie.
- Czy miała pani jakiś szczególny powód, by właśnie ich zapamiętać?
- No... raczej nie.
- Która była wtedy godzina?
- Słucham?
- Która była godzina, kiedy szła pani przez Zwille i ich zauważyła?

- Siedem albo osiem minut przed dziesiątą.
- Skąd pani to wie?
- No akurat taka była godzina. Co w tym dziwnego?
- Spojrzała pani wtedy na zegarek?
- Nie.
- A dokąd pani szła? Była pani gdzieś umówiona na określoną godzinę, czy coś w tym rodzaju?
- Wyszłam na zakupy.
- Rozumiem.

Zrobił przerwę i odchylił się w fotelu tak głęboko, że aż oderwał stopy od podłogi. Przez ułamek sekundy czuł się jak w stanie nieważkości.

Czy nie ma jakiejś dźwigni, żeby wrócić do atmosfery? – pomyślał lekko oszołomiony, ale już po chwili odzyskał kontrolę nad swoim wehikułem.

– Pani Klimenska – odezwał się w końcu, gdy znowu miał kontakt i z biurkiem, i z podłogą. – Chciałbym jednak, żeby mi pani wyjaśniła... powoli i najprościej, jak pani potrafi... bo ja chwilami nie nadążam. Człowiek został oskarżony o morderstwo na podstawie pani zeznania. Przesiedział w więzieniu dwanaście lat. Dwanaście lat! Gdyby pani się nie zgłosiła, bardzo możliwe, że udałoby mu się z tego wyjść i zostałby uniewinniony. Proszę mi teraz, do diabła, powiedzieć, skąd pani może mieć pewność, że widziała pani właśnie Leopolda Verhave-na i Marlene Nietsch, jak stali i rozmawiali ze sobą na Kreugerlaan siedem i pół minuty przed dziesiątą w piątek jedenastego września osiemdziesiątego pierwszego roku? No skąd?

Elena Klimenska wyprostowała się na krześle i odważnie spojrzała mu w twarz, ani na milimetr nie uciekając wzrokiem w bok.

- Dlatego że ich widziałam – odparła. – Jeśli chodzi o dokładny czas, to przecież inny nie wchodzi w ogóle w rachubę. On odjechał stamtąd o dziesiątej, a na rogu stali za dwanaście dziesiątą.
- Czyli pani wcale nie widziała ich na rogu?
- Oczywiście, że nie.
- Brawo, pani Klimenska. Jak pani to wszystko doskonale pamięta, doprawdy podziwiam. Ale przecież minęło zaledwie trzynaście lat,

prawda?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Czy to prokurator albo policja pomogli pani w określeniu dokładnego czasu?

– I prokurator, i policja naturalnie. A dlaczego...

– Dziękuję – przerwał jej Van Veeteren. – To mi wystarczy. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy byli też inni świadkowie, którzy mogliby potwierdzić podane przez panią informacje?

– Nie rozumiem.

– Ktoś, z kim się pani na przykład akurat pożegnała... albo na kogo się pani natknęła pięć minut przed dziesiątą?

– Nie. A czemu miałyby to służyć?

Van Veeteren nie odpowiedział. Lekko uderzając palcami o kant biurka, spojrział przez szparę w roletcie na słońce nad rozgrzanim miastem. Elena Klimenska z niewzruszoną miną wygładziła jakąś fałdkę swojego beżowego stroju.

– Czy pani dobrze sypia w nocy, pani Klimenska?

Kobieta mocno zacisnęła usta. Van Veeteren widział po niej, że ma już dość. I że nie jest skłonna odpowiadać na jego kolejne pytania czy insynuacje.

– Pytam tylko z czystej ciekawości – ciągnął dalej. – Bycie od czasu do czasu psychologiem należy do mojego zawodu. Gdybym to ja na przykład swoim nieopartym na niczym i dowolnie skleconym zeznaniem wpędził człowieka na dwanaście lat do więzienia, to chyba nie czułbym się najlepiej we własnej skórze. Rozumie pani, wyrzuty sumienia i temu podobne rzeczy...

Kobieta wstała.

– Mam już dość pańskich...

– Chyba że miała pani jakiś specjalny powód?

– Co, u...

– I chciała pani doprowadzić do jego aresztowania. To by wszystko wyjaśniało.

– Do widzenia, panie komisarzu. Może być pan pewny, że pański zwierzchnik zostanie o wszystkim poinformowany!

Odwróciła się na pięcie i zdążyła zrobić trzy kroki w kierunku

drzwi.

– Cholerna krowa – syknął.

Elena Klimenska stanęła jak wryta.

– Co pan powiedział?

– Chciałem tylko życzyć pani miłego sobotniego popołudnia. Trafi pani sama czy mam panią odprowadzić?

Dwie sekundy później zniknęła za drzwiami, ale dobrze słyszał jej stawiane z wściekłością kroki aż do samej windy.

Tak, tak, pomyślał i jednocześnie pociągnął dźwignię stanu nieważkości. Właśnie w ten sposób trzeba ją traktować.

– Wiem – powiedziała Synn. – Nie musisz się tłumaczyć.

– Leżąc w szpitalu, przeczytał każde słowo dotyczące tej przekłętej sprawy – wyjaśniał Münster. – Po prostu musi wszystko obejrzeć na własne oczy, a na razie nie może jeszcze prowadzić samochodu.

– Wiem – powtórzyła Synn. Przeglądała gazetę, dmuchając na swoją gorącą kawę. Dochodziło dopiero wpół do ósmej, ale dzieci wstały już długo przed siódmą, nie przejmując się zupełnie tym, że jest lato i niedziela... niemal bezwietrzny poranek, pełen zapachu kwitnących czereśni i ptasiego świergotu, który dochodził przez na wpół otwarte drzwi balkonowe i mieszał się z chichotem Marieke w pokoju dziecięcym i niekończącym się monologiem Barta o smokach, potworach i piłkarzach.

Münster podniósł się z krzesła i stanął za swoją żoną. Pogłaskał ją po karku. Wsunął rękę pod szlafrok i objął delikatnie jej pierś. Nagle poczuł niesłychany ból; przeszył go lodowaty strach, że ta chwila mu umknie. Ów moment absolutnego i pełnego szczęścia, jeden z dziesięciu czy dwunastu, które składają się na całe nasze życie i być może nadają mu sens...

Przynajmniej on tak uważa. Jeśli będziesz miał dwanaście dobrych wspomnień, tłumaczył kiedyś wujek Arndt, kiedy Münster jako mały chłopak siedział mu na kolanach, to znaczy, że byłeś szczęśliwym człowiekiem. Ale dwanaście to bardzo dużo, więc nie czekaj zbyt długo z ich zbieraniem.

Być może wyczuła jego niepokój, bo położyła swoją dłoń na jego dłoni i przycisnęła ją mocniej do swojej piersi.

– Jak miło – powiedziała. – Lubię twoje ręce. Ale może zdążymy się gdzieś wybrać przynajmniej po południu? Na przykład na wycieczkę do Lauerndamm albo coś w tym rodzaju. Byłoby miło kochać się pod gołym niebem. Już dawno... co ty na to, mój ukochany?

Aż zaparło mu dech z zachwytu.

– Kiedy tylko zechcesz, moja ukochana – odpowiedział. – Będę z powrotem przed pierwszą. Bądź gotowa!

– Gotowa? – Uśmiechnęła się do niego. – Jeśli tylko chcesz, jestem gotowa już teraz.

– Cholera, gdyby nie dzieci i komisarz, to...

Uwolniła jego dłoń.

– A może byśmy go poprosili, żeby zajął się dziećmi?

– Hm, nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– No dobrze – powiedziała Synn i mocniej zawiązała szlafrok. – Wobec tego musimy wytrzymać do popołudnia.

Kiedy Münster zahamował przed domem z tabliczką Klagenburg 4, komisarz czekał już na chodniku. Nie dało się nie zauważyć jego tłumionego podenerwowania. Ledwo usiadł na siedzeniu obok kierowcy, od razu wyciągnął dwie wykałaczki, które potem nerwowo przesunął z jednego kącika ust w drugi. Münster zrozumiał od razu, że jest to jedna z tych chwil, gdy wszelka konwersacja jest jeśli nie źle widziana, to przynajmniej skazana na niepowodzenie.

Włączył więc radio. Jadąc przez niedzielne puste ulice, mogli wysłuchać wiadomości o ósmej, które dotyczyły głównie sytuacji na Bałkanach i kolejnych, dobrze już znanych nazistowskich ekscesów w Niemczech Wschodnich.

A na koniec prognozy pogody, która obiecywała przepiękny dzień z bezchmurnym niebem i temperaturą do dwudziestu pięciu stopni.

Münster lekko westchnął i pomyślał, że gdyby obok niego zamiast świeżo zoperowanego pięćdziesięciosiedmioletniego komisarza policji kryminalnej siedziała jego żona, to prawdopodobnie położyłby rękę na jej gorącym od słońca udzie.

Trudno – przecież wcześniej czy później nawet w taki dzień jak dzisiaj nadejdzie ta właśnie godzina.

Zatrzymali się przed nie do końca zarośniętym prześwitem w ścianie bzu. Münster wyłączył silnik i odpiął swój pas.

– Nie, nie, zostań – zaprotestował Van Veeteren, kręcąc głową. – Nie chcę, żebyś się za mną snuł. Tu potrzebna jest odrobina samotności i refleksji. Chcę mieć spokój, a ty czekaj na mnie za godzinę przy kościele.

Zaczął z mozołem gramolić się z samochodu. Szwy po operacji wyraźnie utrudniały mu normalne ruchy; musiał się chwycić obiema rękami za skraj dachu i podciągnąć się w górę na rękach, żeby nie napiąć mięśni brzucha. Münster nadbiegł z drugiej strony auta, jednak komisarz zdecydowanym ruchem odmówił przyjęcia wszelkiej pomocy.

– Za godzinę – powtórzył, spoglądając na zegarek. – Sam przyjdę... droga prowadzi prosto na dół.

– Może bezpieczniej by było, gdybym... – spróbował Münster, lecz komisarz przerwał mu nie bez irytacji.

– Niech pan przestanie się ze mną cackać! Mam już tego dość. Jeśli do wpół do jedenastej nie będzie mnie przy kościele, może pan przyjechać i sprawdzić, co się stało!

– No dobrze – odparł Münster. – Tylko proszę uważać.

– Spadaj! – powiedział Van Veeteren. – Aha, a drzwi są otwarte?

– Klucz wisi na gwoździu pod rynną – poinformował Münster. – Po prawej stronie.

– Dziękuję.

Münster wsiadł z powrotem do samochodu, zawrócił na wąskiej drodze i ruszył przez las na dół do wsi.

To niesłychane, przeszło mu przez myśl. Spędziliśmy w tym miejscu co najmniej ze sto godzin, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby on teraz natrafił na coś, co my przeoczyliśmy.

W ogóle bym się nie zdziwił.

Van Veeteren stał na drodze, dopóki białe audi Münstera całkiem nie zniknęło między drzewami. Wtedy przeszedł przez żywopłot i objął Wielki Cień w swoje posiadanie.

Dom popadał w ruinę, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Z wykałaczką między zębami komisarz rozejrzał się uważnie. Zamie-



rzał obejść dom naokoło, jednak musiał zawrócić, kiedy mniej więcej w połowie drogi natrafił na pokrzywy sięgające mu po pachy. Pal sześć, pomyślał. Znowu nie tak trudno sobie wyobrazić, jak musiało tu wyglądać jakiś czas temu... kawałek ziemi, który prawdopodobnie dopiero w połowie ubiegłego stulecia zaczął być uprawiany, wtedy poznał pług i bronę, ludzką troskę i żmudny wysiłek. A teraz znowu znalazł się we władaniu matki natury: osiki i brzozy rozpanoszyły się między drzewami owocowymi; piwnica i komórka były zarośnięte przez chwasty i pokryte mchem, a ogromna stodoła, która służyła jako ów osławiony kurnik, raczej nie przetrwa już wielu zim. Bez trudu rozpoznał, że granica została przekroczona... granica, poza którą nie dawało się już w żaden sposób odebrać naturze tego, co wzięła w swe posiadanie.

A już na pewno nie mogło się to udać biednemu samotnemu recydywiście.

Wielki Cień?

Dosyć prorocza nazwa, można by powiedzieć, znając już koniec tej historii. Van Veeteren znalazł klucz i trochę się siłując, otworzył w końcu drzwi. Musiał porządnie się schylić, żeby nie uderzyć czołem o futrynę; sufit w środku też był tak niski, że wisiał mu tuż nad głową, kiedy się wyprostował. Przypomniawszy sobie wtedy, że kilka miesięcy temu przeczytał w którejś gazecie, że w ciągu ostatniego stulecia średni wzrost ludzi znacznie się zwiększył. Jego 185 centymetrów uważano by pewnie za wybryk natury w czasach, kiedy pierwsi mieszkańcy obejmowali w posiadanie to karczowisko.

Na dole kuchnia i dwa pokoje. Wąskie, skrzypiące schody prowadziły z sionki o powierzchni jednego metra kwadratowego na strych zavalony stosami gazet, skrzynek, wysłużonymi meblami i innymi rupieciami. Słaby zapach sadzy i nagrzanego słońcem kurzu unosił się pod belkami dachu. Kichnął parę razy. Wrócił na dół do kuchni. Dotknął ręką dużego żelaznego pieca, jakby się spodziewał, że będzie ciepły. Przyjrzał się kiepskim reprodukcjom równie kiepskich oryginalnych pejzaży wiszącym nad kanapą. Przeszedł do pokoju dziennego. Dwie pęknięte szyby w oknie. Kredens. Stół z czterema różnymi krzesłami. Kanapa i telewizor, klasyczny model z lat pięćdziesiątych.

Rozpadająca się biblioteka z długim szeregiem książek, w większości tanimi kryminałami i powieściami przygodowymi. Po prawej stronie otwartego kominka wisiało lustro i oprawiony w ramki biało-czarny portret biegacza pokonującego linię mety. Jego twarz była wykrzywiona ze zmęczenia czy wręcz z bólu. W pierwszej chwili komisarz pomyślał, że to Verhaven we własnej osobie, ale kiedy podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie, zobaczył nazwisko i wtedy go rozpoznał: Emil Zatopek. Czeska lokomotywa. Masochista. Zwycięzca granicy bólu.

Czy to był idol Verhavena?

Czy tylko zwykła zbieżność czasu? Jeśli go pamięć nie myli, Zatopek był królem biegaczy we wczesnych latach pięćdziesiątych. Albo przynajmniej jednym z nich.

Wyszedł z pokoju. Przeształ próg sypialni i stanął przed podwójnym łóżkiem, które mimo swych bardzo skromnych wymiarów zajmowało niemal całą powierzchnię podłogi.

Jak to – dwuosobowe łóżko? Ale przecież Verhaven miewał od czasu do czasu kobiety. I można przyjąć, że nie wszystkie zostały zamordowane. Czy też nie?

– To tutaj się położyłeś? – wymamrotał Van Veeteren pod nosem, szukając jednocześnie nowej wykałaczkii. – Udało ci się przespać jedną noc na wolności czy nawet na to ci nie pozwolili?

Opuścił sypialnię.

Co ja, u diabła, tutaj robię? – nagle zadał sobie w duchu pytanie. Co ja właściwie sobie wyobrażam? Że to łożenie tu w kółko i wężenie po kątach coś mi da... Przecież jeśli nawet dzięki temu się dowiem, kim tak naprawdę był Verhaven, to i tak nie przybliży mnie to ani o jotę do odpowiedzi.

Do odpowiedzi na pytanie, kto go zamordował.

Ogarnęło go zmęczenie. Usiadł przy stole w kuchni. Przymknął powieki i zaczął obserwować żółte migotanie biegnące od prawej do lewej. Zawsze od prawej do lewej. Uprzedzono go o tych napadach słabości, nie zdawał sobie jednak sprawy, że są do tego stopnia podstępne, iż wręcz będą się pod nim uginać kolana.

Oparł głowę na rękach. Reinhart zwykł mówić, że trzeba dać sobie

spokój z myśleniem o ważnych rzeczach, jeśli ciało odmawia posłuszeństwa. Lepiej się kompletnie wyłączyć, bo w przeciwnym razie można sobie narobić niezłego bigosu.

Wyjątkowo ohydna cerata, stwierdził zatem, kiedy znowu otworzył oczy. Ale jakaś dziwnie znajoma. Czy ciotka K. nie miała przypadkiem podobnej, kiedy jeździł do niej na wakacje na początku lat pięćdziesiątych?

W nagrzanym słońcem szopie na łodzi, gdzie pod deskami podłogi słychać było uderzenia fal? Daleko od Wielkiego Cienia i w czasie, i w przestrzeni, ale właśnie mniej więcej wtedy Verhaven opuścił swojego ojca w Kaustin, żeby spróbować stanąć na własnych nogach.

Czterdzieści lat temu albo jakoś tak.

A potem stało się to, co się stało.

Samo życie, uznał Van Veeteren. Co za piekielnie przypadkowa historia.

A może jednak nie przypadkowa? Czy nie ma jakichś wzorców i linii?

Determinant?

Münster oparł się na starym nagrobku i zerknął na zegarek.

Dziesięć po dziesiątej. Wewnętrzny głos co rusz uparcie mu podpowiadał, żeby wsiadł do samochodu i natychmiast pojechał do Wielkiego Cienia. Komisarz od ponad godziny jest tam zupełnie sam – tuż po operacji, słaby i w kiepskiej formie. Nie mieć w tej sytuacji na niego oka to zupełny brak odpowiedzialności.

Ale odzywały się w nim też inne głosy. Van Veeteren zażądał wprawdzie tylko godziny spędzonej sam na sam ze sobą, lecz z drugiej strony wyznaczył granicę na wpół do jedenastej. Czyli Münster miał do wyboru: albo przyjedzie za wcześnie, albo za późno. Niewątpliwie trudna decyzja, lecz jeśli postanowi kierować się tą późniejszą godziną, to przynajmniej uniknie połajanki, że zakłóca komisarzowi święty proces myślowy. Jeżeli jednak miałyby się okazać, że Van Veeteren leży tam gdzieś nieprzytomny, mogłoby się zrobić mało zabawnie... lepiej już pojawić się jako anioł ocalenia niż jako niechciany i przedwczesny intruz.

Münster snuł te rozważania, przymknąwszy oczy. Z kościoła dochodziła monotonna i przytłumiona melodia słów niedzielnego kazania. Wcześniej widział całe stadko – około dwudziestu pobożnych duszyczek – jak w równych odstępach zbliżało się po świeżo zagrabionej żwirowej ścieżce ku bramie, gdzie stał tutejszy pasterz i osobiście witał każdego uściskiem dłoni i pełnym namaszczenia uśmiechem. Münster starał się pozostać niezauważony, lecz duchowny dostrzegł go oczywiście i wbił w niego swe władcze i przyzywające spojrzenie. Kimże jest ten, kto wałęsa się u wrót świątyni?

Jednak Münster dał mu odpór. Pozostałe owieczki potulnie weszły do środka. Pasterz na końcu. Dzwony wybiły dziesiątą, rój pozbawionych przypadkowego schronienia gołębi opuścił dzwonnice i zaczęło się nabożeństwo.

Wyjątkowo wysoka średnia wieku, stwierdził Münster, kiedy drzwi do kościoła się zatrzasnęły. Zdawał sobie także sprawę, że te wierne duszyczki w ciągu najbliższych dziesięciu, maksimum piętnastu lat pogłębią i utwierdzą swój związek z Kościołem na zawsze. Zaznając wiecznego spoczynku na cmentarzu.

W taki dzień jak ten gotów był im nawet odrobinę zazdrościć. Albo przynajmniej przejąć choć trochę spokoju i uduchowienia panującego na tym zadbanym cmentarzu otaczającym prastary kościół z kamienia, z nowo położonym świeckim dachem z czerwonej dachówki i polakierowaną na czarno głowicą wieży. Tu na pewno nie ma żadnego surowego, karzącego Boga. Żadnych tręb Sądu Ostatecznego. Wiecznego i nieodwołalnego potępienia.

Jedynie sama łagodność, dobroć i grzechów wybaczenie.

Łaska?

W tym momencie pojawiła się Synn i przerwała (albo może dopełniła?) jego pobożne myśli. Obraz jej nagiego ciała, kiedy leży zwinięta na brzegu ciepłego od słońca łóżka... z podciągniętymi kolanami i ciemnymi włosami rozrzuconymi niczym wachlarz na poduszce i ramionach; ten obraz przepełnił go niezwykłym rodzajem czułości, być może tym samym bezbronny doznaniem szczęścia, które ogarnęło go kilka godzin temu przy kuchennym stole. Tą samą nieskończoną i bezwarunkową miłością. I zaraz potem przypomniał sobie jej plan,

by kochać się na łonie natury... gdyby tylko znaleźli jakiś sposób, żeby utrzymać dzieci na odległość, nie byłoby to wcale niemożliwe. Dotąd świetnie im się to udawało, na przykład zeszłego lata na łódce wiosłowej na Weimarn. Kochali się na samym środku jeziora, a za świadków mieli jedynie niebo i mewy... Albo innym razem, wczesnym rankiem gdzieś wysoko na greckiej górze z rozległym na wiele mil widokiem na granatowe Morze Śródziemne. Nie mówiąc już o plaży pod Laguna Monda jeszcze przed przyjściem na świat Barta, to był chyba w ogóle jeden z ich pierwszych razy... Leżeli w ciepłej, nieprzeniknionej ciemności, wiatr znad lądu delikatnie pieścił jej ciało, jej niewymownie aksamitną skórę i jej...

Nagły akord organów wyrwał go z zadumy. Niewykluczone, że miał też obudzić tę i ową owieczkę drzemiącą w kościele pośród stada. Münster otworzył oczy i potrząsnął głową. Pobożna pieśń, zaintonowana wzmocnionym przez mikrofon głosem pastora, płynęła przez otwarte okna i mimo gęstych koron drzew niosła się swobodnie coraz wyżej, ku niebieskim sferom... gdzie, jak należało przypuszczać, upajała pozaziemskiego adresata, dla którego była w naturalny sposób przeznaczona.

Alleluja, pomyślał Münster i westchnął.

Wyprostował się i spojrział na zegarek.

Trzy minuty do wpół do jedenastej. Najwyższy czas. Ruszył przed siebie. Przeciął cmentarz i przeskoczył przez mur, przed którym zostawił samochód. Akurat gdy zamierzał otworzyć drzwi i wsiąść, zobaczył komisarza. Właśnie wyszedł zza rogu cmentarza – przerażająca postać w koszuli rozpiętej do pępka i czerwonej kraciastej chustce związanej wkoło głowy. Pod pachami widniały plamy potu, a twarz wyglądała na niepokojąco rozpaloną, ale jednocześnie w całym tym rozpaczliwym obrazie dało się zauważyć wyraz zadowolenia. Coś w rodzaju powstrzymanego grymasu satysfakcji, trudnego do pomylecia z czym innym. Przynajmniej dla kogoś, kto znał go tak dobrze jak Münster.

– O, właśnie miałem zamiar jechać na górę. Jak poszło? – spytał.

– Przede wszystkim piekielnie tam gorąco – powiedział komisarz i zdjął chustkę z głowy.

– Dlatego tyle to trwało – zauważył odważnie Münster. – I co, było w tych rupieciach coś ciekawego do oglądania?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Co nieco – odparł. – Porozmawiałem też po drodze na dół z paroma sąsiadami. Czermakowie nawet poczęstowali mnie piwem. Tak, tak.

Wytarł sobie czoło. Münster czekał, ale na próżno.

– Ale było coś? – spytał w końcu.

– Hm, tak mi się zdaje. To co, jedziemy?

Jak zawsze, pomyślał Münster i usiadł za kierownicą. Też jak zawsze.

– Udało się coś znaleźć? – sprecyzował, kiedy już ruszyli i twarz komisarza dzięki podmuchowi wiatru zza otwartej szyby odzyskała swoją normalną barwę.

– Mam koncepcję, kto mógł to zrobić – rzekł Van Veeteren. – Podkreślam: koncepcję! Nie twierdzę, że coś wiem.

– Kto? – spytał Münster, chociaż zdawał sobie sprawę, że i tak niczego się nie dowie.

Komisarz bowiem zamiast mu odpowiedzieć, oparł się wygodnie w fotelu, wystawił łokieć za okno i zaczął gwizdać arię z *Carmen*.

Münster dodał gazu i włączył radio.

**IX**

**11 września 1981**

Nikt przynajmniej nie będzie mógł powiedzieć, że nie przyszła odpowiednio wcześniej.

Już o wpół do dziewiątej zaczęła krążyć wkoło hali targowej; on zazwyczaj był gotowy dopiero między piętnaście po dziewiątej a wpół do dziesiątej, ale zawsze lepiej jest mieć jakiś zapas. W końcu chodziło o sporą sumkę, a Renate nie zamierzała czekać dłużej na swoje pieniądze, to jasne.

Te marne dwa tysiące guldenów. Jeszcze kilka lat temu byłaby w stanie bez problemu sypnąć dwa razy tyle... włożyłaby po prostu rękę do kieszeni, wyciągnęła z niej plik banknotów i powiedziała tej wypindrzonej lafiryndzie, że resztę może sobie wsadzić wiadomo gdzie.

W gruncie rzeczy mogłaby mieć w nosie, czy Renate dostanie swoje pieniądze, czy odejdzie z kwitkiem; ona od niej nie zależy. Ale jest zależna od Raoula, a tak się składa, że teraz jego kobietą jest właśnie Renate. Przynajmniej w tym momencie. Gdyby nie on, nie miałyby niedługo ani mieszkania, ani pracy, to pewne jak dwa razy dwa cztery, chociaż, do cholery, wiadomo, że dałaby radę stanąć na własne nogi zupełnie sama...w końcu już nieraz zaczynała wszystko od początku, ale z drugiej strony wcale nie jest źle mieć takie wygodne i ślicznie poukładane życie, jakie ona ma teraz. Całkiem przyjemna egzystencja, akurat kiedy wkracza w swoje dojrzałe lata...

Tak więc wyciągnięcie pieniędzy jest jak najbardziej warte zachodu. Ale z tego, jaką wagę inni przywiązują do tych rzeczy, zdała sobie sprawę dopiero wczoraj wieczorem. I dlatego tak się zaczęło jej spie-



szyć. Głos Renate brzmiał przez telefon zupełnie inaczej niż zwykle; jakiegokolwiek wyjaśnienia i przeprosiny nic by tym razem nie dały; to było wyraźnie widać.

Dwa tysiące guldenów. Kwadrans po dziesiątej przy Rote Moor. Bo jak nie, to zaczniesz się piekło.

Mniej więcej tak wyglądały warunki.

Zadzwoń do trzech czy czterech znajomych, ale oczywiście nic nie wskórała. W ten sposób zdołałaby uzbierać w sumie jedną czy ze dwie setki, może odrobinę więcej, gdyby jeszcze trochę podzwoń, jednak zbliżała się północ i obowiązywały jakieś granice.

Ale był Leo Verhaven. Przyszedł jej do głowy – może to najlepsze rozwiązanie – już w momencie, kiedy odłożyła słuchawkę po wysłuchaniu ultimatum Renate.

Leo.

On nawet nie ma telefonu.

Co jest w pewnym sensie oczywiste.

Sprawdziła, czy samochód stoi tam, gdzie zawsze. Przy rampie przeładunkowej przy Kreugerlaan. Zrobiła rundkę po hali targowej, a potem po rynku, nigdzie jednak go nie zauważyła... ważne, żeby wpaść na niego niby przypadkiem. Żeby wszystko wyglądało na szczęśliwy zbieg okoliczności...

A może jednak lepiej by było nie owijać w bawełnę? Trudno powiedzieć. Verhaven nie należał do facetów łatwych w użyciu.

Zajęła pozycję koło pomnika przy Zwille, skąd miała widok zarówno na jego ciężarówkę, jak i na dolną część rynku. Usiadła na jednej z ławek pod posągami Torresa, zapaliła papierosa i zaczęła czekać. Blade jesienne słońce wzniosło się ponad dachami domów i grzało jej plecy i kark ciepłymi promieniami, przepełniając ją mimo wszystko nadzieją. Nagle znowu stała się kotką wygrzewającą się na słońcu, a kiedy spostrzegła rzucane ukradkiem spojrzenia przechodzących obok mężczyzn, odruchowo poprawiła na sobie ubranie – zdjęła szal, rozpięła guzik bluzki, rozchyliła kolana o dokładnie tyle centymetrów, by każdy facet godzien tego imienia bezwiednie zwrócił na to uwagę...

To ja, pomyślała. Po to zostałam stworzona i jestem w tym lepsza od każdej innej kobiety na świecie.

Była w tym lekka przesada, zdawała sobie z tego sprawę, ale w tym momencie potrzebowała tyle wiary w siebie, ile tylko potrafiła sobie wmówić.

Spojrzała na zegarek.

Za dwadzieścia dziesiąta.

Zostały jej niecałe dwie godziny życia.

Pojawił się za piętnaście dziesiąta.

Natychmiast się podniosła. Przeszła przez ulicę i wpadła na niego, gdy akurat wychodził zza rogu.

– Leo! – wykrzyknęła, mając nadzieję, że wyda mu się dokładnie tak zaskoczona, jak zamierzała.

Zatrzymał się. Skinął głową we właściwy sobie, gburowaty sposób. Jakby mu przeszkodziła w jakichś ważnych rozmyślaniach albo w interesujących rozważaniach. Kąciki jego ust uniosły się jednak o milimetr. Może więc była nadzieja.

Podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. Nie przestawała się uśmiechać. Kochali się ze sobą... policzyła szybko, zastanawiając się jednocześnie, co powinna teraz powiedzieć... sześć razy. On był z gatunku tych gorących; nie obchodziły go żadne gry wstępne, romantyzm i różne takie. Łatwy do uruchomienia, trudny do prowadzenia, jak mawiała jej przyjaciółka Nellie.

– Dokąd zmierzasz? – spytała.

Verhaven wzruszył ramionami. Wyraźnie nie miał nic ważnego do załatwienia.

– Może moglibyśmy się spotkać?

– Dzisiaj?

– Tak. Zaraz jestem umówiona z koleżanką, ale może potem?

Znowu wzruszył ramionami. To nie był dobry znak, nie miała jednak wyboru.

– Mam mały problem.

– Naprawdę? – rzekł.

Zawahała się. Zrobiła smutną minę, głaszcząc go jednocześnie po

ręce.

– Co za problem?

– Brakuje mi pieniędzy.

Milczał. Patrzył w pustkę ponad jej ramieniem.

– Pomożesz mi?

– Dobre pytanie. Idealne proporcje między prośbą a dumą. Ile?

– Dwa tysiące guldenów.

– Idź do diabła.

Jęknęła.

– Kochany Leo...

– Nie mam czasu.

Chwyciła go także drugą ręką. Przysunęła twarz blisko jego twarzy.

– Cholera, Leo, od tego tyle zależy. Oddam ci co do jednego...

– Puść mnie!

Uwolnił się z jej uchwytu. Ona cofnęła się o krok. Zagryzła mocno wargi i w ciągu zaledwie kilku sekund w jej oczach pojawiły się łzy.

– Leo...

– Powodzenia.

Odepchnął ją na bok i ruszył przed siebie.

– Leo!

Nawet się nie zatrzymał. Szedł dalej prosto, a potem skręcił w Kreugerlaan. Niech to szlag.

Szlag by to trafił!

Jej łzy były teraz niemal prawdziwe. Kilka razy kopnęła w coś nogą i zacisnęła zęby. Cholera!

Tuż obok zatrzymał się jakiś samochód. Kierowca przechylił się na prawo i odsunął szybę.

– Zabierzesz się ze mną?

Nie zastanawiając się wiele, otworzyła drzwi i wsiadła do środka.

Kiedy już wytarła sobie łzy podaną przez niego chusteczką, zobaczyła, z kim ma do czynienia.

Spojrzała na zegarek.

Za dziesięć dziesiąta.

Może się jeszcze wszystko ułożyć.

X

23–28 maja 1994

– Zawieszamy sprawę!

Szef policji oberwał z fikusa suchy liść. Van Veeteren westchnąwszy, przyglądał się postaci w granatowym garniturze stojącej na rozmytym zielonym tle. Niech to szlag, zaklął w duchu.

Chociaż oczywiście nie było to zaskoczeniem.

Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Kolejny liść został poddany wnikliwej analizie. Komisarz spojrzął w inną stronę. Ze wzrokiem wbitym w na wpół zużytą wykałaczkę czekał na dalszy ciąg, ale ten nie nastąpił. A przynajmniej nie od razu. Hiller zsunął sobie okulary na czoło i dalej zajmował się liśćmi. Van Veeteren westchnął jeszcze raz; botaniczne upodobania szefa policji stanowiły stały temat rozmów na niższych piętrach komendy policji w Maardam. Istniało wiele teorii. Niektórzy uważali, że to jednoznaczny substytut jego uwiedłego życia uczuciowego – elegancka pani Hiller rzekomo po piątym dziecku powiedziała stop – podczas gdy inna frakcja skłaniała się ku pogładowi, że zielone kulisy służą do umieszczenia i zamaskowania ukrytych mikrofonów, które skrzętnie rejestrują każde słowo wypowiedziane w tej solidnej kwaterze głównej. Inspektor Markovic z dochodzeniówki głosił czasami tezę o niedostatecznym treningu czystości, jednak przeważająca większość, podobnie jak Van Veeteren, zadowalała się stwierdzeniem, że szef policji sprawdziłby się o wiele lepiej jako ogrodnik.

Superogrodnik w garniturze? – zadał sobie w duchu pytanie, wtykając wykałaczkę w szczelinę między podłokietnikiem a siedzeniem fotela obitego skórą. Czemu nie? Im więcej czasu Hiller poświęcał swo-

im roślinom doniczkowym i im mniej mieszał się do pracy, tym lepiej. Lepiej zostawić małpę w dżungli, zwykł mawiać Reinhart. Wtedy wszyscy mają spokój.

Jednak tym razem małpa postanowiła się wtrącić. Van Veeteren pogładził ostrożnie swoją pooperacyjną bliznę.

– Wierutna bzdura – powiedział.

Czuł bowiem, że oczekiwano od niego jakiegoś komentarza. Hiller odwrócił się w jego stronę.

– Co masz na myśli?

– Mam naprawdę powiedzieć dosadniej? – spytał Van Veeteren, oczyszczając sobie nos.

Katar w tych dniach pojawiał się i znikał. Może nabawił się alergii na te wszystkie dziwne rośliny; a może po pobycie w szpitalu ponowny kontakt z rzeczywistością okazał się dla niego zbyt dużym wyzwaniem.

Oczywiście jedno nie wykluczało drugiego. Szef policji podszedł do biurka i usiadł za nim.

– Mamy zwłoki – rzekł. – Bez głowy, rąk i nóg...

– Bez dłoni i stóp – poprawił go Van Veeteren.

– ...mające już dziewięć miesięcy. Po pięciu tygodniach pracy udało się wam ustalić, że być może są to zwłoki Leopolda Verhavena, dwukrotnie skazanego za zabójstwo kobiet. Jednego z najbardziej znanych przestępców w tym kraju. Poza tym nie macie nic.

Komisarz złożył swoją chustkę do nosa.

– Jedyna hipoteza trzymająca się kupy – ciągnął Hiller, wyginając jednocześnie błyszczący złoty spinacz biurowy – mówi, że chodzi o bliżej nieokreślone wewnętrzne porachunki i zemstę. Jakiś znajomy z więzienia czekał na niego po zwolnieniu i z jakiegoś powodu go zamordował... może po bijatyce, a może przez czysty zbieg okoliczności. Tak czy inaczej, byłoby brakiem odpowiedzialności z naszej strony dalsze ładowanie w to pieniądze. Mamy do wyjaśnienia pilniejsze przypadki niż tego rodzaju historie z kuchennych schodów.

– Wierutna bzdura – powtórzył Van Veeteren.

Hiller złamał spinacz, który trzymał w ręku.

– Może pan komisarz byłby, do cholery, tak uprzejmy i wyjaśnił

nam bliżej, co ma na myśli!

– Z przyjemnością – odparł Van Veeteren. – Dostałeś odpowiednie sugestie, tak?

– Jakie sugestie?

– W sprawie Verhavena.

Szef policji uniósł brwi, próbując zrobić zdziwioną minę. Van Veeteren prychnął.

– Zapominasz, z kim rozmawiasz – rzekł. – Słyszałeś o brzytwie Klimkego?

– O brzytwie Klimkego?

Teraz zdziwienie było nieudawane.

– Tak. Proste zasady postępowania podczas prowadzenia cywilizowanej i inteligentnej rozmowy.

Hiller milczał. Van Veeteren odchylił się wygodnie w fotelu i przymknął na chwilę oczy, po czym, odchrząknawszy, mówił dalej.

– Główna zasada to równowaga. Nie możesz wymagać od swojego rozmówcy więcej, niż sam jesteś gotów dać. Osoby mające kompetencje decyzyjne, ludzie władzy i zwykli karierowicze lubią zawsze błyszczyć pozorami demokracji... Właściwie cholera wie dlaczego, ale w mediach wygląda to faktycznie całkiem nieźle. Chcą wywołać wrażenie, że to, co mówią, jest wspólną refleksją albo wynikiem dialogu, a tak naprawdę oni po prostu wydają polecenia. Widocznie kryje się w tym nieokreślona przyjemność, nawet dawni nazistowscy koryfeusze chętnie wygłaszali swoje teksty właśnie w ten sposób... łagodnym i ojcowskim tonem, a jednocześnie kręcili jedwabny sznur... Nie bierz oczywiście tego do siebie...

– Dosyć tego! – parsknął Hiller. – Wyjaśnij, do cholery, o co ci chodzi! Otwartym tekstem, jeśli łaska.

Van Veeteren wyłowił z kieszeni na piersi kolejną wykałaczkę.

– Pod warunkiem że twoje odpowiedzi też będą jednoznaczne.

– Oczywiście – odparł szef policji.

– No dobrze. Właściwie możesz odpowiadać tylko „tak” albo „nie”. Według mojej oceny sprawa wygląda następująco: Leopold Verhaven został zamordowany. Wszystkim zainteresowanym – mam tu na myśli głównie wymiar sprawiedliwości, policję, opinię publiczną i jej głębo-

ko zakorzeniony szacunek dla naszego lepiej czy gorzej funkcjonującego systemu prawnego i wszystkiego, co się z nim łączy – byłoby o wiele łatwiej przyjąć do wiadomości, gdybyśmy mogli powiedzieć, że mamy tu do czynienia po prostu z porachunkami między łotrami i oszustami i z niczym więcej. Sprawa załatwiona, zapomniana i idziemy dalej. Nie zwracamy sobie głowy tym starym okaleczonym recydywistą i skupiamy się na czuwaniu nad porządkiem społecznym i tego rodzaju podobnymi mitami...

– Ale? – przerwał mu Hiller.

– Jest pewien haczyk – odpowiedział Van Veeteren.

– Jaki?

– Tu nie chodzi o żadne porachunki między łotrami.

Hiller milczał.

– Leopold Verhaven został zamordowany dlatego, że nie był winny żadnego z tych zabójstw, za które go skazano, a ponadto wiedział, kto jest prawdziwym mordercą.

Minęło dziesięć sekund. Odezwały się dzwony w Oudeskerk. Hiller splótł dłonie na skórzanej podkładce leżącej na biurku.

– Jesteś w stanie to udowodnić? – spytał.

– Nie – odparł Van Veeteren. – A już na pewno nie, jeśli zawiesimy dochodzenie.

Hiller zaczął pocierać kciuki jeden o drugi, usiłując jednocześnie zmarszczyć czoło.

– Wiesz równie dobrze jak ja – powiedział po chwili – że w pewnych okolicznościach... w pewnych okolicznościach korzyść społeczna jest po prostu najważniejsza. Jeśli teraz, wbrew wszelkim oczekiwaniom, udałoby ci się wytropić nowego mordercę w tej starej historii, to kto by się z tego cieszył?

– Ja – odpowiedział Van Veeteren.

– Ty się nie liczysz – odparł Hiller. – Ale weź pod uwagę wszystkich pozostałych zainteresowanych i zastanów się, czy coś by na tym zyskali. Sprawdźmy po kolei! Zamordowane kobiety? Nie! Verhaven? Nie! Policja i sąd? Nie! Opinia publiczna i poczucie sprawiedliwości? Nie!...

– Zabójca? Nie! – wszedł mu w słowo Van Veeteren. – Nie zapomi-



naj o nim. On będzie się cieszyć najbardziej, jeżeli uda mu się z tego wywinąć. Popęlnia trzy morderstwa i nie trafia za kratki... super. Naprawdę super!

Hiller zsunął okulary z powrotem na nos. Przechylił się przez biurko i odczekał kilka sekund.

– Nie ma innego mordercy niż Verhaven – oświadczył z naciskiem.  
– Sprawę zamykamy z braku śladów i konkretnych dowodów. Zamykamy!

– Innymi słowy, wydajesz mi polecenie pozostawienia na wolności potrójnego zabójcy?

Szef policji nic nie odpowiedział. Usiadł znowu prosto w fotelu, komisarz zaś wstał ze swojego miejsca. Włożył ręce do kieszeni i przenosząc ciężar ciała raz na palce, raz na pięty, zaczął balansować w przód i w tył.

Trwało to dobrą chwilę.

– A wiesz, że tak jest? – spytał w końcu Hiller.

Van Veeteren pokręcił głową.

– Domyślam się. Jeszcze nie wiem.

– I domyślasz się też kto to?

Van Veeteren potaknął, po czym powoli ruszył w stronę drzwi. Szef policji znowu potarł kciuki ze wzrokiem wbitym w blat biurka.

– Poczekaj – poprosił, gdy komisarz położył już dłoń na klamce. – Jeśli ty... jeśli rzeczywiście znajdziesz cokolwiek, co mogłoby być wystarczającą podstawą do wszczęcia procesu, to zmieni postać rzeczy. Jednak najgorsze, co by się nam mogło zdarzyć, to rozpocząć teraz coś, czego nie da się doprowadzić do końca. Oskarżony, który zostaje uniewinniony... mam nadzieję, że potrafisz sobie wyobrazić, co by się wtedy rozpętało? Tysiąc czterystu dziennikarzy, którzy najpierw wywnętrzają się, nie szczędząc jadu, na temat korupcji i błędu procesowego popełnionego w sprawie Verhavena, a potem wytrząsają się nad niekompetencją i nadużyciem władzy, i Bóg wie nad czym jeszcze... jeśli okazałoby się, że musimy puścić wolno prawdziwego mordercę, ponieważ zabrakłoby nam rzetelnych dowodów. Jesteś tego świadomy? Zdajesz sobie sprawę, jakiego piwa byśmy sobie sami nawarzyli?

Van Veeteren nie odpowiedział. Hiller siedział w milczeniu z zaci-

śniętymi szczękami, bawiąc się swoim zegarkiem. Następnie wstał i odwrócił się do komisarza plecami.

– Musisz sam się tym zająć. Münster od dzisiaj zostaje przydzielony do grupy Reinharta... ja nie chcę o niczym wiedzieć.

– Bardzo mi to odpowiada – rzekł Van Veeteren. – Poza tym ja jestem na zwolnieniu.

– Ale w razie czego to nie twoja głowa poleci, mam nadzieję, że tego też jesteś świadom. Akurat teraz nie chcę tu, do cholery, żadnego niepotrzebnego zamieszania.

– Zaufaj mi – rzekł Van Veeteren. – Zajmij się spokojnie swoimi roślinkami. Każdy powinien uprawiać własny ogródek.

– Słucham? – spytał szef policji.

To jak rzucanie pereł przed wieprze, pomyślał komisarz i wyszedł z pokoju.

– Czy mogłaby pani opowiedzieć o chorobie? – poprosił.

Kobieta wzięła na kolana zakatarzoną dziewczynkę i spojrzała na niego nieufnie.

Trudno się dziwić. Jego kamuflaż nie był dziełem mistrza. Pięćdziesięciosiedmioletni docent zamierzający napisać pracę naukową na temat określonych rodzajów uszkodzeń stawów biodrowych u kobiet, powstałych przy wydawaniu dziecka na świat! Co za oszałamiająca pomysłowość! Nawet nie zadał sobie trudu, żeby wcześniej zebrać trochę konkretnych informacji; próbował stworzyć pozory, że chodzi mu jedynie o dane statystyczne. Nazywał to socjologią medyczną. Przygotował ankietę, która oczywiście nie była nic warta pod względem merytorycznym, ale gdy trzymał ją lekko wystającą w segregatorze przed sobą, mimo wszystko wywoływała chyba wrażenie pewnego profesjonalizmu.

– Co chce pan wiedzieć? – spytała.

– Kiedy to się zaczęło?

– Jak się urodziłam, oczywiście.

Postawił krzyżyk na kartce.

– Od którego roku była przykuta do łóżka?

Zastanowiła się.

– Chyba od osiemdziesiątego drugiego. Już tak całkowicie. Wcześniej też większość czasu leżała, ale nie przypominam sobie, żeby po Bożym Narodzeniu w osiemdziesiątym pierwszym kiedykolwiek jeszcze wstała czy zrobiła krok. Wyprowadziłam się z domu w czerwcu osiemdziesiątego drugiego...

– Czy używała kiedykolwiek laski?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Nigdy.

– Czy po wyprowadzeniu się z domu miała z nią pani częsty kontakt?

– Nie. Ale co to ma wspólnego z ankietą?

Ugryzł się w język.

– Chcę tylko mieć pewien obraz relacji – wyjaśnił i zaznaczył kolejny krzyżyk. – Czyli mówi pani, że była całkowicie unieruchomiona od osiemdziesiątego drugiego aż do swojej śmierci?

– Tak.

– A gdzie mieszkała w tych ostatnich latach?

– W Wappingen. W małym mieszkanku razem z pewną siostrą miłosierdzia. Rozwiodła się z moim ojcem, przypuszczam, że nie chciała być dla niego dłużej ciężarem... takie mam wrażenie.

– Czy odwiedzała ją pani?

– Tak.

– Jak często?

Ponownie się zastanowiła. Dziewczynka zaczęła marudzić. Zsunęła się na podłogę i ukryła się przed jego spojrzeniem.

– Byłam tam trzy razy. To bardzo daleko – dodała jakby na swoje usprawiedliwienie.

– A jej stan?

– Co pan ma na myśli?

– Jak ona się wtedy czuła?

Wzruszyła ramionami.

– Jak zwykle. Wydała mi się może trochę pogodniejsza.

– Ale była wciąż przykuta do łóżka?

– Oczywiście.

Cholera, coś tu się nie zgadza, pomyślał Van Veeteren.

Kiedy wszedł w ostre światło słoneczne, zakręciło mu się w głowie. Krótco, ale tak mocno, że musiał chwycić się żelaznego ogrodzenia biegnącego wzdłuż szeregu segmentów. Przymknął oczy i próbował odzyskać równowagę.

Muszę napić się piwa, przeszło mu przez głowę. Piwo i papieros.

Dziesięć minut później znalazł wolny stolik pod platanem. Opróżnił wysoką szklanę w dwóch haustach i zamówił następną. Zapalił papierosa i oparł się wygodnie o krzesło.

Niech to szlag, zaklął znowu pod nosem. Co tu, u diabła, nie gra?

Jak daleko może być do Wappingen?

Ze dwieście kilometrów? Co najmniej.

Ale gdyby wcześniej położył się spać, to chyba dałby radę przejechać dwieście kilometrów? Z przerwami i postojami, no i w ogóle ostrożnie? W gruncie rzeczy gdyby nawet musiał tam przenocować, też nic by się nie stało. Ostatnio nie brakuje mu czasu. Wręcz przeciwnie.

Sprawdził adres w swoim segregatorze.

Najlepiej będzie zadzwonić i umówić się na spotkanie, tak na wszelki wypadek.

Właściwie nie musi wcielać się w inną rolę, skoro ta odgrywana do tej pory raczej dobrze się sprawdza?

Przyniesiono mu piwo numer dwa. Natychmiast spił z niego piankę.

Co za przekłeta historia, pomyślał. Chyba nigdy do tej pory nie miałem cieńszego tropu?

Ale dobrze przynajmniej, że nikt poza mną nie jest włączony w tę sprawę.

– Po co my tutaj przyszliśmy? – spytał Jung.

– Żeby na przykład coś zjeść – odpowiedział Münster. – Siadaj i stary się wyglądać tak, jakbyś czuł się tu jak u siebie w domu.

Jung zajął ostrożnie miejsce, po czym rozejrzał się po eleganckim lokalu.

– To nie takie proste – stwierdził. – Ale o co chodzi? Domyślam się, że nie siedzimy w tej najdroższej restauracji w mieście po to, żeby dobrze się zaprezentować.

– Widzisz tego typa w granatowym garniturze koło fortepianu? – spytał Münster.

– Tak – potwierdził Jung. – Nie jestem ślepy.

Według Reinharta to jedna z ważniejszych postaci ruchu neonazistowskiego... nazywa się Edward Maseck.

– Nie wygląda na kogoś takiego.

– To prawda, i wcale nie jest znany – dodał Reinhart. – Ale sporo by się na niego znalazło. Maczał palce w niejednym gównie. Podpalenia w domach dla uciekinierów. Burdy uliczne i różne inne rzeczy. Teraz siedzi tutaj i czeka na swój kontakt z wielkich finansów, naprawdę grubą rybę. Nie wiemy kto to, ale kiedy już się pojawi, mamy pozwolić im spokojnie posiedzieć jakiś kwadrans i wymienić się papierami. Potem ty wyjdiesz i zadzwonisz z holu, a ja podejść do nich i obu zatrzymam. Reinhart i paru innych czekają w dwóch samochodach za rogiem.

– Aha – odpowiedział Jung. – A dlaczego Reinhart nie robi tego sam?

– Masseur by go rozpoznał – wyjaśnił Münster. – No to teraz coś przekąsimy. Co by pan aspirant powiedział na odrobinę musu z homara jako przekąskę?

– Właściwie to jadłem go już dzisiaj na śniadanie, ale może jeszcze trochę wcisnę.

– A ta sprawa Verhavena – odezwał się Jung, gdy czekali na główne danie. – Co z nią?

Münster wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ja też zostałem z niej wyłączony. Wygląda na to, że góra nie chce angażować w to więcej zasobów. To nawet dosyć zrozumiałe.

– Dlaczego?

– Chyba boją się grzebani w starych postępowaniach sądowych. Mogłoby się rozpętać piekło, gdyby się okazało, że ten Verhaven był niewinny... Przynajmniej w prasie i w telewizji.

Jung podrapał się po karku.

– A co na to komisarz?

Münster zawahał się nieco.

– Nie wiem. Jest nadal na zwolnieniu. Ale wiadomo, że nie siedzi w domu i nie kręci młynków palcami.

– Czy to prawda, że ma kogoś na celowniku? Coś takiego przebakowali wczoraj po południu w kantynie. Podobno prawdziwego sprawcę?

Widać było, że Jung nie jest w stanie zapanować nad swoją ciekawością i że miał to pytanie na końcu języka od momentu, gdy tylko usiedli w restauracji.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – powiedział Münster. – Pojechałem z nim do Kaustin, jak tylko wyszedł ze szpitala... Kręcił się tam na górze jakąś godzinę czy dłużej, a potem wyglądał, jak... no wiesz.

Jung skinął głową.

– To swoją drogą niesamowite – rzekł. – Przeczესujemy w czterech czy w pięciu tę wieś przez parę tygodni i nie znajdujemy niczego, co miałoby jakieś znaczenie, a on jedzie tam i już po godzinie natrafia na jakiś trop. Tak? Uważasz, że to w ogóle możliwe?

Münster zastanowił się chwilę.

– A ty jak myślisz? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Ty znasz go najlepiej.

To prawda, przyznał w duchu Münster. Chociaż czasami miał poczucie, że im bardziej zbliża się do Van Veeterena, tym mniej go rozumie i jego wnętrze staje się coraz bardziej niezgłębione.

– Trudno powiedzieć – rzekł. – Jedno jest pewne: on ma coś w zanadru. Ale kiedy widziałem się z nim ostatnio, bąknął coś o słabym tropie... i o tym, jak długo tustawy policjant może tkwić w pajęczej sieci i takie tam. Nie sprawiał wrażenia specjalnie rozentuzjasmowanego, ale przecież obaj wiemy, jaki on jest...

– Wiemy, wiemy – przytaknął Jung. – Nie ma drugiego takiego jak on.

W jego głosie dał się wyraźnie zauważyć ton podziwu. Münster żałował, że nie ma możliwości, by w jakiś sposób przekazać to komisarzowi. Choć w tym samym momencie przeszła mu przez głowę myśl, że może nie jest to wcale takie nierealne. Od tej historii z rakiem Van Veeterena miał bowiem czasami poczucie, że ich współpraca i wzajemna komunikacja stopniowo zyskują inne podstawy. Zaczynają opierać się na równorzędności i wzajemnym szacunku. Czy jak by to nazwać.

Mimo niezgłębionej tajemnicy jego prawdziwej natury. Poza tym ten proces dopiero się zaczął.

– No nie ma – potwierdził. – Van Veeteren to Van Veeteren. – Zerknął w stronę fortepianu. – Dlaczego jeszcze nikt się nie pojawił? Reinhart stawiał na godzinę pierwszą. A jest już dwadzieścia po.

– Nie mam pojęcia – powiedział Jung. – Ale właśnie niosą nam naszą solę. Hmmm!

Trzy kwadranse później Edward Maseck wstał od stolika, przy którym cały czas siedział w pojedynkę. Choć Jung właśnie zamówił dodatkową porcję kandyzowanych orzechów włoskich, postanowili szybko zapłacić i wyjść do kolegów, żeby zdać im relację.

– Szlag by to trafił – powiedział Reinhart, kiedy zrozumiał, że z łupu nici. – Jak to możliwe?

– Proszę – rzekł Münster, wręczając mu rachunek.



Reinhart gapił się na błękitną kartkę.

– Tego już naprawdę za wiele – stwierdził. – Stauff i ja siedzieliśmy przez dwie godziny w samochodzie i musieliśmy się zadowolić napoczętą torebką orzeszków ziemnych.

– Ale to wszystko było pyszne – rzucił Jung z tylnego siedzenia. – Może nie od rzeczy byłoby spróbować jutro jeszcze raz?

Symfonia Dvořaka z *Nowego Świata* towarzyszyła mu niemal przez całe ostatnie sto kilometrów i również tym razem okazała się właściwym wyborem. W miarę upływu lat wykształcił się w nim pewien zmysł równowagi, dzięki któremu potrafił stworzyć harmonię między zadaniem do wykonania, porą roku lub pogodą i muzyką. Istniały ruchy wznoszące i opadające, którym należało się podporządkować, zamiast się im przeciwstawiać. Prądy i analogie, które ze sobą współgrały; uzupełniały się i wzajemnie uwydatniały... czy jak to zwał. Trudno jest ująć to w słowa i objaśnić. O wiele łatwiej poczuć.

Tak, z upływem lat nawet coraz łatwiej. Ale podczas tych lat nasiliła się także jego nieufność wobec słów. Co oczywiście nie było zaskoczeniem, biorąc pod uwagę codzienne środowisko pracy, w którym raczej wyjątkiem niż regułą jest trzymanie się prawdy.

Język jest kłamstwem, jak to ktoś powiedział.

Z *Nowego Świata*. W miarę jak chmury rozstępowały się na niebie i popołudniowe słońce osuszało kałuże po uporczywym nocnym i porannym deszczu, on był coraz bliżej celu. Obawy przed zawrotami głowy i poczuciem niepewności na drodze na szczęście się nie potwierdziły. Ale i tak często robił pauzy; siedział przy kawie i ciastku w ponurych parkingowych bunkrach z betonu i brudnego szkła, robił krótkie przechadzki, rozprostowywał nogi, a nawet wykonywał niektóre ćwiczenia gimnastyczne z programu pooperacyjnego, który we tknięto mu do ręki razem z wypisem ze szpitala.

Poza tym odmawiał sobie alkoholu i papierosów. Chciałby się już znaleźć w domu. I to bardzo.

Zapas wykałaczek skończył się szybciej niż Dvořak.

Zaparkował na niewielkim placyku o nieregularnym kształcie, który nazywał się Cazarros plats. Rozglądając się za jakimś znośnym miejscem, gdzie dałoby się coś zjeść, zastanawiał się, kim też mógł być ów Cazarro. Sądząc po nazwisku, to chyba raczej jakiś konkwistador niż północnoeuropejski mąż stanu.

Między domem towarowym a biurowcem w stylu lat pięćdziesiątych znalazł niewielką włoską restaurację specjalizującą się w pizzy i makaronach. Postanowił, że musi się tym zadowolić. Jest umówiony na spotkanie z siostrą Marianne na godzinę piątą, czyli nie ma zbyt wiele czasu.

A poza tym nie na jedzeniu mu przede wszystkim zależało, tylko na kieliszku czerwonego wina i na cygarku.

I na osiągnięciu koncentracji przed tym, co go czeka. Co prawda przeprowadził już niejedną trudną i niewygodną rozmowę, tym razem jednak dochodziło coś jeszcze, z czego zdał sobie sprawę już rano, gdy wyruszał w drogę. Coś, nad czym stracił kontrolę chyba dość dawno temu.

Gra, w której on jest na pewno bardziej pionkiem niż graczem.

W gruncie rzeczy to żadne nowe doświadczenie; jedynie przejaw albo wariant starej koncepcji deterministycznej. Owo nieuchronne pytanie o wzorzec i porządek istnienia. O to, czy entropia rośnie, czy maleje.

Nie, te rozważania nad przypadkowością bytu, którymi bawił się jeszcze nie tak dawno, teraz nie wzbudzały w nim większego entuzjazmu.

Jeśli bowiem istnieje jakiś stwórca czy moc – albo przynajmniej wszechwidzące oko – to owa wielka postać musi widzieć ze swej wyniesionej pozycji linię, żyły czasu i przestrzeni. Owe z perspektywy żaby niepojęte struktury.

I wzajemne zależności, i konsekwencje wszelkich działań. Bo bez nich dostrzeżenie czegokolwiek jest niemożliwe. To one powinny stanowić dla owego bóstwa właściwe kategorie.

Wzorcy.

A jeśli nie ma żadnej wyższej istoty – czy stanowiłoby to właściwie jakąkolwiek różnicę?

Jak to było z Anzelem i dowodem na istnienie Boga? Chyba nigdy nie udało mu się zrozumieć do końca jego istoty.

Grzebał gorączkowo w kieszeni w poszukiwaniu choćby jednej wykałaczki, ale przypomniał sobie, że się skończyły, wobec czego zapalił papierosa.

Czy jednak mimo wszystko nie może istnieć jakiś wzorzec, podobnie jak od zawsze istnieją helisy DNA i kryształki płatków śniegu, niezależnie od tego, czy istniał, czy też nie istniał obserwator?

Co jakąś tam cząsteczkę może obchodzić kamera? – pomyślał.

Dobre pytania. Nieustannie powracające pytania. Odłożył cygaretkę. Grzebał niechętnie w podanym mu fettuccine i popijał czerwone wino. W ostatnim czasie z jakiegoś powodu nie miał apetytu. Czy odpowiadał za to wycięty kawałek jelita, czy coś innego – nie wiadomo.

Sprawiedliwość to zupełnie inny aspekt.

Prostszy i łatwiejszy do sterowania, tak zawsze uważał, chociaż nigdy nie był zmuszony poddawać tego przekonania decydującej próbie. Mimo ponad trzydziestu lat w zawodzie.

Narzędzie sprawiedliwości. Podchodząc do rzeczy poważnie, tak właśnie powinien na siebie patrzeć. Może to brzmi trochę przesadnie, wręcz patetycznie, ale on w końcu się tym nie chełpi. To wyłącznie jego prywatny motyw działania, ale piekielnie ważny.

Jeśli chce uzasadnić własną egzystencję i wykonywaną profesję, musi niekiedy głęboko pogrzebać, tego już zdążył się nauczyć. Głęboko i jeszcze głębiej, jakby mury nośne, same fundamenty były zalewane co roku nową, coraz grubszą warstwą gliny i brudu z podziemnego świata, z którym on codziennie ma do czynienia.

Tak to mniej więcej wygląda.

Ale na samo zasadnicze pytanie nie znalazł jeszcze odpowiedzi. Sformułował je kilka lat temu w związku ze sprawą G. Nie wydawało się specjalnie skomplikowane: czy byłbym gotów wziąć wszystko we własne ręce, jeśli zawiodłyby instytucje i prawo?

Jeżeli zatem miałby przed sobą mordercę czy innego niebezpiecznego przestępcę i wiedziałby ze stuprocentową pewnością, że ten czło-

wiek jest winny, co byłoby moralnie właściwsze: puścić go z braku dowodów czy samemu wymierzyć sprawiedliwość?

Zaciągnął się papierosem.

Istniało oczywiście mnóstwo przypadków szczególnych, a ich konsekwencje były nie do przewidzenia. Wiele razy zastanawiał się nad tym teoretycznym pytaniem i może powinien być wdzięczny, że tak długo nie stanął przed nim naprawdę.

Chociaż już niewiele brakowało. Siedem lat temu, w Linden.

I raczej nic na to nie wskazuje, że zetknie się z nim tym razem.

Chociaż kto wie?

Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że powinien już zapłacić i iść, jeśli nie chce kazać zakonnicy na siebie czekać.

Mieszkanie było pomalowane na biało i oszczędnie urządzone. Znajdowały się w nim tylko niezbędne meble i sprzęty; w dużym pokoju, do którego go wprowadziła, stała jedynie niska leżanka, dwa pufy i stół; w rogu zauważył regał na książki i klęcznik. Na ścianie wisiał krzyż i dwa mosiężne świeczniki ze zwykłymi świecami. Obraz przedstawiający kościelny witraż, prawdopodobnie z Chartres. I to wszystko.

Żadnego telewizora, żadnych foteli, żadnych błyskotek. Na podłodze duży dywan w ciemnym kolorze.

Ładnie, pomyślał Van Veeteren, siadając na leżance. Tylko to, co istotne. Nieodzowne.

Poczęstowała go herbatą z glinianego dzbanka. Zwyczajne, proste kubki bez ucha. Byle jakie ciastka. Nie podała cukru ani mleka. Nawet go nie spytała, czy chce. Ale on i tak by podziękował.

Była stara; co najmniej piętnaście lat starsza od niego, ale aż biły od niej witalność i jasność umysłu. Van Veeteren zdał sobie sprawę, że ma przed sobą człowieka, któremu należy się szacunek większy niż każdemu innemu. Ogarnął go dobrze mu znany respekt, jaki zawsze budzili w nim ludzie głęboko religijni, przybliżający się do odpowiedzi na pytania, które on ledwie był zdolny sformułować... respekt, który w równie naturalny sposób mógł się przekształcić w swoje przeciwieństwo, pogardę i odrazę, wobec czegoś wręcz odwrotnego: bez-

myślnych stad posłusznie i głośno beczących owieczek. Bezmyślnych wyznawców powierzchownej pobożności.

Zdażył ocenić jej przymioty, już gdy uścisnęli sobie dłonie; była to szczupła, prosto trzymająca się kobieta o poważnym i żywym spojrzeniu brązowych oczu i o wysokim czole. Zajęła miejsce dokładnie naprzeciwko niego. Miętko zgiąwszy kolana, usiadła na jednym z puffów. Kiedy na azjatycką modłę podciągnęła nogi pod siebie, przeszło mu przez głowę, że mogłaby uchodzić za dwudziestopięcioletnią budystkę. Tymczasem jest trzy razy starszą katolicką siostrą zakonną.

– Proszę – powiedziała.

Pociągnął łyk pachnącej dymem herbaty i sięgnął po swój segregator, który położył na podłodze.

– Chciałabym prosić, żeby jeszcze raz wyjaśnił mi pan cel pańskiej wizyty.

Skinął uprzejmie głową. Zdał sobie sprawę, że jego segregator i ankieta stanowią czystą obrazę. Ostrze brzytwy, o której nie bez wyższości wspomniał nie tak dawno w rozmowie z szefem policji, wymierzone było teraz przeciwko niemu i nikomu innemu.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Nazywam się Van Veeteren, ale nie jestem tą osobą, za którą się podawałem. Jestem komisarzem policji kryminalnej z Maardam... chodzi o pewną historię, ale wolałbym nie ujawniać jej szczegółów. Czy wystarczy siostrze moje zapewnienie, że mam dobre zamiary w złej sprawie?

Uśmiechnęła się.

– Tak – odparła. – Rzecz dotyczy Anny, jeśli dobrze zrozumiałam.

Komisarz skinął głową.

– Mieszkała tutaj przez ostatnie lata przed śmiercią, prawda? Od osiemdziesiątego siódmego do dziewięćdziesiątego drugiego, zgadza się?

– Tak.

– Siostra się nią opiekowała?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dlatego że takie jest moje powołanie. W ten sposób pracujemy w naszym zakonie. Tak tworzymy sens. I miłość między ludźmi...

Anna zwróciła się do nas, jest nas około dwudziestu, a ja akurat by-  
łam wolna.

Zastanowił się chwilę.

– Domyślam się, że... siostra stała się dla niej osobą bardzo bliską?

– Obie wiele dla siebie znaczyłyśmy.

– Ufałyście sobie?

– Naturalnie.

– Czy mogłaby siostra opowiedzieć o jej chorobie?

– A co chce pan wiedzieć?

– Czy na przykład przez cały czas była przykuta do łóżka?

Zauważył, że siostra chyba już wie, jak ta rozmowa powinna prze-  
biegać dalej, ale być może nie miało to większego znaczenia.

– Później nastąpiła poprawa.

– Poprawa?

Nagle kobieta spoważniała.

– Tak, panie komisarzu. Nastąpiła poprawa. Rozumie pan chyba, że  
jej dolegliwość nie tkwiła tylko w biodrach. Istnieje jeszcze dusza.

– Słyszałem o tym – odparł Van Veeteren z niezamierzoną ironią. –  
Ale co siostra chce przez to powiedzieć?

Zakonnica zaczerpnęła głęboko powietrza i wyprostowała plecy.

– Niezależnie od tego, czy jest pan wierzący, czy nie, być może zgo-  
dzi się pan ze mną, że wiele zjawisk cielesnych ma też swój aspekt  
psychiczny. Duchowy.

Wypowiedziała te słowa niezwykle powoli, jakby sformułowała je  
już wcześniej, a teraz chciała mieć jedynie pewność, że żadne z nich  
nie ujdzie jego uwadze.

– Czy mogłaby siostra to bliżej wyjaśnić? – poprosił.

– Lepiej nie. To kwestia zaufania. Niewypowiedzianej, ale nie mniej  
wiążącej obietnicy. Jestem pewna, że pan mnie rozumie.

– Chce siostra powiedzieć, że obowiązuje siostrę dyskrecja?

– W pewnym sensie.

Skinął głową.

– Ale kiedy ta rana duchowa się zabiłżniła, poprawił się także jej  
stan fizyczny?

– Tak.

– Na ile? Czy mogła poruszać się przy użyciu... chodzika czy kul na przykład?

– Tak.

– Wychodziła?

– Każdego dnia wyprowadzałam ją na spacer na wózk.

– Ale sama nie wybierała się nigdzie?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Popatrzył w okno obok niej.

– Czy mogłaby siostra opowiedzieć, co robiłyście piątego czerwca dziewięćdziesiątego drugiego roku? – spytał.

– Nie.

– A czy wie siostra, jakie plany na ten dzień miała Anna?

Siostra Marianne nie udzieliła odpowiedzi, tylko spojrzała na niego swymi łagodnymi brązowymi oczami bez cienia niepokoju czy zakłopotania.

– Jak daleko jest stąd do Ulmentahl?

– Dwadzieścia pięć kilometrów – odparła bez wahania.

Dopił resztę herbaty. Oparł się o ścianę i poczekał, aż ponad niskim stolikiem zalegnie absolutna cisza. To ciekawe, jak dużo informacji można przekazać milcząc, pomyślał. Mógłby postawić teraz ważne pytania, to byłby normalny tok postępowania... I choć nie uzyskałby na nie odpowiedzi, i tak był przyzwyczajony do odczytywania niuansów ze słów niewypowiedzianych. Tutaj jednak wszystko przebiegało inaczej; ta niemal sterylna sytuacja różniła się o niebo od normalnego żargonu. Przez chwilę poczuł znowu, jak kręci mu się w głowie. Być może nie było to następstwem operacji, ale świadczyło raczej o słabości, wyczerpaniu, intuicji mówiącej mu, że jest na najlepszej drodze, by stracić grunt pod nogami... albo oparcie w czymś, co jest wiadome tylko jemu. I za co ponosi pełną, nieuchronną odpowiedzialność.

– Ta rana na duszy – odezwał się w końcu. – Czy orientuje się siostra, jakie ona miała źródło?

– Anna nigdy mi o tym nie mówiła.

– Tak, wiem. Ale może siostra się domyśliła?

Kobieta znowu lekko się uśmiechnęła.

– Ja nie mogę w to wnikać, panie komisarzu. To już nie do mnie



należy.

Van Veeteren zawahał się moment.

– Siostra wierzy w boską sprawiedliwość? – spytał.

– Oczywiście.

– A w ziemską?

– W tę także. Przykro mi, że nie mogę panu nic ponadto powiedzieć, sądzą jednak, że pan już wie to, co chciał pan usłyszeć. Mnie nie przystoi zawodzić zaufania ani spekulować. Gdyby Anna chciała wtajemniczyć mnie we wszystkie swoje sprawy, toby mi o nich opowiedziała. Nie uczyniła tego. Gdyby zależało jej, abym przekazała to dalej, wiedziałabym o tym. Ale tak nie jest.

– Czyli to mnie przypadła rola Nemezis?

– Kto wie. Pański zawód też jest przecież powołaniem.

Westchnął.

– Czy mogę zadać osobiste pytanie niemające związku z tą sprawą?

– Oczywiście, bardzo proszę.

– Czy siostra wierzy w Boga wymierzającego karę?

Splotła dłonie na kolanach.

– Tak – odparła. – Wierzę, oczywiście.

– W jaki sposób on to czyni?

– Na różne sposoby. Za pośrednictwem ludzi.

– I uważa siostra, że on starannie wyszukuje swoje narzędzia?

– A dlaczegożby nie?

– To była tylko taka moja myśl – odpowiedział Van Veeteren.

Przecucia! – przeszło mu przez głowę, gdy w drodze powrotnej zrobił sobie przerwę i zatrzymał się na przydrożnym parkingu. Przecucia i powietrze.

Westchnął. Prokurator Ferrati chyba umarłby ze śmiechu, gdyby przyszedł do niego z czymś takim. Bez dwóch zdań.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zaczął bazgrać rządkiem kółek na marginesie wieczornej gazety, która leżała przed nim na stole. Przyglądał się powstającemu przed nim nieokreślonym wzorowi, usiłując jednocześnie podsumować wszystko na własny użytek:

*Jeżeli Verhaven był niewinny, nie można wykluczyć, że prawdzi-*

wym zabójcą jest ten, którego on teraz *podejrzewa*. *Niewykluczone* też, że niepełnosprawna, zmarła półtora roku temu Anna *przeczuwała* to. W każdym razie po dzisiejszym spotkaniu on ma *poczucie*, iż siostra Marianne *domyśliła się*, że to Anna odwiedziła Verhavena w więzieniu... i bardzo *możliwe*, że powiedziała mu, co o tym *sądzi*.

Boże drogi, pomyślał Van Veeteren, co za dedukcja!

W postaci schematu na skrawku pogniecionej gazety cały ten łańcuch myślowy wyglądał jeszcze żałośniej. Szereg niezdarnie nabazgrozonych kółek połączonych cieniutkimi jak pajęcza nić kreskami. Niech to szlag trafi! Namacalne dowody! Takich domagał się Hiller. Gdyby zobaczył to tutaj, podpisałby moje podanie o zwolnienie z pracy obie-  
ma rękami, pomyślał Van Veeteren.

A mimo to, mimo to wiedział doskonale, że tak właśnie było. Że tak właśnie to przebiegło. Morderca jest otoczony. Co do tego nie ma już wątpliwości. Sprawa jest jasna.

Nagle pojawił mu się przed oczami obraz Leopolda Verhavena. Verhaven jako młody chłopak, utalentowany i odnoszący sukcesy biegacz... szybki, silny i pełen życia; bliski znalezienia się w księdze rekordów... w samym środku naiwnych, optymistycznych lat pięćdziesiątych. W samym środku zimnej wojny, ale pod wieloma względami także czasu niewinności.

A później?

Jak to się skończyło?

Co za radykalny i nieodwołalny zwrot losu!

Czy los Verhavena nie miał w gruncie rzeczy wymiaru symbolu? Jaki to przedziwny splot okoliczności rozciągniętych na niemal pół stulecia, które w rezultacie doprowadziły do śmierci tego człowieka, a które on teraz próbuje przywołać w swej wyobraźni... właściwie jaki sens ma to grzebanie się w tamtych zapomnianych śmierciach? W nieudanym życiu?

Czy to rzeczywiście jest naturalna część jego pracy?

Kiedy tak siedział i patrzył na mrok zapadający ponad ciemnym skrajem lasu oraz smutną nitką autostrady, doszedł do wniosku, że tak naprawdę wszystko już dawno się skończyło. Że on jest ostatnim, zapomnianym żołnierzem albo aktorem w sztuce czy na wojnie, którą

inni porzucili wiele lat temu i nikt nawet w najmniejszym stopniu nie interesuje się jego staraniami i usiłowaniami. Ani inni wykonawcy, ani wrogowie, ani widzowie.

Dajcie sobie spokój z tym dochodzeniem, pomyślał.

Dajcie sobie spokój z komisarzem Van Veeterenem. Zaproponujcie remis albo odwróćcie szachownicę. Skończcie z tą bezsensowną py-szałkowatością. Morderca jest na wolności. I zostawcie go w spokoju!

Zapłacił i wrócił do samochodu. W skrytce z płytami CD wyszukał Monteverdiego i w tym samym momencie, gdy z głośników rozległy się pierwsze tony, od razu wiedział, że się nie podda. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Szlag by to trafił, bąknął pod nosem. Justitia czy Nemezis, co za różnica!

– Policja!

Na pół sekundy wyciągnął swoją legitymację służbową, a trzy sekundy później stał już w przedpokoju.

– Chciałbym zadać kilka pytań dotyczących zabójstwa Leopolda Verhavena, Marlene Nietsch i Beatrice Holden. Czy możemy porozmawiać tutaj, czy woli pan udać się z nami na komendę?

Mężczyzna zawahał się. Ale tylko chwilę.

– Proszę.

Przeszli do pokoju dziennego. Münster wyjął notes z pytaniami.

– Proszę powiedzieć, co robił pan dwudziestego czwartego sierpnia ubiegłego roku?

Wzruszył ramionami.

– Żartuje pan sobie? A skąd niby mam to pamiętać?

– Byłoby lepiej dla pana, gdyby spróbował pan sobie przypomnieć. Czy nie był pan przypadkiem w Kaustin?

– Na pewno nie.

– Czy miał pan jakiś powód, aby być wrogo nastawionym do Leopolda Verhavena?

– Wrogo nastawiony? Jasne, że nie.

– A czy on przypadkowo nie wiedział czegoś, co mogłoby być groźne dla pana?

– Co takiego na przykład?

– Czy jedenastego września osiemdziesiątego pierwszego roku przebywał pan w Maardam? W dniu, w którym została zamordowana Marlene Nietsch?

- Nie. Co to ma znaczyć?
- Czy tego ranka nie przebywał pan w pobliżu hali targowej? W okolicy Kreuger Plejn, Zwille i tak dalej?
- Nie.
- Mniej więcej około wpół do dziesiątej?
- Już powiedziałem, że nie.
- Jak może być pan tak pewny, co pan robił, a czego nie robił w dniu, od którego minęło trzynaście lat?
- Brak odpowiedzi.
- A sobota szóstego kwietnia sześćdziesiątego drugiego? Wtedy to wszystko się zaczęło, czyż nie?
- To jakieś insynuacje. Proszę zostawić mnie w spokoju.
- Czy nie odwiedził pan tamtego popołudnia Beatrice Holden? Podczas gdy Verhaven był poza domem w interesach?
- Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać tych bredni.
- Kiedy wygasło pożycie małżeńskie między panem a pańską żoną?
- A co, u diabła, ma to wspólnego z tą sprawą?
- Musiał szukać pan gdzie indziej zaspokojenia, prawda? Od kiedy pana żona została przykuta do łóżka. Prawdopodobnie były też jeszcze inne poza Beatrice Holden i Marlene Nietsch... dlaczego zabił pan akurat je dwie?
- Meżczyzna wstał z miejsca.
- A może zamordował pan więcej?
- Niech się pan stąd zabiera! Jeśli wydaje się panu, że dam się zastraszyć, to może pan powiedzieć swoim przełożonym, że nic z tego.
- Münster zamknął notes.
- Dzięki – powiedział. – Ta rozmowa wiele wyjaśniła.
  
- No tak, to chyba mógł być on – stwierdził Münster i usiadł naprzeciwko komisarza.
- Van Veeteren uniósł zasłonę.
- Uważaj na siebie – powiedział. – Nigdy nie wiadomo, do czego jest zdolny.
- Nie pójdzie z nim tak łatwo – dodał Münster. – On nie należy do tych, co pękają.

– Szlag by to trafił – odezwał się Van Veeteren. – Ale można powiedzieć, że daliśmy mu pierwsze ostrzeżenie.

Münster wiedział, że właśnie z tym zamiarem komisarz wysłał go tam jako forpocztę. Aby on mógł zachować swoje siły na ważniejszy, może decydujący cios.

Oczywiście to dobry pomysł, ale jednocześnie dzięki temu posunięciu morderca miał szansę przygotować się do obrony. Zwrócił na to uwagę komisarzowi, na co on tylko wzruszył ramionami.

– Bardzo możliwe – powiedział wreszcie. – Ale te przygotowania mogą go też zdradzić... tak czy inaczej, znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wie, że my wiemy. Tylko się zastanów. Jest jak szczur w pułapce. A my jesteśmy kotami, które siedzą przed nią i na niego czyhają.

– Nie mamy żadnych dowodów – rzucił Münster. – I raczej nie będziemy mieli.

– On tego nie wie.

Münster zastanowił się.

– Ale niedługo się domyśli. No bo jeśli wiemy, że on ma na sumieniu trzy morderstwa, to trochę dziwne, że go nie aresztujemy.

Van Veeteren z irytacją zgasił swoją cygaretkę.

– Przecież wiem – wymamrotał. – Wycięli mi kawałek jelita, Münster, a nie mózgu.

Zamilkli. Van Veeteren westchnął ciężko i wsunął między wargi wykałaczkę. Münster zamówił piwo i wyjął swój notes.

– Zadałeś mu tylko te pytania, które ci podałem? – spytał komisarz po chwili.

– Jasne – odparł Münster. – Ale jedna rzecz mnie ciekawi.

– Co takiego?

– Skąd on wiedział, że ona wyjawiała wszystko Verhavenowi w więzieniu?

Van Veeteren prychnął.

– Stąd, że mu to sama wyznała. Prawdopodobnie tuż przed śmiercią. Według siostry Marianne odwiedził ją w szpitalu w ostatnią dobę.

– Czyli ulżyła swojemu sumieniu na obie strony?

– Można tak powiedzieć. Pewnie lepiej by było, gdyby całkiem mil-

czała. Przynajmniej uratowałyby jedno życie. Ale ludzie są trochę zakręcenii na punkcie prawdy.

– Jak to? – spytał Münster.

– Prawda może być poważnym brzemieniem – wyjaśnił Van Veeteren. – Na dłuższą metę nie sposób dźwigać jej samotnie. Ale przydałoby się, żeby ludzie w końcu pojęli, że nie powinno się jej zrzucać, jak kto chce.

Münster milczał przez chwilę.

– Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób – przyznał i wyjrzał przez okno. – Coś w tym jest, to prawda. Ale on raczej nie sprawiał wrażenia spanikowanego.

– Nie – westchnął komisarz. – W tym przypadku potrzebne są nadzwyczajne środki. Wracaj już do domu, ja tu zostanę i jeszcze trochę podumam.

Münster zawahał się.

– Proszę dać znać, jeśli będę mógł się do czegoś przydać. Rozumiem, że dochodzenie nadal jest zawieszona?

– Jasne – odparł Van Veeteren. – Tak czy inaczej, dziękuję.

Münster wyszedł z baru. Kiedy przecinał ulicę, by dojść do swojego samochodu, znowu zrobiło mu się żal komisarza. To już drugi raz w ciągu krótkiego czasu – chyba zaledwie miesiąca – czyli może to prawda, co często słyszał:

Im starsi, tym bardziej ludzcy się wydają.

Ale czy to nie chodziło przypadkiem o goryle górskie?

Lokale towarzystwa leżały pół kondygnacji poniżej poziomu ulicy, w wąskim zaułku, który zaczynał się na placu Croni, a kończył ścianą przeciwpożarową. Według wszystkich planów miasta i zgodnie z przedziewiałą i na wpół czytelną tablicą nad antykwariatem Wildta na rogu nosił on nazwę Zuygers steeg. Ale potocznie był niemal od zawsze nazywany Zaułkiem Nożownika, w związku z wyjątkowo bestialskim mordem dokonany tu pod koniec lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, gdy poćwiartowane szczątki dwóch prostytutek znaleziono rozrzucone na całej liczącej dwadzieścia metrów długości uliczce. Znalazł je młody wikary katedralny, który potem trafił do domu dla obłąkanych Majorna w Willemsburgu. Mimo rozległego śledztwa sprawca tej zbrodni nigdy nie został ujęty.

Van Veeterenowi rzadko udawało się wejść do siedziby towarzystwa, by nie przypomnieć sobie tej historii. Tego wieczoru też nie zdołał przed nią uciec.

Może dawniej było jednak jeszcze gorzej, pomyślał, gdy zgarbiwszy się przed drzwiami, wkroczył do mrocznego pomieszczenia o niskim sklepieniu.

Mahler siedział jak zwykle daleko w głębi, w osobnym kącie, pod sztychem Dürera, i miał już rozstawione przed sobą figury. Van Veeteren usiadł obok niego, głęboko westchnąwszy.

– Jak tam? – odezwał się Mahler, wkładając palce w swoją bujną brodę. – Strasznie było?

– Co masz na myśli? – spytał Van Veeteren.

– Jak to co? No, tę twoją jatkę! Tych zielonych facetów ze swoimi



zakrwawionymi narzędziami.

– Ach, to! Fraszka!

Mahler zrobił zasepioną minę.

– No to co, do cholery, tak cię gryzie? Zmartwychwstanie i w ogóle... wiosna rozkwita kolorami, cała natura drży z upojenia, nie mogąc się doczekać uczty życia, a ty przychodzisz tu i wzdychasz?

– Mam problem – wyznał Van Veeteren i przesunął pierwszy pionek.

– Ja mam ich z tysiąc – odparł Mahler. – Ale mimo wszystko to twoje zdrowie i witaj znowu wśród żywych!

Napili się, po czym Mahler pochylił się nad szachownicą. Komisarz zapalił cygaretkę i czekał. Ze wszystkich osób, z którymi zdarzyło mu się grać w szachy od czasów swojej młodości, nigdy nie trafił na nikogo, kto rozgrywałby partie tak jak Mahler. Po wstępnym skupieniu, mogącym trwać dziesięć do dwunastu minut – czyli jeszcze przed pierwszym ruchem – potrafił potem wykonać ponad trzydzieści posunięć, nie zastanawiając się nad nimi łącznie dłużej niż jedną minutę. Następnie, przed samym finałem, zazwyczaj pozwalał sobie znowu na głęboką, dziesięcio- lub piętnastominutową analizę, po czym kończył partię w równie oszalamiającym tempie, niezależnie od tego, czy czekało go zwycięstwo, remis, czy honorowa porażka.

Nie potrafił jednak w żaden sensowny sposób objaśnić swojej metody, sprowadzając ją jedynie do kwestii rytmu.

– Czasami ważniejsze wydaje się samo wykonanie ruchu w odpowiednim czasie niż to, jaki to jest ruch – twierdził. – Jeśli rozumiesz, co mam na myśli?

Van Veeteren nie rozumiał.

– Tak samo jest z wierszami – wyznał stary poeta. – Często siedzę i gapię się bez końca w ciemność, bywa, że pół godziny lub dłużej, a potem chwytam za pióro i po prostu piszę. Jak w transie, tylko nic nie może mi przeszkodzić.

– A co się wtedy dzieje w twojej mózgowicy? – chciał się dowiedzieć Van Veeteren. – W czasie tego wyładowania?

Okazało się, że Mahler nie ma pojęcia.

– Nie śmiem tego zgłębiać – wyjaśnił. – Pewne stany nie znoszą in-

trospekcji. Wtedy umierają.

Van Veeteren upił trochę piwa, zamyślił się nad tym, co usłyszał, i czekał na ruch przeciwnika.

Bezrefleksyjne działanie, pomyślał.

Czy tak to wygląda?

Może jednak istnieje jakiś punkt styczny?

– No? – odezwał się Mahler, gdy po co najmniej czterdziestu pięciu minutach skończyli partię remisem. – To o co chodzi?

– O mordercę – odpowiedział Van Veeteren.

– A czy ty przypadkiem nie jesteś do końca miesiąca na zwolnieniu?

– Owszem, jestem. Ale nie potrafię siedzieć beczynn timer. I udawać, że nic nie widzę.

– A jaki jest problem z tym mordercą?

– Że jest na wolności.

– Wiesz kto to?

Van Veeteren skinął głową.

– Nie masz dowodów?

– Zero.

Mahler odchylił się do tyłu na krześle i zapalił papierosa.

– To chyba nie pierwszy raz?

– Ale zawsze udawało mi się ich jakoś podejść.

Mahler roześmiał się głośno.

– Jakoś podejść! Dobrze. A dlaczego tym razem nie jest to możliwe?

Van Veeteren westchnął.

– Słyszałeś o Leopoldzie Verhavenie?

Mahler spowaźniał.

– O Verhavenie? Naturalnie. Seryjny morderca kobiet... czy on przypadkiem też nie został zabity albo coś w tym rodzaju? Chyba nie tak dawno czytałem o nim w gazecie...

– On był niewinny – oznajmił Van Veeteren.

– Niewinny?

– Tak.

– Ale przecież trafił za kratki... na...

– Dwadzieścia cztery lata – dopowiedział Van Veeteren.

– Przesiedział tyle czasu, a ty mówisz, że jest niewinny?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Był niewinny. Nie żyje, jak sam powiedziałeś. A całą sprawę chciałby puścić w niepamięć nie tylko prawdziwy morderca, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

Mahler siedział, nic nie mówiąc.

– Ach tak – odezwał się wreszcie. Zaciągnął się papierosem, nie zwracając uwagi na popiół, który spadł mu na brodę. – Chyba wiem, co masz na myśli. Grube ryby?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Nawet nie to. Po prostu nie sposób rozpocząć procesu, nie mając argumentów. Solidnych argumentów...

– Nie możecie zdobyć żadnych dowodów? Nie powiesz mi przecież, że tak nie bywa? Że wiecie, kto to jest, i bardzo się staracie znaleźć dowody na niego... ale już później. Myślałem, że to standardowa procedura.

– Jasne, masz rację – rzekł Van Veeteren. – Ale w tym przypadku nie ma na nic takiego nadziei. Pierwsze morderstwo uległo przedawnieniu i nie można już wytoczyć procesu. Jeśli chodzi o drugie, potrzebny byłby obszerny materiał dowodowy albo żeby on sam przyznał się do winy. A od tego dzielą nas jeszcze lata świetlne.

– A zabójstwo Verhavena? To przecież ten sam sprawca?

– Prawdopodobnie. Ale nic z tego, tutaj też nie mamy ani grama dowodu. Nie wiemy, kiedy umarł. Ani jak. Ani gdzie.

Kolejny raz wzruszył ramionami.

– Tak z grubsza przedstawia się sytuacja.

– A ty wiesz na pewno, kto jest mordercą? – spytał Mahler, unosząc z powątpiewaniem swe krzaczaste brwi.

– Na sto procent – potwierdził Van Veeteren.

Mahler obrócił szachownicę i zaczął ustawiać figury do kolejnej partii.

– A skąd wiesz, że nie da się doprowadzić do tego, żeby się przyznał? Nie powiesz mi, że w razie konieczności nie sięgacie po środki ostateczne?

Van Veeteren zapalił kolejnego papierosa.

– Obserwuję go od dwóch dni – przyznał. – Oczywiście nie dyskretnie, tylko całkiem otwarcie. Tak, żeby się zorientował. Zwykle coś takiego wyprowadza każdego z równowagi, ale nie jego. Wygląda na to, że jemu się to raczej wydaje zabawne. Raz czy drugi skinął mi uprzejmie głową. Najzwyczajniej śmieje mi się prosto w twarz. Chyba dobrze wie, że nie mamy na niego absolutnie nic, co mogłoby być dla niego groźne. Jeszcze nie wezwałem go do złożenia zeznań, ale mocno bym się zdziwił, gdyby zrzucił wtedy maskę. A jeśli nawet, to przecież przed sądem mógłby znowu ją założyć i po raz kolejny wyszlibyśmy na osłów...

– Hm, wobec tego co zamierzasz? – spytał Mahler. – Muszę przyznać, że to wszystko brzmi niebyt ciekawie.

Van Veeteren nie spieszył się z odpowiedzią, jednak Mahler nie dawał za wygraną.

– No?

– Postawiłem ultimatum – rzekł w końcu komisarz. – Chcesz jeszcze jedno piwo?

– Oczywiście. Co za ultimatum?

Van Veeteren wstał z miejsca, poszedł do baru i po chwili wrócił z dwoma świeżymi kuflami z pianką.

– Co za ultimatum? – powtórzył Mahler, gdy już stuknęli się na zdrowie.

– Po prostu dałem mu szansę na wyjście z tego z honorem.

– Masz na myśli...

– Tak. Samobójstwo.

Mahler wyglądał na autentycznie ubawionego.

– A jeśli on nie wie, co to honor? Nawiasem mówiąc, wiele za tym przemawia.

– Wtedy ja wyłożę karty na stół. On ma córkę i dwoje wnucząt. Jeśli nadal nie będzie nic sobie z tego robił, opowiem córce, że jej ojciec ma trzy morderstwa na sumieniu, i już się postaram, żeby na pewno mi uwierzyła. Jego żona przez całe swoje życie milczała właśnie z tego powodu... tak przynajmniej mi się wydaje.

Mahler zamyślił się.

– Może, może – powiedział. – Uważasz, że to zadziała?

Van Veeteren zrobił niewyraźną minę.

– Cholera wie. Przekonamy się jutro o dwunastej W każdym razie zamierzam pojechać do niego do domu.

– Diabelny z ciebie spryciarz – rzekł Mahler. – Masz swoje metody, to pewne.

Pociągnął kolejny łyk piwa i znowu skupił się na szachownicy. Po zadziwiająco krótkim namyśle przesunął króla o dwa pola.

– Nie masz wesołej pracy – stwierdził.

– Mnie odpowiada – odparł Van Veeteren.

– Domyślam się – rzekł Mahler.

Półtorej godziny później Mahler po blisko sześćdziesięciu ruchach wygrał partię. Przechylił się na bok i wyciągnął z teczki, która stała obok na podłodze, niewielką płaską paczuszkę.

– Masz na pocieszenie – powiedział. – Dostałem dzisiaj prosto z drukarni, jeszcze pachnie farbą.

Van Veeteren rozerwał papier.

*Recytatyw z prowincji*, przeczytał.

– Dzięki – powiedział. – Właśnie czegoś takiego potrzebowałem.

– Nigdy nie wiadomo, czego człowiek potrzebuje – rzekł Mahler i spojrzął na zegarek. – Chyba pora kończyć. Zaczynaj od strony trzydziestej szóstej. Myślę, że znajdziesz tam pewną wskazówkę.

Van Veeteren wziął prysznic i gdy już leżał w łóżku, otworzył cienki tomik wierszy. Zegar w radioodbiorniku na nocnej szafce pokazywał kilka minut po wpół do pierwszej, postanowił więc ograniczyć się na razie do rekomendacji autora. Poezja to nie jest coś, co można wrzucać w siebie, ile się da, zwłaszcza te oszczędne strofy Mahlera, poza tym czuł, że pod powiekami przyczał się już sen.

Wiersz nosił tytuł *Noc styczniowa* i składał się jedynie z siedmiu linijek.

Światło nienarodzone

Linie niespodziewane

Prawo jeszcze nienapisane

W czerni dziecko  
W tańczącej plamie rytm  
Z Chaosu reguły do obchodzenia się z sercowymi kłopotami  
I mały kategoriyczny imperatyw

Wyłączył lampkę, a linijki wiersza pozostały zawieszony, zarówno jakby w mroku pokoju, jak i w jego własnej odpływającej świadomości.

Wewnętrzna i zewnętrzna ciemność, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim oddał się bezgranicznej pieczy snu.

Jutro o godzinie dwunastej.

Kiedy stanął przed drzwiami, na jego zegarku była dopiero 11.59, postanowił zatem poczekać minutę. Umówił się na godzinę dwunastą, może więc warto być precyzyjnym w szczegółach. Nie zaniedbywać na pozór nieważnych rzeczy.

Nacisnął dzwonek.

Odczekał kilka sekund i zaczął nasłuchiwać odgłosów ze środka. Dotknął palcem dzwonka i zadzwonił jeszcze raz. Długi, wściekły sygnał. Pochylił się do przodu, przyłożył ucho do chłodnego drewna drzwi.

Nic.

Żadnych kroków. Żadnych głosów. Żadnych szmerów.

Wyprostował się. Nabrał głęboko powietrza i chwycił za klamkę.

Otwarte.

Przestąpił próg. Drzwi zostawił lekko uchylone. Nie pierwszy raz wkraczał do mieszkania, w którym mógł zastać czyjeś zwłoki, ale tym razem wchodziło w grę jeszcze coś innego. Coś, co zarazem wzbudzało niepokój, a jednocześnie wydawało się do przewidzenia.

Powietrze w ciemnym i ciasnym przedpokoju było ciężkie. Na wprost znajdowała się kuchnia, która mogłaby być zalana słońcem, gdyby nie opuszczone rolety. Po prawej na wpół otwarte drzwi prowadziły do pomieszczenia przypominającego sypialnię. Po lewej była toaleta i podwójne drzwi do pokoju dziennego.

Dwa pokoje i kuchnia, to wszystko. Nieduże mieszkanie, dokładnie tak jak mówił Münster.

Postanowił najpierw zajrzeć do sypialni. Łóżko byłoby miejscem

najbardziej naturalnym; on sam chyba by je wybrał, gdyby kiedyś do czegoś takiego doszło.

Pchnął ostrożnie drzwi.

Pusto. Łóżko porządnie zasłane. Tutaj też opuszczone żaluzje. Jakby lokator gdzieś wyjechał.

Potem pokój dzienny. Równie starannie wysprzątnany i bez charakteru. Brzydka sofa i fotele obite jakąś szarobrazową, mocno wytartą syntetyczną tkaniną. Duży telewizor, regał z bibelotami. Obrazy przedstawiające morski krajobraz.

W kuchni podobna przygnębiająca nijakość. Na ścianach kalendarz i krzykliwe pejzaże. Naczynia na suszarce przykryte ścierką. Lodówka prawie pusta. Jakaś cherlawa roślina w doniczce na stole.

Została jeszcze łazienka. Alternatywa, którą ewentualnie też wziąłby pod uwagę. Odpływać powoli w ciepłej wodzie. Jak Seneka. Ale nie jak Marat.

Zapalił światło.

Niemal ujrzał uśmiech mordercy; jak nieprzemijający, na wpół ironiczny refleks w lśniących granatowych kafelkach na ścianie. Jakby tamten dobrze wiedział, że pozostawi sobie to pomieszczenie na koniec. Jakby przez moment się zawahał, czy nie zostawić tu dla tego nadgorliwego gliniarza napisanej wiadomości, lecz zrezygnował, bo przecież jest jasne, kto w tym bezsensownym starciu pociąga za sznurki.

Van Veeteren westchnął i przez chwilę przyjrzał się własnemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Nie był to szczególnie miły widok – coś między Quasimodo a zasepionym posokowcem. Innymi słowy, wyglądał tak jak zwykle, a nawet trochę gorzej.

Zgasił światło i wyszedł do przedpokoju. Zatrzymał się na chwilę, gdy stwierdził, że koszyk na pocztę po wewnętrznej stronie drzwi jest pusty, co mogło oznaczać tylko tyle, że tamten oddalił się całkiem niedawno. Opuścił to smutne, ale czyste mieszkanie zaledwie kilka godzin temu.

Nie wybrał się gdzieś na krótko, żeby tylko coś załatwić. Raczej wykluczone. Wszystko w środku zdawało się świadczyć o tym, że wyjechał. Co najmniej na kilka dni.



A może na zawsze? Może to dobry znak? Znowu zapaliła się iskierka nadziei. Kto powiedział, że on musi zrobić to w swoim domu?

Nikt.

Wyszedł z powrotem na klatkę schodową i zamknął drzwi.

Dlaczego zostawił mieszkanie otwarte?

Żeby Van Veeteren mógł przeprowadzić swoją wizję lokalną? Ale czemu ona miałaby służyć?

Albo po prostu zapomniał zamknąć na klucz?

– Pan Van Veeteren?

Drgnął. Nie zauważył, że obok ostrożnie otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania. Pokazała się w nich głowa kobiety z rudymi lokami.

– To pan nazywa się Van Veeteren, prawda? Powiedział, że przyjdzie pan mniej więcej o tej porze.

Van Veeteren tylko skinął głową.

– Mam panu przekazać, że niestety nie mógł się z panem spotkać, bo wyjechał nad morze.

– Nad morze?

– Zostawił dla pana wiadomość. Proszę.

Kobieta wręczyła mu białą kopertę.

– Dziękuję pani – powiedział Van Veeteren. – Czy jeszcze coś powiedział?

Zaprzeczyła.

– Nie. A co niby miałby powiedzieć? Przepraszam, ale mam ciasto w piecu.

Zatrzasnęła drzwi.

No tak, pomyślał Van Veeteren i spojrzał na kopertę.

Otworzył ją dopiero w kawiarnianym ogródku, nieco dalej przy tej samej ulicy. Gdy tak siedział, trzymając jeszcze list w ręku i czekając na kelnerkę, przypomniał sobie słowa Mahlera z poprzedniego wieczoru.

Ważniejsze jest to, aby zrobić coś w odpowiednim momencie, niż to, co się robi.

Lekka przesada oczywiście, ale być może ów czynnik czasu jest decydujący we wszystkich działaniach? I w całym życiu? W każdym ra-

nie można go lekceważyć, to pewne.

Przyniesiono mu piwo. Wypił łyk i otworzył kopertę. Wyjął złożoną na pół kartkę i przeczytał.

Pensjonat Florian

Behrensee

Pociągnął kolejny łyk.

Morze? To też jest jakaś możliwość, pomyślał.

XI

25 listopada 1981

Kolejna noc.

Znowu bezsenna. Wczoraj zapadł wyrok i jej ostatnia nadzieja zgasła jak płomień świecy na wietrze.

Winny.

Verhaven ponownie uznany za winnego. Szuka po omacku szklanki. Upija łyk ciepławej wody mineralnej i przymyka oczy. Nie może przestać myśleć. Co kieruje tym niepojętym losem? Co sprawia, że ona jednak jakoś się trzyma? Zamiast się poddać i po prostu upaść bez siły?

Przerwać to szaleńcze milczenie i zapaść się w ciemność. No co?

Andrea oczywiście.

Andrea. Poprzednim razem miała dwa lata, teraz mogłaby już wyjść za mąż. Dorosła kobieta. Kobieta, jaką nigdy nie stała się jej matka. We wszystkim jest jakaś przewodnia linia i bezlitosna mroczna logika, przed którą nie sposób się obronić. Przeznaczenie, uznała w duchu.

Ale daj Boże, aby z tej znajomości z Juhanisem naprawdę coś wyszło.

Daj Boże, żeby szybko się zdecydowali i żeby on ją stąd zabrał.

Daj Boże.

Kiedy?

Kiedy tym razem przeszło ją po raz pierwszy wyraźne przeczucie?

Tego samego dnia? W to samo deszczowe wrześnieowe popołudnie, kiedy pan Nimmerlet znalazł ciało? Już wtedy?

Może. Może wiedziała od razu. Ale wyparła to z siebie i zamknęła

drzwi. Natychmiast znalazła swoją pokrętną wymówkę i uczepliła się jej na dobre. Przecież nie było go tamtego dnia w mieście. Pojechał do Ulming z popsutą piłą, sama sprawdziła w kalendarzu, to musiało być właśnie w ten dzień... a po drodze wstąpił jeszcze do Morrisónów, tyle że nie było ich w domu. Wszystko jej opowiedział, a w jego zachowaniu czy gestach nie zauważyła niczego szczególnego. Niczego dziwnego.

Piła okazała się już nie do naprawienia, ale on oczywiście tam był, a ponieważ Ulming i Maardam są oddalone od siebie o kilkadziesiąt kilometrów, dlatego to nie mógł być on. Nie tym razem. Tym razem to Verhaven, to musiał być Verhaven.

Winny!

Mimo to ona wie.

Leży w swoim wielkim łóżku w świeżo odnowionej sypialni i wie. I czuje się coraz bardziej spętana tą ponurą wiedzą. Ubezważona przez niego i przez milczenie; czuje to coraz silniej, wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd w te rozedrgane, bezsenne nocne godziny.

On i ona. Mąż i żona.

Ale nigdy mężczyzna i kobieta. Od narodzin Andrei. W ciągu tych wielu lat już nigdy nie spali ze sobą. Ona zamknęła swe łono i zabroniła mu do niego wstępu, tak się stało. I ten silny i zdrowy mężczyzna zamienił się w faceta, który chodzi do dziwki. W żonatego faceta, który każdego miesiąca bierze samochód i jedzie do miasta, aby uciszyć swe pałace żądze płatną miłością.

W kogoś takiego go zamieniła.

I w mordercę.

On i ona. Ta nieuchronna wiedza. A wybór, czy ona kiedykolwiek miała jakiś wybór?

Nie, stwierdza w duchu i przełyka również i to. Nigdy nie miałam żadnego wyboru.

Siada na łóżku. Wyciera sobie grzbietem dłoni zimny pot z czoła. Stara się rozluźnić ramiona i oddychać głęboko i spokojnie, patrząc jednocześnie przez okno. Ponad ciemną ścianą lasu, która odcina się

od nieba na wschodzie.

Boże, myśli. Czy ktoś jest w stanie to zrozumieć?

Może ty?

Składa dłonie, ale słowa modlitwy są nadal uwięzione w jej wnętrzu.

Przyjmę karę, mówi w myślach. Ukarz mnie za moje milczenie!

Pozwól mi pozostać w łóżku na zawsze! Pozwól mi... tak, właśnie tak. Spraw, bym nie musiała już powłóczyć nogami po tym mieszkaniu, które jest moim domem i moim więzieniem. Pozwól mi tu zostać.

Niech moje kalekie biodra rozpadną się na zawsze!

Opada z powrotem na poduszki i nagle wie, że tak się stanie. Właśnie tak.

I spraw, aby wbrew wszystkiemu znalazł się jakiś sens. Na koniec przez jej usta przechodzą te słowa... Niech... Niech moja niezgłębiona ciemność stanie się światłem mojej córki! – szepcze prosto w noc. Nie proszę o wybaczenie! Nie proszę o zrozumienie! Nie proszę o nic! Boże, ukarż mnie!

Potem znowu przymyka oczy i jej ciało przeszywają niczym w odpowiedzi włócznie bólu.

**XII**

**29–31 maja 1994**

Deszcz towarzyszył mu niemal przez całą drogę, ale kiedy dojechał na wybrzeże, pogoda się poprawiła. Zachodzące słońce przebijało się nad horyzontem przez chmury i wysyłało krzywą wiązkę światła na pofalowaną taflę morza. Gdy wysiadł z samochodu, od razu poczuł, że powietrze jest rześkie i słone. Stał bez ruchu przez kilka sekund i upajał się nim łapczywie. Ponad wodą szybowały mewy, przepełniając zatokę swym świdrującym, rozwlekłym skrzeczeniem.

Morze, powtórzył jeszcze raz w duchu.

Między dwoma pomostami na plaży – niezbyt długiej, ciągnącej się co najwyżej kilometr – pojawili się teraz po deszczu ludzie. Kilka psów biegało w tę i z powrotem, goniąc się nawzajem, grupka młodzieży grała w siatkówkę, jakiś rybak porządkował swoje sieci. Nie potrafił sobie od razu przypomnieć, kiedy ostatni raz odwiedził to zaspiane kąpielisko o staroświeckim uroku; czasy jego świetności, gdy jeszcze istniały tu kasyno i elegancki hotel, przypadały chyba na lata dwudzieste. Na pewno był tu ze dwa razy. Z Renate i z dziećmi; prawdopodobnie tylko te dwa razy, i to zaledwie po kilka dni. Ale Behrensee jest tak małe, że natychmiast bez trudu przypomniał sobie drogę do pensjonatu Florian.

Tak naprawdę nie było tu więcej ulic poza jedną, biegnącą wzdłuż nadbrzeżnej promenady, więc raczej nie mógłby zabłądzić. Oprócz tego wciąż jeszcze miał w pamięci tamten obraz sprzed lat.

Stara secesyjna fasada na południowym końcu pasażu składającego się z hoteli i sklepów. Wciśnięta między dosyć nowy supermarket i trochę podupadły pensjonat See Horse, w którym mieszkał podczas



jednego ze swoich krótkich pobytów.

Oczywiście, jeśli go pamięć nie myli.

Wszystko się zgadzało. Wąski, pięciokondygnacyjny budynek o białych i różowych ścianach. Z miedzianym dachem, który żarzył się jeszcze słabo w ostatnich promieniach słońca, i z balkonami koloru głębokiej winnej czerwieni. Choć tu i ówdzie nieco nadszarpnięty zębem czasu, z pewnością nie należał do tańszych hoteli w tym miasteczku rodem z podstarzałej idylli.

Wszedł do środka przez mlecznobiałe szklane drzwi. Ostrożnie postawił na podłodze swoją teczkę i nacisnął dzwonek na ladzie recepcji. Po chwili pojawiła się kobieta w średnim wieku ze ścierką w ręku. Zdaje się, że właśnie wycierała naczynia. Zmierzyła go wzrokiem znad okularów w złotej oprawce i odłożyła ścierkę.

– Tak?

– Szukam Arnolda Jahrensa. O ile wiem, zatrzymał się tutaj.

– Sprawdzę.

Odwróciła kartkę w książce gości.

– Zgadza się. Pokój pięćdziesiąt trzy. Na samej górze. Może pan skorzystać z windy.

Wspięła się na czubki palców i ponad jego ramionami wskazała mu kierunek.

– Czy jest teraz u siebie?

Kobieta spojrzała na tablicę z kluczami.

– Tak sędzę. W każdym razie nie zostawił klucza.

– Na samej górze, tak?

– Tak.

– Dziękuję – powiedział Van Veeteren. – Muszę jeszcze szybko coś załatwić i wrócę za chwilę.

– Jak pan sobie życzy – odparła kobieta i znowu sięgnęła po ścierkę.

Zapukał dwa razy, ale nie doczekał się jakiegokolwiek odzewu.

Nacisnął klamkę i drzwi się uchylły.

Całkiem zwyczajny pokój, stwierdził. Ale nie bez pewnego staroświeckiego uroku. Szerokie łóżko ozdobione na obu końcach kon-

strukcją z metalowych rurek. Na ścianach sięgająca dosyć wysoko ciemna boazeria. Niewielkie biurko. Dwa jeszcze mniejsze fotele. Szała na ubrania.

Po lewej, tuż obok drzwi, znajdowały się toaleta i łazienka. Ponieważ mógł od razu zauważyć, że pokój jest pusty, otworzył drzwi do łazienki. Zapalił światło.

Również tam nie zastał nikogo. Zresztą nie było w niej wanny, tylko nowoczesna kabina prysznicowa, co nie wydawało się dobrym rozwiązaniem dla kogoś, kto chciałby odebrać sobie życie.

Wszedł do pokoju. Postawił teczkę na biurku, po czym wygrzebał z kieszeni na piersi jedną wykałaczkę. Rozejrzał się.

– Jak przypuszczam, komisarz Van Veeteren?

Głos dochodził z balkonu i krył w sobie tłumiony ton nonszalancji i pewności siebie, którego komisarz chyba obawiał się najbardziej.

– Pan Jahrens? – odpowiedział i wyszedł na balkon. – Czy mogę usiąść?

Dobrze zbudowany mężczyzna skinął głową i wskazał na wolne wiklinowe krzesło po drugiej stronie stołu.

– Muszę przyznać, że jak na policjanta ma pan piekielnie bogatą wyobraźnię. Po prostu nie pojmuję, jak można wysmażyć taką historię.

Van Veeteren otworzył swoją teczkę.

– Whisky czy koniak? – spytał.

– Jeżeli sądzi pan, że to coś pomoże, jeśli mnie pan upije, to muszę od razu wyprowadzić pana z błędu.

– Ależ skąd – odparł Van Veeteren. – Po prostu nie udało mi się dostać piwa.

– No dobrze.

Gospodarz przyniósł dwie szklanki z pokoju i Van Veeteren je napełnił.

– Nie musi pan udawać – powiedział komisarz. – Ja wiem, że ma pan na sumieniu życie trzech osób, a chcę doprowadzić do tego, żeby nie uszło to panu na sucho. Na zdrowie!

– Na zdrowie – odrzekł Jahrens. – A jak zamierza pan to zrobić? Zakładam, że ma pan gdzieś ukryty mały mikrofon, który w jakiś sposób

jest połączony z magnetofonem, i liczy pan na to, że po pijaku nie chcący się wygadam. Czy nie jest to trochę żalosne? To w dzisiejszych czasach tak ujmuje się przestępców?

– Bynajmniej! – zaprzeczył Van Veeteren. – Dla sądu taki materiał nie miałby żadnej wartości, ale pan z pewnością zdaje sobie z tego sprawę. Nie, nie, ja chciałbym tylko przedstawić panu mój punkt widzenia. Jeśli obawia się pan magnetofonów czy innych urządzeń tego typu, może pan zawsze ograniczyć się do kiwania lub kręcenia głową... ale sądzę, że również pan odczuwa potrzebę przegadania tej sprawy.

– Nonsens – rzekł Jahrens i spróbował whisky. – To jasne, że obudzili pan we mnie ciekawość. W końcu nie codziennie można przyjrzeć się z bliska, jak policji odbija palma.

Uśmiechnął się, po czym wytrząsnął z paczki na stoliku jednego papierosa.

– Ma pan ochotę?

– Dziękuję.

Van Veeteren skorzystał i z papierosa, i z ognia, a następnie powiedział:

– Niech pan opowie o Leopoldzie Verhavenie!

Arnold Jahrens uśmiechnął się znowu i zaciągnął papierosem. Spojrzał na morze w oddali. Minęło kilka sekund.

– Jutro chyba będzie ładna pogoda, nie sądzi pan, panie komisarzu? Pan też zamierza spędzić tu kilka dni?

– Jak wolisz – odezwał się Van Veeteren i pochylił się nad stolikiem. Wobec tego ja opowiem tę historię, a jeśli coś wyda ci się niejasne, przerwij mi... Zamordowałaś trzy osoby. Beatrice Holden, Marlene Nietsch i Leopolda Verhavena. Verhaven siedział za ciebie w więzieniu dwadzieścia cztery lata. Jesteś bydlakiem, niech cię nie zwieździe mój uprzejmy ton.

Dwa razy Jahrensowi drgnął mięsień na policzku, nie odezwał się jednak ani słowem.

– Jedyne, czego nie rozumiem do końca – kontynuował Van Veeteren – to motyw. Choć z grubsza jestem w stanie go sobie wyobrazić... ale popraw mnie, jeśli się mylę. Szóstego kwietnia sześćdziesiątego

drugiego roku, w sobotę, udajesz się do domu Verhavena w lesie, bo wiesz, że Beatrice Holden została w nim sama. Przypuszczalnie czekałeś, aż elektryk skończy swoją robotę, i kiedy zobaczyłeś, że wraca już na dół do wioski, ruszyłeś. Jesteś wygłodzony. Niecały tydzień temu Beatrice leżała na twojej kanapie, naga, tylko przykryta kocem, to zdecydowanie zbyt duża pokusa dla ciebie. Pewnie nie odmówiłeś sobie i zajrzałeś pod koc, może nawet ją trochę poobmacywałeś, kiedy spała wstawiona na tej kanapie, a twoja własna, na wpół unieruchomiona żona leżała nieświadoma niczego na piętrze. I wasza dwuletnia córeczka. Może wsunąłeś ręce między jej nogi... między nogi Beatrice Holden, przecież tak bardzo chciałbyś się tam znaleźć. Taka gorąca i atrakcyjna kobieta, nie to co twoja żona, która leży zimna i obojętna na górze i nigdy cię do siebie nie dopuszcza.

Arnold Jahrens wypił łyk alkoholu, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

– Idziesz więc do Wielkiego Cienia i tam ją zastajesz. Zupełnie samą. Verhaven jest w Maardam i ma wrócić dopiero za kilka godzin. Czyli nic, tylko brać. Wystarczy pójść i powiedzieć kilka miłych słów, zerwać z niej majtki i zabrać się do rzeczy. Dlaczego ona nie chciała, panie Jahrens? No, powiedz mi! Dlaczego nie udało ci się znaleźć między nogami Beatrice Holden, która przecież na ogół była taka chętna? Czy tamtej nocy, kiedy się nią tak troskliwie zająłeś, nie obiecała ci tego prawie? A może po prostu źle ją zrozumiałeś?

Jahrens zakaszłał.

– Co za wyobrażenia – powiedział i opróżnił swoją szklanekę. – To pan jest perwersyjny, komisarzu, nie ja.

– To była zniewaga, prawda? Tak to odebrałeś, czyż nie?

– Co takiego?

– Że nie mogłeś się przespać z Beatrice Holden. Że ta świnia Leopold Verhaven dostawał, a ty nie... ten żałosny gówniarz, na którego patrzyłeś z góry już od czasów szkolnych. Leopold Verhaven! Do tego jeszcze oszust! Handlarz jajkami z Wielkiego Cienia! Nędzna kreatura, pogardzana przez ciebie przez całe życie... a teraz to właśnie on żyje z tą apetyczną kobietą, a ty, ty sam wżeniłeś się w wielkie gospodarstwo, w jedno z najbogatszych w Kaustin, ale za jaką cenę! Ceną jest twoja zasuszona żona, która nigdy nie dopuszcza cię do siebie, i tam-

tej soboty stoisz tam, a Beatrice Holden też nie pozwala ci się dotknąć... może nawet śmieje się z ciebie, tak, myślę, że śmieje się z ciebie i grozi, że powie wszystko Verhavenowi, kiedy wróci do domu, opowie mu, jaki z ciebie nędzny lubieżnik.

Przerwał na chwilę. Jahrens zgasił papierosa i znowu spojrzał na morze.

– Czy byłbyś uprzejmy poprawić mnie, jeśli jakieś szczegóły mojej rekonstrukcji nie są zgodne z rzeczywistością? – odezwał się znowu Van Veeteren i odchylił się na krześle do tyłu.

Jahrens nie odpowiedział. Siedział nadal nieruchomo, ale bez najmniejszej oznaki napięcia czy wzburzenia.

– Czyli wszystko się zgadza? Tak myślałem – stwierdził Van Veeteren z zadowoleniem. – A może teraz ty chciałbyś opowiedzieć, co było dalej? Jak ją zgwałciłeś i udusiłeś... czy w odwrotnej kolejności?

– Nie omieszkam poinformować pana przełożonych o tej rozmowie – oznajmił Jahrens po chwili milczenia. – Jutro z samego rana.

– Doskonale – odparł Van Veeteren. – Może jeszcze whisky?

Jahrens bez słowa sięgnął po butelkę i nalał sobie trochę. Van Veeteren uniósł szklanekę, jednak gospodarz nie raczył nawet na niego spojrzeć. Pili zatem w ciszy.

– Numer dwa – odezwał się Van Veeteren. – Marlene Nietsch.

Jahrens podniósł rękę do góry.

– Nie, dziękuję – rzucił. – Wystarczy. Niech się pan stąd zabiera z tymi swoimi idiotycznymi urojeniami. Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż...

– To nie wchodzi w grę – przerwał mu komisarz. – Zostaję tutaj.

Jahrens parsknął z irytacją i po raz pierwszy sprawiał wrażenie nieco bezradnego. Mamy czas, pomyślał Van Veeteren.

– No dobrze. Wobec tego albo mi pan obieca, że w ciągu maksimum pół godziny pan stąd zniknie, albo zadzwonię na policję.

– Ja jestem policją – wyjaśnił uprzejmie Van Veeteren. – Czy nie byłoby rozsądniej wezwać adwokata? Dobrego adwokata... Wprawdzie nie ma pan raczej żadnej szansy, ale zawsze człowiek ma lepsze samopoczucie, jeśli zrobi wszystko, co w jego mocy, proszę mi wierzyć.

Jahrens zapalił kolejnego papierosa, lecz wyraźnie nie zamierzał sięgnąć po telefon. Van Veeteren wstał z miejsca i spojrzał na morze. Słońce schowało się za horyzontem już jakiś czas temu i nad brzegiem zapadał teraz granatowy zmrok. Stał tak kilka chwil, oparty rękami o niską balustradę, i czekał na jakąkolwiek reakcję ze strony Jahrensa, która jednak nie nastąpiła.

On po prostu siedział na swoim wiklinowym krześle, popijał whisky i palił papierosa, jakby zupełnie się nie przejmował obecnością Van Veeterena.

Może on nigdy się nie przejmował, w ogóle. Nawet przez chwilę.

Czyli jedziemy dalej, postanowił Van Veeteren i usiadł znowu naprzeciw Jahrensa.

Wylał ostatnie krople z butelki i uniósł ją nad stołem.

– Mało wydajna – stwierdził, na co Jahrens roześmiał się głośno.

Zrobiło się już całkiem ciemno. Światło niewielkiej lampy w rogu balkonu nie sięgało daleko. W ciągu ostatniej półgodziny postać Arnolda Jahrensa stała się jedynie mniej lub bardziej nieruchomym zarysem. Ciemną sylwetką, której twarz znajdowała się w cieniu, wskutek czego Van Veeteren nie mógł już widzieć, jaki skutek odnosiły jego słowa i wysiłki. Jeśli w ogóle jakikolwiek odnosiły.

– Czyli nie chce pan opowiedzieć, gdzie zakopał pan jego głowę? Nie uważa pan, że to haniebne? W piekle Dantego nie wylądaje pan raczej szczególnie wysoko, zdaje pan sobie z tego sprawę?

Powrócił do mniej bezpośredniej formy pan, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Może po prostu pod wpływem alkoholu i ciemności.

Jahrens nie odpowiedział.

– Jak pan sądzi, jak zareaguje pana córka?

– Na co? Na pana śmiechu warte insynuacje?

– Śmiechu warte? Naprawdę wierzy pan, że ona będzie się śmiała?

Jahrens roześmiał się jeszcze raz, jakby osobiście chciał sprawdzić, czy w tej sytuacji taka reakcja jest odpowiednia.

– Pańska żona nie uważała tego bynajmniej za zabawne.

Z ust Jahrensa wydobyło się odruchowe sapnięcie. Dało się z niego odczytać dość znaczny stopień upojenia alkoholem. Przynajmniej tak

wydawało się Van Veeterenowi, który natychmiast postanowił oprzeć się na tej okoliczności. Teraz, uznał. Teraz trzeba iść na całość. Nawiasem mówiąc, on sam zauważył, że zaczyna tracić trzeźwość umysłu; w końcu obaj wleli w siebie niemało, a czasu nie mieli nie wiadomo ile.

– Chce się pan przekonać? – spytał.

– O czym?

– Jak pana córka zareaguje na to wszystko?

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

Van Veeteren wyjął małą szpilkę z klapy swojej marynarki i trzymał ją między kciukiem i palcem wskazującym.

– Czy wie pan, co to jest?

Jahrens pokręcił głową.

– Nadajnik. Tak jak pan przypuszczał na początku...

– To nie ma najmniejszego znaczenia, do cholery – przerwał mu gospodarz. – Wie pan bardzo dobrze, że nie przytaknąłem panu nawet w najdrobniejszym szczególe.

– Tak pan sądzi – powiedział Van Veeteren. – Ale po wysłuchaniu taśmy być może zmieni pan zdanie. Często tak bywa.

– Bzdury – rzucił Jahrens i zaczął szukać papierosa. – Co to ma wspólnego z moją córką? Zamierza jej pan odtworzyć to nagranie, czy co, do jasnej cholery?

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Van Veeteren i ostrożnie wpiął szpilkę z powrotem w klapę.

– Nie ma potrzeby? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Ona to wszystko już usłyszała.

Jahrens upuścił papierosa i rozdziawił usta. Van Veeteren podniósł się z krzesła.

– Te dwa pokoje – powiedział, wskazując rękami w prawo i w lewo – numer pięćdziesiąt dwa i numer pięćdziesiąt cztery...

Jahrens chwycił się oparcia krzesła i próbował dźwignąć się z siedzenia.

– Co takiego, u diabła?

– Pod numerem pięćdziesiątym drugim siedzi trzech policjantów z magnetofonem. Zapisali każde słowo naszej krótkiej pogawędki. Nie

pominęli żadnego niuansu, zapewniam pana. W drugim pokoju...

Wskazał ręką w jego kierunku.

– ...w drugim pokoju siedzi pana córka Anna ze swoim mężem.

– Co takiego, u diabła...?

Van Veeteren zbliżył się do balustrady i wskazał jeszcze raz.

– Jeśli pan tu podejdzie i trochę się wychyli, będzie pan ich mógł nawet zobaczyć...

Arnold Jahrens natychmiast znalazł się obok niego, a potem w okamgnieniu było po wszystkim. Mimo to Van Veeteren wiedział, że tych kilka sekund będzie go prześladować do końca życia w każdą ciemną noc.

A może jeszcze dłużej.

Kiedy szedł do samochodu, poczuł, że jest jeszcze bardziej pijany, niż sądził, i w związku z tym nie może usiąść za kierownicą. Zerwał z twarzy przyklejoną brodę i ściągnął z głowy perukę, następnie wrzucił je do plastikowej torby, którą wcisnął pod przednie siedzenie. Potem położył się z tyłu, nakrył kocem i życzył sobie dobrej i spokojnej nocy.

Pięć minut później spał już jak suseł, a kiedy na miejsce zajechały ambulans i policyjne radiowozy, nie słyszał ani syren, ani podniesionych głosów.

Nikt nie zwrócił uwagi na lekko zużytego opla, który stał w ciemności, niedbale zaparkowany dwie ulice dalej na północ od pensjonatu Florian. No bo niby dlaczego ktoś miałby się nim zainteresować?



– Widziałeś? – spytał Jung, podsuwając mu gazetę. – Czy ty przypadkiem go nie przesłuchiwałaś?

Rooth zerknął na zdjęcie.

– Jasne. A co z nim?

– Spadł z piątego piętra. A może skoczył. Wypadek albo samobójstwo. Nie wiadomo. Jaki on był?

Rooth wzruszył ramionami.

– Jak każdy. Zwyczajny. Moim zdaniem dość sympatyczny. Poczęstował mnie kawą.

Reinhart usiadł w stołówce naprzeciwko Münstera.

– Dzień dobry – przywitał go. – Co słychać?

– O co ci chodzi? – spytał Münster.

Reinhart wyczyścił nad popielniczką swoją fajkę i zaczął nabijać ją świeżym tytoniem.

– Czy można zadać proste pytanie?

Münster odłożył na bok „Neuwe Blatt”.

– Zawsze możesz spróbować.

Reinhart przechylił się nad stołem ku koledze.

– Czy ty przypadkiem nie byłeś przedwczoraj wieczorem w Behrensee?

– Skąd – odpowiedział z naciskiem Münster.

– Może komisarz?

– Nie wyobrażam sobie. Przecież on nadal jest na zwolnieniu.

– Jasne – rzekł Reinhart. – Tak mi tylko przyszło do głowy.

– Rozumiem – odparł Münster.

Następnie wrócił do czytania gazety, a Reinhart zapalił swoją fajkę.

Hiller zapukał i wszedł do środka. DeBries i Rooth, zajęci pisaniem protokołu, unieśli głowy.

– Ta historia w Behrensee to raczej wypadek – powiedział szef policji, pocierając sobie brodę. – Czy waszym zdaniem powinniśmy się jej przyjrzeć bliżej?

– Z całą pewnością nie – powiedział deBries. – Klasyczny nieszczęśliwy wypadek. Wystarczy, jak zajmą się nim koledzy z lokalnej policji.

– To dobrze, chciałem tylko usłyszeć waszą opinię. Możecie wrócić do swoich zajęć.

I wzajemnie, pomyślał deBries, wymieniwszy spojrzenie z Roothem.

– Słyszałeś, że były dwa telefony? – spytał Rooth, gdy już za szefem zamknęły się drzwi.

– Nie, nic nie wiem. Co za telefony?

– Anonimowe. Z Kaustin. Podobno dwa różne... jeden od kobiety, jeden od mężczyzny. Tak mówi Krause.

DeBries uniósł wzrok znad protokołu i wbił zęby w długopis.

– I co powiedzieli?

– Mniej więcej to samo. Że ten Jahrens miał coś wspólnego z tamtymi zabójstwami, to znaczy z morderstwami Verhavena. Powiedzieli, że od dawna mieli takie przeczucie, ale nie chcieli nic mówić.

DeBries zamyślił się chwilę.

– A niech to szlag – odezwał się wreszcie. – Czyli w końcu doczekał się jednak kary, tak?

– Kto wie – rzekł Rooth. – Chociaż nie można wykluczyć, że jakaś para wariatów chce po prostu zwrócić na siebie uwagę. Tak czy siak, nam nic do tego.

Na kilka sekund zaległa cisza, po czym deBries wzruszył ramionami.

– Słusznie, sprawa jest zawieszona, o ile dobrze się orientuję. Chociaż swoją drogą to dziwna historia... Ale my i tak mamy pełne ręce roboty.

– Żeby tylko ręce – dodał Rooth.

– Czy można się dosiąść? – spytał Mahler i zajął wolne krzesło. –  
A właściwie dlaczego ty tutaj siedzisz?

– Siedzę, gdzie mam ochotę – oznajmił Van Veeteren. – Jestem na  
zwolnieniu lekarskim, a pogoda jest całkiem przyjemna. Lubię się  
przyglądać, jak ludzie kręcą się jak w ukropie i biegają za własnym  
ogonem... poza tym mam książkę, do której w każdej chwili mogę  
zajrzeć.

Mahler pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To chyba nie najlepsze zajęcie w tym pełnym słońcu.

Ogarnął wzrokiem rynek i przywołał skinieniem ręki kelnerkę.

– Dwa ciemne – zamówił.

– Dzięki – odezwał się Van Veeteren.

Kiedy dostali piwo, stuknęli się szklankami i rozsiedli wygodnie.

– No i jak poszło? – spytał Mahler.

– Z czym?

– Nie udawaj – odparł. – W końcu zafundowałem ci piwo i tomik  
wierszy.

Van Veeteren pociągnął kolejny łyk.

– Faktycznie – przyznał. – Już po wszystkim.

– Czyli nie wytrzymał presji?

Komisarz zastanowił się chwilę.

– Właśnie tak – powiedział. – Trudno wyrazić to bardziej poetycko.

**XIII**

**19 czerwca 1994**

Na cmentarzu w Kaustin rosły lipy i wiązy, gdzieniegdzie także kasztanowce, których rozległe systemy korzeniowe zwykle wywoływały głośne przekleństwa grabarza Maertensa, ilekroć wbił szpadel w ziemię. Ale w tę letnią niedzielę – podobnie jak wszyscy stojący nad świeżo otwartym rodzinnym grobem – miał powód, by myśleć inaczej. Był wdzięczny gęstym koronom drzew za cień, jaki rzucały, za odrobinę chłodu podczas skromnej ceremonii pogrzebowej.

Gdyby stali pod palącym słońcem, na pewno doszłoby do jakiegoś omdlenia.

Było ich zaledwie sześcioro. Trzech niejako służbowo: Maertens, kantor Wolff i pastor Kretsche. Pozostali to pani Hoegstraa, stara siostra, której też nie zostało już wiele, i dwóch policjantów z Maardam, którzy zjawili się tu jeszcze kilka miesięcy temu i węszyli, ale oczywiście wyjechali z pustymi rękami.

Co poradzić, Leopold Verhaven jest w grobie. A przynajmniej znaczna jego część, bo nie udało się odszukać brakujących części ciała. Jeśli kiedykolwiek miałyby się jeszcze gdzieś znaleźć, to też zostaną włożone do grobu... czasami człowiek zadaje sobie pytanie, czym ta policja tak naprawdę się zajmuje. I za co się jej płaci.

Ale na to też nic nie da się poradzić. Maertens nie miał najmniejszej ochoty ich o to pytać. Czekał właściwie tylko na to, żeby Kretsche już skończył, wtedy on z powrotem zasypie dół i będzie mógł wrócić do domu na mecz piłki nożnej w telewizji.

Pastor mówił o niezbadanych ścieżkach Boga. O zwycięzającej wszystko miłości i łasce Pana. O wybaczeniu.

A co on mógł, do diaska, powiedzieć innego? Maertens westchnął i oparł się dyskretnie o pień wiązu. Przymknął oczy i poczuł lekki wiaterek wiejący nad cmentarzem, prawie niezauważalny i nieprzynoszący żadnej ochłody. Wyobraził sobie dużą, wilgotną szklanę piwa w swojej dłoni i siebie przed ekranem telewizora.

Otworzył oczy i zaczął przyglądać się grupce zgromadzonych osób. Pani Hoegstraa miała woalkę; stała z zaciętą miną i nie uroniła ani jednej łzy. Kretsche rozwodził się jak zwykle. Wolff też prawie spał. Starszy z policjantów pocił się okropnie i od czasu do czasu wycierał sobie twarz kolorową chustką do nosa. Młodszy jakby się nad czymś zastanawiał.

Ciekawe, czy im przypadkiem za to nie płacą, żeby tak tutaj stali! Wcale by go to nie zdziwiło.

Spoczywaj w pokoju, Leopoldzie Verhaven, pomyślał Maertens i rozejrzał się za łopata.

– Zastanawia mnie parę rzeczy – powiedział Münster, kiedy stali już przy samochodach.

– Na przykład? – zachęcił go Van Veeteren.

– Po pierwsze, jak pan komisarz wpadł na to, że to on, to znaczy Jahrens?

– Hmm – zaczął Van Veeteren. – Podjazd na wózek inwalidzki u Czermaków. I ta kobieta z laską w więzieniu. Nie od razu znalazłem konkretny związek między jednym i drugim, ale czułem, że coś w tym musi być. To coś uruchomiło mały dzwoneczek...

– Ale przecież pani Jahrens była niepełnosprawna. Nie mogła chodzić nawet o lasce czy o kulach.

Van Veeteren wachlował się gazetą.

– Nie zawsze jest tak, jak nam się zdaje. Myślałem, że co do tego obaj się zgadzamy?

– Co ma pan na myśli? – spytał Münster.

– To i owo – odparł komisarz i spojrział na cmentarz. – Że na przykład korzenie albo źródło zła nie zawsze leżą tam, gdzie się ich spodziewamy. Los Leopolda Verhavena – naprawdę mam nadzieję, że kiedyś będzie mógł zostać zrehabilitowany – nie zależał prawie

w ogóle od niego. Stał się mimo woli główną postacią dramatu, nie-mego, gorzkiego i bezwzględnego dramatu rozgrywającego się między Jahrensami. Zupełnie niewinnie został wplątany w jego sieć jako kozioł ofiarny, za co potem przyszło mu spędzić niemal ćwierć wieku w więzieniu... trudno się zatem dziwić, że zrobił się trochę inny! Kiedy w końcu pani Jahrens zdecydowała się wypowiedzieć, skończyło się to śmiercią Verhavena. To potworne, Münster, ale być może jest tu też jakaś przewrotna logika. Mam poczucie, że pobrzmiwa w tym wszystkim donośny śmiech z zaświatów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

Spojrzał w górę, ku jasnemu niebu usianemu lekkimi obłokami.

– Nawet w taki dzień jak dzisiaj – dodał.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– A Marlene Nietsch? – spytał Münster.

– Przypadek, tak sędzę – powiedział Van Veeteren. – Pewnie spotkał ją kiedyś we wsi i wiedział, jak wygląda, a tamtego ranka akurat przejeżdżał koło Zwille, kiedy Verhaven się z nią rozstał. Prawdopodobnie skorzystał z okazji i zaprosił ją do samochodu, a potem wszystko potoczyło się, jak się potoczyło. Ona nie chciała, więc użył siły. Zakładam, że tak to wyglądało, ale możliwe są też inne scenariusze.

– A resztki? Mam na myśli części ciała Verhavena.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Leżą gdzieś zakopane, i mam nadzieję, że już tam zostaną. Wyobraź sobie, że ktoś je znajdzie za sto lat i zacznie się nowe dochodzenie. Czasami mam wrażenie, że ta historia nigdy nie będzie miała końca.

Münster pokiwał głową, po czym otworzył drzwi samochodu.

– Ale przynajmniej na razie koniec – powiedział. – Muszę wracać do domu się pakować. Jutro wyjeżdżamy.

– Do Włoch? – spytał Van Veeteren.

– Tak. Dwa tygodnie w Kalabrii i jeden w Toskanii. A pan komisarz kiedy ma urlop?

– W sierpniu – odparł Van Veeteren. – Wprawdzie jeszcze nie doszedłem do pełni formy, ale to nie szkodzi. W lipcu zwykle bywa bar-

dzo przyjemnie w mieście. Spokojnie i sennie... bo wszyscy idioci gdzieś się wynoszą. Tylko nie bierz tego do siebie.

– Nigdy nie przyszedłoby mi to do głowy – odparł Münster. – Powodzenia!

– Powodzenia – odpowiedział Van Veeteren. – Uważaj na swoją piękną żonę... i na dzieci, oczywiście. We wrześniu zagramy w badmintona.

– Jasne – potwierdził Münster.

Jeszcze raz pojechał drogą w górę do Wielkiego Cienia. Ale nie wysiadł z samochodu. Siedział w środku i przyglądał się zarośniętemu domowi, paląc papierosa i bębniąc palcami po kierownicy.

Co za szatańska historia, pomyślał.

Teraz już wszystkie zaangażowane w nią osoby nie żyją. Identycznie jak w tragedii Szekspira. Beatrice Holden i Marlene Nietsch. Arnold i Anna Jahrensowie. No i sam Verhaven.

Sprawiedliwości jednak stało się zadość. Na tyle, na ile to możliwe. Nemezis wykonała swą powinność. Chyba można tak powiedzieć.

A kto pozostał?

Stara siostra Verhavena, która nie odegrała żadnej roli w tamtych zdarzeniach.

Andrea Jahrens, a właściwie Vålgre, bo tak się teraz nazywa. Córka z dwójką dzieci.

Jedyni, którzy przeżyli; ale pani Hoegstraa też niedługo znajdzie się na cmentarzu. Ona również.

Przeżyli i są niczego nieświadomi. Nie ma powodu, by im teraz to opowiadać.

Nigdy nie wpadłby na taki pomysł.

Nigdy.

A kiedy ostatni raz jechał powoli drogą przez wieś, która leżała zagrożona w zdradzieckiej letniej drzemce, przypomniało mu się to, co powiedział Münsterowi.

Że nie wszystko jest takie, jak się nam wydaje.

Kaustin – wioska mordercy.

Potem doszedł do wniosku, że nie opowiedział swemu młodszemu



koledze wszystkiego do końca. Właściwym powodem, dla którego tamtego popołudnia wstąpił do Czermaków, nie było oczywiście to, że jego uwagę zwróciła rampa na wózek inwalidzki – nie, to była jakby nieoczekiwana korzyść. Przyczyna była znacznie bardziej prozaiczna, i właśnie w tej chwili zaczął odczuwać tę samą potrzebę.

Chciało mu się pić.

Ale, pomyślał z nieoczekiwaniem silnym i szybko przygasłym ożywieniem, świadom ryzyka, że się powtarza – nie wszystko jest takie, jak się nam wydaje.

Następnie dodał gazu i zamyślił się o granicy, którą właśnie w końcu przekroczył.

---

\* Nawiązanie do V aktu *Hamleta* Williama Szekspira (przyp. tłum.).

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[I 24 sierpnia 1993](#)

[1](#)

[II 20 kwietnia – 5 maja 1994](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[III 24 sierpnia 1993](#)

11

IV 5–10 maja 1994

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

V 24 sierpnia 1993

23

VI 11–15 maja 1994

24

25

26

VII 24 kwietnia 1962

27

VIII 16–22 maja 1994

28

29

30

31

32

IX 11 września 1981

33

X 23–28 maja 1994

34

35

36

37

38

39

40

XI 25 listopada 1981

41

XII 29–31 maja 1994

42

43

XIII 19 czerwca 1994

44

## Przypisy